REPREZENTACYA POLSKA

W ZIMOWÉJ KADENCYI

SEJMU RZESZY NIEMIECKIÉJ I SEJMU PRUSKIEGO.

I.

Przed niedawnym czasem poświęciliśmy w „Ateneum" kilka słów bliższego zastanowienia sprawie wyborów poznańskich do sejmu Rzeszy niemieckiéj. Obecnie zamierzyliśmy rozpatrzéć się w częściowym ich rezultacie na widowni parlamentarnéj. W *częściowym* wyraźnie mówimy, ponieważ reprezentacya W. Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich w sejmie pruskim, którego czynność będzie również przedmiotem kilku słów naszych, jest wynikiem dawniejszych już, w roku 1879 odbytych wyborów. Nie wiadomo nam naturalnie, czy i o ile szanowni czytelnicy nasi zechcieli zwrócić uwagę na orzeczenie w rozprawie *O wyborach poznańskich*, na które z wielu względów pragnęlibyśmy *mieć* zwróconą uwagę, na orzeczenie, „iż korzystny dla naszego żywiołu rezultat owych wyborów ma większe znaczenie dla naszych stosunków wewnętrznych, świadczy raczéj, co rzecz nielada pocieszająca w naszém położeniu, o wzroście liczebnym i o rozwoju moralno-politycznym naszego żywiołu, aniżeli zapowiada zrealizować się bezpośrednio i dotykalnie jakiemi bądź dlań praktycznemi korzyściami." Znając z jednéj strony nasze stosunki miejscowe, z drugiéj obecny system rządowy, uprzedzenia i prądy w wysokich i najwyższych sferach przeciw żywiołowi polskiemu panujące, nie trudno tu byłoby *być* prorokiem i to prorokiem prawdziwym. Mimo że w sejmie Rzeszy niemieckiéj jesteśmy reprezentowani poważną cyfrą ośmnastu deputatów; mimo że w sejmie pruskim nie wiele nam do tejże saméj cyfry niedostaje; mimo, że dzięki téj względnéj, liczebnéj powadze i przewadze, znajdują się

reprezentacye nasze obie sejmowe w szczęśliwém nibyto położeniu możności przeważania swémi głosami wahającéj się między różnémi, sprzecznémi z sobą stronnictwami szali; mimo, że książę-kanclerz cesarstwa niemieckiego troskliwszy zawsze o zachowanie władzy, aniżeli wybredny w wyborze środków i sprzymierzeńców, za pomocą których celu by dosiągł, zwracał się już z kolei do wszystkich politycznych stronnictw i sejmowych frakcyj z kolei,— nie powiodło się dotąd obu naszym reprezentacyom sejmowym wyjść z zaczarowanego koła odosobnienia, w jakiém się znajdują, wobec rządu przynajmniéj i zyskać jaką bądź, choćby najdrobniejszą ulgę w systemie nad ludnością polską zawisłym. Nie przeszkadza to, że wobec liczebnego zastępu polaków w jednym i drugim sejmie te i owe frakcye, jak mianowicie konserwatywna, jak daléj katolicka czyli środkowa, usiłowały zbliżyć się do polaków i mieć ich w danych przypadkach sprzymierzeńcami. Jedynie wszakże o drugiéj z tych frakcyj można powiedzieć, że (mniejsza o powody) wytrwała w zawartém przymierzu i nieopuszczała sprawy naszéj i naszéj reprezentacyi tam, gdzie przymierze podobne opłacało się jéj gradem pocisków lub co gorsza pomrukiem nizkich podejrzeń ze strony przeciwnéj. Ze względu na oddzielne i różne całkiem tak treścią, jak widownią zadania, które się dostały do spełnienia naszym reprezentacyom sejmowym, wypadnie nam, choćby ze względu na porządek chronologiczny tylko, rozpocząć rzecz od krótkiego obrazu działalności reprezentantów naszych w *sejmie Rzeszy niemieckiéj.*

Przypominamy tutaj w interesie dokładności i zrozumiałości naszego opowiadania, iż po odbyciu się wyborów w dniu 27 października r. z. sejm został zwołany dekretem cesarskim na dzień 11 listopada i rozpoczął z datą ową swe czynności. Nie od rzeczy może dla kogoś nieobeznanego ze stosunkami naszémi, powiedzieć choć słów kilka tylko o aurze politycznéj w społeczeństwie naszém panującéj, o usposobieniu ogólnego, zbiorowego instynktu względem rozmaitych frakcyj sejmowych, mianowicie zaś dla wszelkich odcieni liberalnéj opozycyi. Usposobienie ogółu naszego dla owéj opozycyi jest bardzo naturalnie jak najnieprzychylniejszém. Powód tego równie jasny, jak słuszny. Stronnictwa mieniące się opozycyjnémi w Prusach i Niemczech, czy to narodowo-liberalne, czy lewica jego nosząca nazwę secesyonistów, czy postępowcy tak dalece *kłamią,*— ile razy tylko chodzi o nas, choćby najniewątpliwiéj słuszne nasze żądania, zażalenia i prawa, — swéj firmie *liberalizmu* i *postępu*, że nie ostatnią zaiste przyczynę mimowolnego zwrotu naszego publicznego usposobienia w stronę owéj opozycyi przeciwną, jest właśnie owa jéj cyniczna sprzeczność praktyki i rzeczywistości z tak hałaśliwie

wywieszonėm a nadużywanėm tak niegodnie względem nas godłem. Téj niedzisiejszéj już zresztą przyczynie przypisać należy,—jeżeli mowa tronowa odczytana przy zagajeniu sejmu Rzeszy, a zapowiadająca przedłożenie projektu do prawa o monopolu tabacznym w celu zniżenia bezpośrednich podatków i nowy projekt do prawa o zabezpieczeniu robotników przeciw nieprzewidzianym przypadkom, pomijając inne mniéj ważne rzeczy, — *nie* bez pewnéj sympatyi przyjęta została. Cokolwiek bądź, zdawała się niemniéj treść mowy tronowéj, jak więcéj może jeszcze sytuacya sama otwierać reprezentacyi naszéj w sejmie Rzeszy lepsze widoki i szersze na wszystkie strony horyzonty.

Wśród takich to okoliczności i ogólnych usposobień zjechała się i ukonstytuowała nasza reprezentacya w Berlinie. Składali ją i składają, z *W. Ks. Poznańskiego:* Hipolit Turno, Stafan hr. Kwilecki, Stanisław Chłapowski, Kazimierz Chłapowski, ksiądz Jażdżewski, Teofil Magdziński, Leon hr. Skórzewski, Stanisław Kurnatowski, Roman Komierowski, Marcelli Żółtowski, Ferdynand książę Radziwiłł, dr. Witold Skarzyński; z *Prus Zachodnich:* Ignacy Łyskowski, Leon Czarliński, Michał Szczaniecki, Kosowski, Antoni i Michał Kalksteinowie. Urządzając według przyjętego obyczaju swe bióro, obrało koło sejmowe polskie przewodniczącym Ignacego Łyskowskiego, zastępcą jego księdza Jażdżewskiego, członkami tak zwanéj komisyi parlamentarnéj: Magdzińskiego, księdza Jażdżewskiego i Czarlińskiego, sekretarzami: dr. Skarzyńskiego i Kosowskiego. Tyle co do zewnętrznéj organizacyi koła sejmowego. Ważniejsze pytanie, jakie się parlamentarnéj jego działalności przedstawiały widoki. W odpowiedzi na to pytanie, niechaj nam będzie wolno rzecz naszą rozpocząć od koniecznego dla jéj objaśnienia i zrozumiałości nawiasu.

Jak odbywające się u nas *wybory* do ciał politycznych niemieckich są przedewszystkiém *siłomierzem* naszego narodowego żywiołu, tak stająca jako ich rezultat na widowni parlamentarnéj berlińskiéj reprezentacya nasza ma *dwa* zadania, *pierwsze* stwierdzenia aktu naszéj obecności, ku zapobieżeniu fatalnéj nietylko w sądownictwie i miłości kontumacyi *(les absents ont tort)*, obrony *moralnych* interesów naszych; *drugie*, starania się tam, gdzie można i o ile można, o jakie bądź praktyczne dla żywiołu naszego korzyści i ulgi. Dotąd, począwszy niemal od pierwszéj chwili istnienia konstytucyonalizmu pruskiego i niemieckiego w r. 1848, znalazła się tylko dla wszystkich reprezentacyj naszych możność zadosyć uczynienia, często w bardzo świetny i zwycięzki nawet sposób *pierwszemu* zadaniu. *Drugie* nie zapisuje żadnych, godnych wzmianki faktów. Czasem, i to bardzo *nie* często, udawało się indywidualnie, tym i owym, dla tych

i owych instytucyj, dla tych i owych szczegółów, wyjednać pewne maleńkie ustępstwa. *Zasadniczo* i na obszerniejsze rozmiary nie zdołała do téj chwili postawa naszych posłów *praktycznie* i *dotykalnie* nic dla kraju uzyskać. Ta *bezowocność* właśnie jéj działalności w dziedzinie *praktycznéj* i to wśród coraz cięższych opałów, kiedyby *skuteczność* takiéj akcyi była tém potrzebniejszą i pożądańszą, sprowadza od czasu do czasu, peryodycznie niemal, pewne sporadycznie i trwożliwie odzywające się zarzuty *przeciw* opozycyjności naszych reprezentacyj sejmowych. Nie wymieniając osób i nazwisk, mamy w pamięci zapisane mnogo przypadków, że projektowano zmienić system akcyi naszéj parlamentarnéj, że mówiono o potrzebie zbliżenia się do rządu w interesie krajowym, że projektowano, co więcéj, że układano nawet memoryały w kierunku nieofiarowanéj wcale, ani chętnie słuchanéj nawet z przeciwnéj strony ugody. Projekty i pomysły tego rodzaju rozbijały się zawsze o granitową oczywistość, że zgody z nami, tak długo, póki chcemy pozostać *sobą*, nikt niechce, że więc wchodząc na ową odmienną od dotychczasowéj drogę, straciłoby się jedynie tylko moralnie, nie wygrywając nic materyalnie. Właśnie przecież obecna sytuacya, właśnie obecne okoliczności, przedstawiające obraz dziwnego rozdarcia reprezentacyi cesarstwa niemieckiego na stronnictwa, z których żadne samo przez się nie było dość liczebnie silném, by mogło być rządowi wystarczającym sprzymierzeńcem, zdawałoby się zapowiadać, iż nastała *teraz* nareszcie może chwila, w któréj przy zręcznéj akcyi będzie można osiągnąć rzeczywiste jakieś i praktyczne korzyści, nie zrzekając się swego stanowiska zasadniczego. Mianowicie przedstawiała takie widoki kwestya monopolu tabacznego. Wiadomo aż nazbyt dobrze, jak wielką wagę przywiązuje do téj sprawy kanclerz niemiecki, jak ważną rolę odegrała ona w niespodzianym zwrocie wielkiego męża stanu do frakcyi centralnéj, jak nie było dawniéj już a jak jest z każdym dniem coraz mniéj widoków, aby liberalna opozycya jakich bądź odcieni chciała kapitulować i głosować za tyle wstrętnym sobie projektem. Zdawało się tedy, zdaje się może ciągle jeszcze, że ostatecznie ten kardynalny temat wewnętrznéj polityki kanclerskiéj doprowadzi do kombinacyj dla nas w rezultacie korzystnych. Czy tak rzeczywiście będzie, mówimy wyraźnie *będzie*, ponieważ sprawa monopolu tabacznego stanie się dopiero przedmiotem narad obecnéj kadencyi wiosennéj sejmu Rzeszy, nie wiemy. Co natomiast już *wiemy*, to że w pierwszych początkach ubiegłéj kadencyi jesiennéj i zimowéj sejmu Rzeszy, reprezentanci różnych stronnictw niemieckich zbliżali się, wybadywali, komplementowali na przemian polaków bez ofiarowania wszakże jakiego-bądź, opartego na jasnych i wy-

raźnie sformułowanych warunkach kompromisu; daléj, że mimo wszelkich optymistycznych wyczekiwań i nadziei, żadna propozycya, ani ofiara kompromisowa ze strony sfer rządowych nie wyszła. A przecież samo już takiéj ofiary, czy takiéj propozycyi prawdopodobieństwo starczyło, by stać się pobudką (w miesiącu grudniu r. z.) do zjazdu w Berlinie członków polskich *wszystkich*, jakich bądź korporacyj politycznych prusko-niemieckich, zjazdu mającego zadanie zastanowić się nad przyszłą postawą zasadniczą reprezentacyi polskiéj wobec rządu i niemieckich stronnictw. W gruncie rzeczy nic takiego nie nastąpiło, coby było mogło dawać racyą takiemu polityczno-parlamentarnemu soborowi, którego narady i uchwały pozostały, czy przynajmniéj miały pozostać, jak to nawiasowo powiadamy, tajemnicą. Tyle jednakże z owych *arcanów imperii* przeniknęło na zewnątrz (a powtarzając to, nie ściągniemy na siebie zarzutu wykroczenia przeciw przykazom dyskrecyi), iż w nadziei ofiarowanych korzyści i ugód, z któremi nikt jeszcze ze strony przeciwnéj nie występował, odzywały się głosy doradzające zajęcie postawy, któraby je ułatwiała i niejako prowokowała. Projektowano jakieś memoryały ofiarujące pewne usługi, nawet uczucia w razie pewnych korzyści; odzywano się przeciw praktyczności i słuszności dotychczasowéj taktyki kół sejmowych, jako nie prowadzącéj do żadnego celu; zalecano z téj i owéj strony postępowanie ręka w rękę z rządem tam, gdzie temu wyraźnie i stanowczo zasadnicze stanowisko naszych kół sejmowych i reprezentowanéj przez nie ludności nie przeszkadza. Ostatecznie, po odezwaniu się niemniéj licznych głosów opinii przeciwnéj, zapadła uchwała natury elastycznéj, nie obowiązująca do niczego, nie obejmująca żadnego wyraźnego programu, aby trwając na dawném stanowisku nie stawiać przecież stanowczéj opozycyi programowi rządowemu i wyczekiwać z jego strony spodziewanych propozycyj. Uchwała taka walnego zjazdu członków wszystkich kół sejmowych naszych, nie miała do tyla praktycznego znaczenia, że jesienna i zimowa kadencya sejmu Rzeszy, ograniczając się na parlamentarnéj tyralierce, nie wprowadzając w grę najważniejszych, zapowiedzianych mową tronową kwestyj, jak właśnie np. monopolu tabacznego, nie dała reprezentacyi polskiéj żadnéj sposobności uwydatnienia na zewnątrz, jakie to postanowienia w łonie jéj zapadły. Natomiast miała owa uchwała, jak się późniéj okazało, *to* ujemne następstwo, iż podziałała paraliżująco i ubezwładniająco na działalność parlamentarną naszéj reprezentacyi w dotychczasowym jéj kierunku. By uniknąć zarzutu i pozorów opozycyjności *quand même*, reprezentacya nasza w pierwszym peryodzie kadencyi sejmowéj pominęła kilka sposobności, w których należało zaznaczyć swoją obec-

ność. Mianowicie mamy pod tym względem na myśli w samym zaraz początku czynności sejmowych, dyskusyą nad budżetem cesarstwa, dyskusyą, w której z wyjątkiem jedynym polskiéj, wszystkie inne frakcye wzięły udział i zaznaczyły charakterystycznie swe stanowisko. Byłaż podobna taktyka odpowiednia zamierzonemu celowi, celowi zyskania na ten raz jakichś rzeczywistych i dotykalnych ustępstw, ze strony rządowéj? Zdaje nam się, że *nie*. Chcąc w dziedzinie politycznéj i parlamentarnéj odnosić jakie bądź korzyści, nie można się osłaniać płaszczem prawdziwéj czy udawanéj bierności i trzymać się milcząco na uboczu. Przeciwnie, należy czynnikom, którym o zyskanie takich korzyści chodzi, wykazać z jednéj strony charakter swéj dążności, z drugiéj specyficzną wagę swego znaczenia i swéj wartości. Jakżeż do podobnego rezultatu dojść inaczéj, aniżeli właśnie drogą akcyi w zasadniczym swym i naturalnym kierunku? Tymczasem widzimy koło sejmowe polskie, w pierwszéj fazie kadencyi sejmowéj, na dyskretném uboczu. Połączywszy się, czego mu bynajmniéj ze względu na stanowisko niemieckiego liberalizmu wobec żywiołu naszego za złe nie bierzemy, w sprawie wyboru przewodniczącego w sejmie, z frakcyą katolicką i konserwatywną; dopomógłszy w ten sposób do przeprowadzenia kandydatury marchijskiego barona Lewetzowa, bardzo względnego zresztą i zręcznego na swém prezydyalném stanowisku męża, postanowiło koło sejmowe polskie, jeźli nie drogą wyraźnéj jakiejś uchwały, to widocznie przecież drogą nie dającego się zaprzeczyć i przeoczyć faktu, „być o ile możności jak najmniéj widzianém“ na widowni sejmowéj. Taka taktyka i taka postawa tém mniéj wytrzymywała próbę, że wobec niecierpliwości głosów nadchodzących z kraju i różnych wydarzających się już w samym sejmie przypadkowości, *nie* mogła *wytrwać* i *wytrzymać*. Już w miesiącu grudniu znalazł się, poseł z Prus Zachodnich Leon Czarliński, zawsze gotowy i najenergiczniejszy, w ciągu ostatniéj kadencyi reprezentacyi naszéj mówca, w konieczności przypomnienia praw, jakie służą ludności polskiéj w obrębie monarchii pruskiéj na podstawie stypulacyi traktatów wiedeńskich. Była to wszelkiego uznania godna przerwa owego systemu dobrowolnéj *kontumacyi*, systemu, który po epizodzie wystąpienia Czarlińskiego, znów stał się jakoby faktem. Że zaś niekoniecznie fortunnie i zręcznie pod względem politycznym, dowodzi najlepiéj okoliczność następna.

Wobec toczącéj się nieprzerwanie a zacięcie walki liberalnéj opozycyi, mianowicie postępowców, z kanclerzem, jego osobą i systemem, wystąpiła w sposób rozjemczy osoba samegoż monarchy. Cesarz wydał właśnie w czasie trwających jeszcze po świętach Bo-

żego Narodzenia feryj parlamentarnych, pod dniem 4 stycznia r. b. pamiętne owo orędzie, *Erlass*, w którém wyraził z jednéj strony najzupełniejsze swe uznanie dla polityki i sposobu postępowania swego kanclerza, w którém, z drugiéj, zwracając się bezogródkowo do liberalnéj opozycyi, mianowicie jéj lewego, „postępowego“ skrzydła, przypomina, że fakt istnienia ustawy konstytucyjnéj w Prusach nie zmienia niczego w nieprzedawnionych i niespożytych prawach królewskości pruskiéj i przestrzega, aby czasem liberalizm nie robił sobie pod tym względem jakich bądź iluzyj i nie chciał sobie czasem wyobrażać, że w monarchii Fryderyka Wielkiego istnieją parlamentarne rządy angielskie. W gruncie rzeczy nie mogło być *historycznie* nic prawdziwszego, *politycznie* trafniejszego i słuszniejszego od treści i zapatrywań cesarskiego orędzia. Grzeszna iluzya i niewczesny żart chyba tylko mogą windykować sejmom prusko-niemieckim stanowisko polityczne parlamentów angielskich, a jeźli kto, to właśnie liberalizm niemiecki,—ograniczający swój program *alfą* i *omegą* protestów przeciw monopolowi tabacznemu i cłom ochronnym lub wycieczek przeciw ministeryalnéj prasie i tanich deklamacyj przeciw Rzymowi i katolicyzmowi, — miał wszelki powód przyznania w cichości serca, jak śmiesznie i niewcześnie z jego strony byłoby chcieć sięgać po berło jakiegoś *istotnego*, wpływającego na postanowienia rządu znaczenia.

Mimo to uważało stronnictwo postępowe za rzecz potrzeby i obowiązku, skorzystać ze sposobności dyskusyi nad tak zwaném drugiem czytaniem ogólnéj części państwowego budżetu i poddać cesarskie orędzie krytycznemu rozbiorowi. Hänel, estetyk *Fortschrittu*, został ze strony swego polityczno-parlamentarnego zastępu zaszczycony misyą wystąpienia z konstytucyjnym protestem przeciw tyle stanowczemu objawowi monarszego prawa. Zacny profesor wywiązał się z drażliwego zadania swego w sposób o ile możności jak najumiarkowańszy, a przecież nie do tyla umiarkowany, aby nie wywołać piorunującego *Quos ego* ze strony obecnego wyjątkowo w komnacie sejmowéj kanclerza. Zajście świadczące o stopniu dziwnéj pokory „*postępu*“ i całéj liberalnéj opozycyi wobec zmarszczenia brwi kanclerskich, nie znalazłoby miejsca w naszym niniejszym szkicu, gdyby wielki mąż stanu nie był uważał za rzecz stosowną w gromie swym rzuconym w oczy opozycyi, uczynić wzmianki o Polakach, o Polsce, co więcéj wymówić nawet ironicznie pierwsze słowa znanéj polskiéj pieśni narodowéj. W wykrzykniku kanclerskim słychać było zarzut przeciw opozycyi, iż był czas, kiedy *nam* zanadto sprzyjała. O ile nam się zdaje, był, jeżeli wogóle kiedykolwiek, to wtedy przedewszystkiém powód uczynić ze strony polskiéj akt

obecności, nie dopuścić „*kontumacyi*.“ Stało się inaczéj, czy może nie pod wpływem i wrażeniem uchwał i postanowień walnego zjazdu skombinowanych kół sejmowych? Nie rozstrzygając téj kwestyi, stwierdźmy tyle tylko, że milczenie odpowiadające tak bardzo wyraźnéj prowokacyi kanclerza, nie zrobiło na społeczności polskiéj w kraju dobrego wrażenia, a że choć spóźnione wystąpienie posła Czarlińskiego ocalającego i na ten raz jeszcze honor koła polskiego było przyjęte z tém większém zadowolnieniem.

W kilka dni późniéj w początku lutego dał, wniesiony przez frakcyą postępową wyraźnie na przekór inicyatywie rządowéj projekt prawa o zabezpieczeniu robotników w razie nieprzewidzianych przypadków, sposobność kołu polskiemu przez usta młodego deputowanego Skarzyńskiego do zakreślenia swego stanowiska w sprawie pomienionego wniosku. Mówca wstępujący poraz pierwszy w parlamentarne szranki, znany ze swych studyów w dziedzinie ekonomicznéj a mianowicie z dzieła o Adamie Smith'cie, uzasadnił w obszerniejszym głosie, dla czego reprezentacya polska oświadcza się przeciw wnioskowi postępowców. Na tém wystąpieniu kończy się nasz udział w dziejach i działalności sejmu Rzeszy podczas jéj zimowéj kadencyi z roku 1881 na 1882. Wkrótce skończyła się sama kadencya, pozostawiając, nawiasowo powiedziawszy, nie istniejącą już teraz wątpliwość, czy sejm będzie rozwiązany, czy też doczeka się jeszcze ponownego zwołania swego na wiosnę.

Szczupła, jak z powyższego krótkiego sprawozdania widzimy, była tedy czynność sejmowego koła polskiego w sejmie Rzeszy, szczuplejsza, aniżeli można było przypuszczać, aniżeli się nawet spodziewać należało. Reprezentacya polska uczyniła tutaj zaledwie akt obecności, stoczyła zaledwie kilka nic nie znaczących, parlamentarnych potyczek, nie miała sposobności dać poznać wagi swego stanowiska w sejmie, wywołać ze strony niemieckiéj starań około pozyskania jéj, ani zdobyć jakichbądź ustępstw praktycznéj doniosłości i wartości dla kraju. Tłómaczy się to do pewnego stopnia fabiuszowo-kunktatorską uchwałą z epoki zjazdu skombinowanych kół sejmowych; więcéj przecież daleko jeszcze samąż treścią i przedmiotem sejmowych obrad. Sejm nie przystąpił dotąd wogóle przez czas swego trwania do swych najważniejszych, esencyonalnych zadań; sam dopiero ograniczył swą działalność na forpocztowych walkach, najwięcéj interesu wzbudzające i zapowiadające przedmioty jego obrad, jak monopol tabaczny, jak *rządowy* projekt prawa o zabezpieczeniu robotników czekają jeszcze swego przyjścia na porządek dzienny, spowodują nadto, być może, bądź to spontaniczną, bądź wywołaną przez rząd lub którebądź z ważniejszych stronnictw politycznych, in-

terwencyą koła sejmowego polskiego w owe kardynalne zadania parlamentaryzmu niemieckiego. Słowem, zapowiada rozpoczynająca się z końcem miesiąca kwietnia wiosenna kadencya sejmu Rzeszy, pewne widoki dla reprezentacyi polskiéj. Istnie, jak w prawdziwéj, wielkiéj wojnie są małe mocarstwa, co niezdolne wystąpić samodzielnie o własnych siłach, przeważają przecież szalę w przymierzu i połączeniu z innémi, tak téż i frakcya polska niedość silna, by na widowni parlamentarnéj walki przyszłéj kadencyi sejmowéj odegrać rolę samodzielną, ma przecież wszelkie widoki zaważyć na niéj, zawierając kompromisową ugodę z żywiołami, z którémi alians będzie przedstawiał najprawdopodobniejsze i najdotykalniejsze razem, praktyczne korzyści dla kraju i narodowości polskiéj. Będzie w tym kierunku potrzeba tyleż przynajmniéj oględności, ile zręczności i bystrości politycznego oka...

II.

W nadziei i oczekiwaniu podobnego rezultatu, zwróćmy się teraz do krótkiego również szkicu działalności naszéj reprezentacyi w sejmie *pruskim*, którego *pierwsze* czynności w miesiącu lutym spotykały się z *ostatniemi* sejmu Rzeszy niemieckiéj. Podobnie jak w charakterystyce powyższéj deputacyi naszéj do sejmu Rzeszy, tak i w opowiadniu czynności reprezentacyi naszéj w sejmie pruskim, wypadnie nam rozpocząć od niezbędnych szczegółów natury statystycznéj. Obecna nasza reprezentacya w sejmie pruskim jest rezultatem wyborów odbytych w październiku 1879 i składa się z następnych dziewiętnastu reprezentantów W. księztwa Poznańskiego i Prus Zachodnich: Henryka Szumana, Hipolita Turny, Stanisława Stablewskiego, Władysława Wierzbińskiego, Juliusza Pilaskiego, księdza dra Stablewskiego, księdza Jażdżewskiego, Józefa Grabskiego, Stanisława Chłapowskiego, Franciszka Chłapowskiego, Teofila Magdzińskiego, Antoniego Świnarskiego, Kazimierza Kantaka, Ignacego Łyskowskiego, Thokarskiego, Osowskiego i Rybińskiego. Przewodniczącym *tego* koła sejmowego jest dr. Henryk Szuman wiceprezesem Ślaski, komisyą parlamentarną tworzą tutaj Magdziński, Wierzbiński, Kantak i Stanisław Chłapowski. Co się tyczy reprezentacyi polskiéj w sejmie pruskim rozpoczynającym działalność swą w miesiącu lutym, było zadanie jéj pod dwojakim względem prostszem i wyraźniejszém od zadania deputacyi polskiéj do sejmu Rzeszy. *Nasamprzód* nie pozwalały jéj bardzo stanowcze głosy prasy i opinii publicznéj wątpić, że społeczność krajowa *chce* akcyi parlamentarnéj bardziéj energicznéj, aniżeli nią była niepewna swoich

dróg i programu akcya w sejmie Rzeszy. *Dalej* zaś zmuszały poniekąd tak zwane wnioski rządowe koło polskie w sejmie pruskim do zajęcia postawy, która nie pozostawiała wyboru. Do rzędu tych wniosków należał projekt do prawa a raczéj do długiego szeregu przepisów modyfikujących tak zwane prawodawstwo Majowe,—prawodawstwo kościelno-polityczne, w interesie zamierzonéj zgody z dworem rzymskim. Nie dość zaś na têm, *budżet państwa* w najrozmaitszych swych gałęziach administracyi politycznéj, dostarczał reprezentacyi naszéj sejmowéj najnaturalniejszéj poręczy, do zajęcia odpowiedniego swym tradycyom, potrzebie krajowéj i godności narodowéj stanowiska. Projekt zmiany prawodawstwa kościelnego i budżet państwa przedłożony sejmowi,—otóż dwa naczelne czynniki regulujące parlamentarną akcyą naszéj reprezentacyi w sejmie pruskim. Trzecim dopiéro czynnikiem miała być *własna* inicyatywa.

Przypatrzmy się według chronologicznego i przedmiotowego porządku trzem tym dziedzinom akcyi koła polskiego w ciągu zimowéj kadencyi.

Zacznijmy od projektu zmiany prawodawstwa kościelno-politycznego. Działalność reprezentacyi naszéj znalazła tu bardzo prostą, bardzo naturalną prowokacyą w rządowych motywach pomienionego projektu. Ministeryum domagało się od reprezentacyi kraju dyskrecyonalnych pełnomocnictw w sprawie obsadzania wakansów duchownych. Motywując to żądanie, o którém można było przypuszczać z góry, że napotka opozycyą reprezentacyi krajowéj, składał się rząd głównie stosunkami panującémi w ziemiach *polskich*. Według motywów rządowych wymaga stan panującéj tamże nieprzerwanie agitacyi, w któréj właśnie duchowieństwo katolickie pierwszy i naczelny według niego bierze udział, szczególnéj baczności i wyjątkowéj uwagi w obsadzaniu stanowisk duchownych. Temat ten dotknięty w sposób przedmiotowy i chłodny, choć znaczący w motywach do projektu rządowego, znalazł nader jaskrawą ilustracyą w wystąpieniu ministra oświecenia Goslera. P. Gosler uzasadniając, projekt rządowy, przedstawił, w ponurych dla strachliwości i drażliwości niemieckiéj barwach, stan rzeczy w w. księstwie Poznańskiém, Prusach Zachodnich i Górnym Szlązku. Ostatnia mianowicie kraina budziła jego, jak budzi wogóle wszystkich Niemców, całéj ich prasy i opinii publicznéj drażliwości. Nie uwzględniając, co rzeczą najniewątpliwszą ze stanowiska litery konstytucyjnéj ustawy i praw organicznych, że to, co nazywa „*agitacyą*“, jest dozwoloną obroną narodowego żywiołu i rozwijanie jego życia i istnienia na naturalnéj podstawie kreślił minister oświecenia położenie rzeczy w ziemiach pol-

skich pod panowaniem pruskiém jako niebezpieczne i groźne niemal dla obecnego rządu, wymagające, wyjątkowych środków zaradczych. Ze względu na niewątpliwy według jego wywodów fakt, iż duchowieństwo katolicko-polskie w téj agitacyi przoduje, uważał za rzecz naturalną, że rząd domaga się nadzwyczajnych pełnomocnictw ku utrzymaniu swéj powagi. Wobec tego wystąpienia p. Goslera, nacechowanego nieskąpą dozą rozdrażnienia opierającego się w *faktycznéj* swéj części na sprawozdaniach władz miejscowych, na owych „*Berichtach*".—w których *ci* właśnie, przeciw którym zanoszą się zażalenia i których postępowanie podlega krytyce, wystawiają sobie sami pochwalne świadectwa,—była taktyka naszéj reprezentacyi bardzo prostą i równoległą spotykającéj cały nasz narodowy żywioł i nasze duchowieństwo zaczepce. Jako gotowi rzecznicy sprawy naszéj stanęli tu w pierwszym rzędzie deputowani ksiądz Stablewski i Kazimierz Kantak. Argumenta odpowiedzi na rządową zaczepkę zaczepiały się tu same przez się, były z natury rzeczy obfite, zostały wyczerpnięte i zużyte należycie przez obu mówców. Obaj starali się w słowach wymownych i przekonywających, niestety dobrą tylko wiarę, wykazać, że Polakom w. księztwa Poznańskiego służą prawa z międzynarodowych traktatów wynikłe, konstytucyjne, przyrodzone, na podstawie których narodowego istnienia swego bronią, a że duchowieństwo nie przekraczając w niczém ani litery prawa, ani obowiązków swego stanu, uczestniczy po prostu w pracach obywatelskich według sił i możności. Wywody i argumentacye obu mówców zgadzały się z sobą i dopełniały nawzajem, z tą jedynie może tylko różnicą, że czego ksiądz Stablewski nie uczynił, deputowany Kantak wsunął niepotrzebnie nieco w replikę swą pochwałę administracyi *landratów* w. księztwa Poznańskiego, rzecz, co najmniéj zbyteczną a w różnym stopniu pod względem faktycznym prawdziwą, osłabiającą nadto wrażenie własnego wystąpienia a natychmiast przez ministra oświecenia w ciągu dalszéj dyskusyi wyzyskaną.

Minister Gosler nie pozostał dłużnym w odpowiedzi w ciągu tejże dyskusyi a drażliwość, więcéj powiedzielibyśmy, gwałtowność jego występowania wzrastała w miarę wytrwałości obrony naszych reprezentantów. Pominąwszy bardzo widoczny akcent osobistego rozdrażnienia, przytaczał minister, bez szczególnego wyboru i krytyki wszystko, co się konsekwencyom zajętego przezeń stanowiska odpowiadać zdało, sprawozdania urzędowe władz miejscowych, artykuły nieznanych, pokątnych dzienników, treść jeszcze mniéj znanych broszur. W zawziętéj téj, ponawiającéj się w pierwszéj połowie miesiąca lutego kilkakrotnie między naszą reprezentacyą a ministrem oświecenia parlamentarnéj walce, uderzała ze strony niemieckiéj na-

samprzód *nieobecność* stronnictwa postępowego, ile razy o naszych prawach, o pokrzywdzeniu i obronie takowych była mowa. Niemiecki „*postęp*“ ogranicza, jak wyżéj wypowiedziano, swą działalność na deklamacyach przeciw ministerialnéj *Provinzial-Correspondenz*, przeciw cłom ochronnym i monopolowi tabacznemu. Daléj horyzont jego nie sięga a mianowicie zapada się szczelnie wobec jakichbądź praw i prawd *naszych*. Natomiast, czego ze stanowiska faktycznéj prawdy naprzód, wdzięczności następnie, przepominać niewolno, to wytrwałéj, nie zawodzącéj nigdy a sympatycznéj zawsze interwencyi głównych reprezentantów frakcyi środkowéj, Windhorsta i barona Schorlemera-Alsta na rzecz naszą. Czy to maleńki, niepokaźny, przypominający powierzchownością Thiersa, były minister króla hannowerskiego; czy westfalski baron przedstawiający na trybunie sejmowéj wiernie dawną swą rolę rosłego i barczystego rotmistrza kawaleryi,—byli zawsze gotowi spieszyć z odsieczą Polakom, ile razy wojowniczość ministeryalna ich napierała. Być może, iż ta pomoc nie była całkiem bezinteresowną, że wymagała kompensaty i że liczyła nawet na nią. Być daléj jeszcze może, iż podobny sojusz wpływał niekiedy do pewnego stopnia niekorzystnie na swobodę własnéj inicyatywy polskiéj, - w czémby naturalnie znów tylko była wina polska, ponieważ warunkiem definicyi jakichbądź przymierzy jest wspólność działania *obu* stron, *bez* poświęcania najesencyonalniejszéj części ich interesów. Cokolwiek bądź, należy się w obec nieprzyjaznéj postawy rządu, w obec mniéj lub więcéj niechętnego milczenia wszystkich innych elementów reprezentacyi pruskiéj, wdzięczne uznanie frakcyi jéj środkowéj, iż sama jedna miała odwagę odezwać się za nami i za naszémi prawami, że przemawiała za niemi śmiało i bez ogródki, wystawiając się równocześnie na szarpaniny dzienników urzędowych, jak *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* na rektyfikacye pełne, nawiasowo powiedziawszy, fałszów i błędów faktycznych w „inspirowanych“ *Grenzbotach* lipskich, na mierne koncepta satyrycznych pism berlińskich, jak *Kladeradatscha* i *Ulka*.

Rezultatem długiéj, namiętnéj dyskusyi w sprawie owego projektu rządowego, w którym żywioł polski tak znaczną rolę odgrywał, było oddanie go komisyi składającéj się z 21 członków, w grono których z pomiędzy Polaków wchodził wspomniany wyżéj najzdolniejszy niewątpliwie całéj frakcyi mówca, ks. dr. Stablewski. W łonie tejże, powtarzały się *mutatis mutandis*, dyskusye i drażliwości wielkiéj widowni sejmowéj. Wchodzący w skład komisyi Polak bronił duchowieństwa, narodowości polskiéj i kładł, o ile to było w jego możności, wytrwale protest przeciw żądanéj ze strony gabinetu wyjątkowości. Ostatecznym owych czynności komisyjnych rezultatem by-

ło, jak wiadomo, odrzucenie rządowego projektu. Dalsze jego losy, na które znów postawa sejmowego koła polskiego miała w bardzo stanowczy wpłynąć sposób, niechaj będą przedmiotem późniejszego naszego opowiadania. Na teraz wypada nam w interesie historyi działalności reprezentacyi naszéj trzymać się porządku chronologicznego i zdać po prostu sprawę z tego, co się przy *jej* udziale praktykowało na wielkiéj, plenarnéj widowni sejmu, kiedy wspomniana komisya rozbierała na swém uboczu kościelno-polityczny projekt rządu.

Nim przystąpimy do naszego sprawozdawczego zadania, należy zacząć znów od pewnéj wstępnéj, objaśniającéj uwagi. Pominąwszy parlamentarny oręż *wniosków* i *interpelacyj*, daje tylko dyskusya nad rozmaitemi pozycyami *budżetu państwowego* sposobność różnym stronnictwom występowania ze swémi postulatami, wytaczania skarg i zażaleń. Co się tyczy podobnychże *postulatów* i *grawaminów* frakcyi polskiéj, był na ten raz właśnie szereg ich obfitszy, niż kiedykolwiek. Stan wychowania publicznego w w. księztwie Poznańskiém, począwszy od najniższych skończywszy na najwyższych zakładach naukowych; stan stosunków kościoła katolickiego tamże; sądownictwo, administracya i postępowanie jéj równie w przedmiocie zmiany nazw naszych miejscowości, jak względem różnych naszych towarzystw, którym ze stanowiska litery prawa nic zarzucić nie można,—otóż to wszystko rzeczy, powołujące nieubłaganie do czynności naszą reprezentacyą. Mianowicie wymagało tego natarczywie położenie naszych zakładów szkolnych. Gwałtowny system niemczenia i symultanizowania szkół; usuwanie systematycznie nauczycieli Polaków z wyższych zakładów naukowych do tego stopnia, że np. gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu na 27 nauczycieli liczy siedmiu Polaków; zażywanie *rozmaitych* bardzo *rozmaitej* natury sposobów, aby narodowy charakter tegoż zakładu i w składzie *uczniów* przeinaczyć,—wszystko to razem wymagało wzmianki a o ile możności i naprawy za pośrednictwem trybuny parlamentarnéj. Nie dość na tém, zaczęli się ci i owi z nowo-ustanowionych inspektorów świeckich szkolnych dopuszczać najniesłychańszych „patryotycznych“ samowolności. Niektórzy, posprowadzani z innych prowincyj niemieckich nauczyciele, poczęli tak dalece praktykować swoję cywilizacyjną u nas misyą że w obec zupełnéj niemożności dojścia do swego prawa u władz miejscowych, bezpośrednio przełożonych, pozostawała nam jeszcze tylko droga sejmowa jedynym środkiem zapobieżenia złemu. Dość powiedzieć np., że nauczyciel elementarny, nazwiskiem Woy, zatrudniony przy miejskiéj, świętomarcińskiéj szkole w Poznaniu, uderzył w twarz chłopca za to, iż mu na zapytanie co do swéj naro-

dowości odpowiedział, że jest Polakiem. Dość dalej przytoczyć, że osławiony inspektor szkolny powiatu poznańskiego, niejaki Lux, posunął się do samowolnego przeinaczenia nazwisk uczniów i uczennic, których nazwiska zdawały mu się niemieckiemi lub brzmiącemi z niemiecka, że dalej sfabrykowawszy w ten sposób w szkole miasteczka Swarzędza kilkudziesięciu Niemców swego autoramentu, narzucił im równocześnie obowiązek pobierania nauki religii w języku niemieckim. Napróżno wystąpiła z oskarżeniem podobnego postępowania miejscowa prasa polska. Przełożona władza ograniczyła swą czynność na zażądaniu od takiego p. Luxa własnego sprawozdania we własnéj sprawie, zostawiając go zresztą nietkniętym na zajmowaném stanowisku. Pozostała tu więc jedyna droga—wystąpienia sejmowego.

Nie inaczéj działo się w kwestyi przeinaczania nazw miejscowości, daléj w sprawie postępowania władz miejscowych administracyjnych z rozmaitémi towarzystwami naszémi, towarzystwami nawet dobroczynnémi i naukowémi, do jakich rzędu należą np. między innemi Towarzystwo Pomocy Naukowéj imienia doktora Karola Marcinkowskiego i Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie. Pierwsze z pomienionych towarzystw istniało od roku 1841 nie tylko bez przeszkody, ale nawet wśród dowodów pewnego uznania i protekcyi ze strony przedkonstytucyjnéj administracyi króla Fryderyka Wilhelma IV. Drugie, istniejące od roku 1856, ciągnęło swój żywot niezaczepiane przez lat dziesięć, aż dopiero w roku 1866, za inicyatywą ówczesnego prezesa policyi, słynnego Bärensprunga, wszystkie władze państwowe zakazały zależnym od siebie urzędnikom uczestniczenia w pracach i posiedzeniach jego.

Stokroć więcéj jeszcze drażniącą i obrażającą uczucia ludności polskiéj była ze strony miejscowéj administracyi praktyka przeinaczenia nazw polskich miejscowości. Prawodawstwo pruskie ma pod tym względem wyraźnie przepisaną procedurę; sprawa zmiany takiéj nazwy opiera się ostatecznie o sankcyą królewską. Tymczasem w gorliwości swéj germanizacyjnéj zaczęły podrzędne władze administracyjne, landraci, dystryktowi komisarze, tu i owdzie żandarmi nieledwie, praktykować zmianę nazw miejscowości polskich w najrozmaitszy sposób. Nasamprzód zmieniali do niepoznania ortografią polską takich nazw; nie dość na tém, poczęli nadawać im sami dowolnie przetłómaczone lub wymyślone przez się niemieckie miana, nakładać kary na *dominia*, których furmanki zajeżdżające do pobliskiego miasteczka we dnie targowe, nosiły, *polskie* nazwy miejscowości. Między innemi np. był wystawiony na przyjemności podobnéj żandarmskiéj procedury sam prezes sejmowy koła polskiego, Hen-

ryk Szuman, który dopiero drogą procesu w dwóch instancyach zdołał przeprowadzić prawo swe, że własności jego pozostała nazwa polska *Władysławowa* zamiast nowo-narzuconéj *Althütte*. Procedura ta znalazła ochocze poparcie ze strony organów sądownictwa. Naczelny prezes sądu nadziemiańskiego poznańskiego, rozgłośny ze swych germanizacyjnych dążności von Kunowski, wydał do urzędów hipotecznych rozporządzenie, aby i w księgach wieczystych po dziesięciu latach ginął ślad pierwotnéj nazwy polskiéj a odtąd figurowała w nich jedynie nowa, niemiecka. Posuwając się jeszcze daléj, zaczęła tendencya germanizacyjna bądź to, jak już wyżéj nadmieniono, przez inspektorów szkolnych, bądź przez urzędników stanu cywilnego przeinaczać nazwy rodzinne, kaleczyć ich pisownią i to do tego stopnia, że nawet naczelny prezes w. księztwa Poznańskiego uznał za rzecz potrzebną zwrócić na to uwagę i zalecić, aby podobnéj praktyce położono koniec. Że *monitum* takie, którego fakt w imię prawdy i bezstronności zapisujemy niniejszém, nie odniosło zamierzonego skutku, dowodzi niestety obecny stan rzeczy w téj dziedzinie panujący.

Wchodzi wreszcie w dział tych *grawaminów* stanowiących materyał dla naszéj deputacyj sejmowéj zarząd świecki majątku kościelnego naszych obu dyecezyi, gnieźnieńskiéj i poznańskiéj, z radzcą regencyjnym Perkuhnem na czele. Obok niezaczepialnego i niezaprzeczalnego finansowego i ekonomicznego ładu stanowiącego przedmiot głośnego uznania ministra oświecenia Goslera, jak wszędzie, tak i tu tendencya germanizacyjna dawała się pod najrozmaitszémi względami dotkliwie we znaki żywiołowi rodzimemu.

Szerokie tedy, jak ztąd widzimy, pole przedstawiało się deputacyi naszéj sejmowéj do rozpoczęcia kampanii parlamentarnéj w interesie licznego szeregu pokrzywdzeń i potrzeb reprezentowanego przez się żywiołu. Należałoby teraz zapytać, czy i jak temu zadaniu odpowiedziała i sprostała? Otóż, formalnie rzeczy biorąc, dostarczał, regularnie znajdujący się na porządku dziennym, *etat* téj lub owéj dykasteryi państwa sposobność naszéj deputacyi występowania ze swemi zażaleniami i postulatami. Inicyatywa rządowa, regulaminowa, wywoływała w ten sposób obecność okolicznościową naszéj deputacyi i wprowadzała od czasu do czasu tych i owych jéj członków na trybunę sejmową. *Etat* ministeryum spraw wewnętrznych, rozpoczynający „z wieku i urzędu“ lustracyą mających być zatwierdzonémi i sprawdzanémi przez reprezentacyą krajową wydatków publicznych, dostarczył nasamprzód deputowanemu Wierzbińskiemu sposobności do wypowiedzenia uwag o postępowaniu władz administracyjnych względem wspomnianych wyżéj towarzystw naszych. W mowie

swéj wspomniał Wierzbiński, co się tyczy towarzystwa pomocy naukowéj, jak przedkonstytucyjne rządy króla Fryderyka Wilhelma IV umiały tak wysoce humanitarną instytucyą szanować, jak jéj nie kładły nietylko żadnych przeszkód, ale jak przeciwnie starały się jéj dawać wszelką możliwą pomoc i opiekę, a że dopiero smutną właściwością obecnéj epoki konstytucyonalizmu i liberalizmu stało się zapobiegać, o ile się da, rozwojowi towarzystwa, poddawać kontroli skład jego komitetów powiatowych, zakazywać urzędnikom i nauczycielom udziału w towarzystwie. Ku ilustracyi postępowania z tą szlachetną i piękną instytucyą, przytoczył mówca fakt, iż wspomniany już wyżéj, głośny ze swéj dążności germanizacyjnéj prezes sądu nadziemiańskiego poznańskiego nakazał jednemu ze starszych, zasłużonych sędziów polskich złożyć urząd podskarbiego powiatowego Towarzystwa Pomocy Naukowéj, który to obowiązek pełnił bez przeszkody przez długie lata. W podobny sposób występował Wierzbiński w obronie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zapytując czy jest istotnie zadaniem państwa, którego hasłem prawo, światło i cywilizacya, kłaść ustawiczne przeszkody swobodnemu rozwojowi czysto naukowéj instytucyi, stworzonéj do tego przez społeczność pomawianą z pewnym powtarzającym się konsekwentnie uporem o lenistwo duchowe i niższość kultury. Drugie czytanie tegoż samego etatu dało temuż posłowi nową sposobność wystąpienia ze skargą przeciw: przeinaczaniu nazw miejscowości i rodzin polskich za pomocą argumentów i komentarzy łatwych do odgadnienia w ustach słusznéj drażliwości polskiéj. Zauważyć przy téj sposobności należy, że *etat* ministeryum spraw wewnętrznych ma swego rządowego i urzędowego reprezentanta w baronie Puttkammerze, osobistości form *wielce* przyzwoitych, *nie* odznaczającéj się nadto przeciw żywiołowi naszemu zawziętością Falka i jemu podobnych, prócz tego obdarzonéj pewną dozą samodzielności, o ile pod rządami księcia-kanclerza niemieckiego jaki bądź jego podwładny samodzielnym być może. Minister Puttkammer uznał do pewnego stopnia słuszność wywodów Wierzbińskiego, odpowiadając na nie znaczącém w takich razach milczeniem.

Inaczéj działo się przy następnéj pozycyi budżetu państwowego, przeznaczonéj dla ministeryum oświecenia. Jeżeli deputaci nasi, nie podnosząc wcale głosu przy etacie ministeryum sprawiedliwości dostarczającym bardzo wiele ciekawego i obfitego materyału, zwrócili główny nacisk akcyi swéj parlamentarnéj na etat wydziału oświecenia, nie można powiedzieć, aby się nie byli spotkali z zaciętym, pewne rozdrażnienie znamionującym oporem reprezentanta tegoż wydziału p. Gosslera. W miarę ponawiającéj się z coraz większą

konsekwencyą wśród przytaczania coraz ważniejszych i poważniejszych argumentów akcyi naszych reprezentantów, stawała się coraz drażliwszą, coraz więcéj posuwającą się do groźb i szorstkości postawa ministra oświecenia. Właśnie zaś *jego* wydział miał uprzywilejowane szczęście wywoływania na scenę, za każdym niemal krokiem w dyskusyi *swego* etatu, interwencyi deputowanych polskich. Pozycya etatu traktująca przedmiot świeckiego zarządu majątku archidyecezyi gnieźnieńsko - poznańskiéj spowodowała wystąpienie księdza Jażdżewskiego z gruntowną, pełną obfitego, faktycznego materyału mową mającą na celu udowodnić, jak dalece zarząd podobny ciąży interesom ludności a mianowicie, jak niepotrzebnie dawał się we znaki osobom rozwiązanych stowarzyszeń zakonnych, nie wyjmując żeńskich. Minister oświecenia Gossler odpowiedział na tę mowę z jednéj strony entuzyastyczną pochwałą osoby i działalności kierującego naczelnie tym zarządem radcy regencyjnego Perkuhna, z drugiéj zbywającą rzecz wymówką, że chcąc odpowiadać na wywody księdza Jażdżewskiego, byłby zmuszony przynosić z sobą do izby całą swą registraturę.

Po lekkiéj wymianie słów między nim a posłem Kantakiem w sprawie archiwum prowincyonalnego poznańskiego, w sprawie, która nawiasowo powiedziawszy, ze strony p. Kantaka mogła być na naszą korzyść tem skuteczniéj wyzyskaną, że na czele tegoż archiwum znajduje się znany ze swéj nieporównanéj *Geschichte des Landes Posen* dr. Mayer,—nastąpiło późniéj nieco i to po kilkakroć, przy pozycyi gimnazyów i szkół elementarnych, walne spotkanie między ministrem oświecenia a obu deputowanymi Kantakiem i księdzem Stablewskim. Stanowisko obu mówców było zgodne w treści, energiczne i stanowcze pod względem formy, jak dalece zaś prawdziwe i w cel trafiające, najlepszym dowodem rozdrażnienie i zakłopotanie zainterpelowanego przez nich ministra oświecenia, nie dość zaś na tém jeszcze, pieniące się istną przeciw nam wściekłością artykuły liberalnych i postępowych organów niemieckich, jak berlińskiego *Tageblatu*, jak *Danziger*, jak *Posener Zeitung*. Coby może tylko obu mówcom, tak Kantakowi, jak księdzu Stablewskiemu zarzucić można, to że faktyczny ich materyał nie był dość obfitym, że mianowicie, *skoro* się już sprawę tą podjęło, należało gruntowniéj traktować temat wyższych naszych zakładów naukowych, temat równie ciekawy jak bogaty, ku zbudowaniu i wiadomości społeczeństwa niemieckiego. Mimo to byłoby niesprawiedliwością, popełnioną przecież przez niewczesną krzykliwość niektórych, mniejszych organów poznańskich, chcieć uwłaczać stanowisku, zasłudze i odwadze wystąpienia obu mówców. Obaj zakreślili silnie i stanowczo podstawę

zasadniczą, z któréj wychodzili, obaj położyli przycisk na konstytucyjne *prawo* tego, co minister i postępowa prasa nazywali i potępiali jako „agitacyą;“ obaj napiętnowali zasłużonemi wyrazami system symultanizowania i germanizowania szkół poznańskich. Znalazł nadto miejsce w mowie księdza Stablewskiego tak inspektor szkolny powiatu poznańskiego Lux, ze swémi dekretami zamieniającémi nazwiska polskich uczniów na niemieckie, jak nauczyciel święto-marcińskiéj szkoły poznańskiéj Woy, ze swym policzkiem danym, ku wiecznéj rzeczy pamięci chłopcu polskiemu za to, że śmiał, na zapytanie, przyznać do faktu swéj narodowości. Jakaż była odpowiedź ministeryalna? Najwyższe rozdrażnienie odwołujące się na *Berichty*, na sprawozdania, które naturalnie zaprzeczają z góry prawdzie wszelkich zażaleń, a które system bezwzględnéj germanizacyi w szatę nieomylności przyodziewa.

Etat ministeryum oświecenia stał się w ten sposób główną, uprzywilejowaną jakoby widownią, na któréj się praktykowała działalność naszéj reprezentacyi w sejmie pruskim, na któréj się stoczyła główna jéj walka z prześladującym nas systemem. *Przed* feryami wielkanocnemi, poza których granicę sprawozdania naszego nie mamy zamiaru rozszerzać niniejszém, zapisuje kronika akcyi parlamentarnéj posłów naszych *dwa* jeszcze tylko godne wzmianki wypadki: wystąpienie księdza Stablewskiego przeciw narodowo-liberalnemu deputatowi, niejakiemu Cuny, gdy tenże za powrotem rządowego, kościelno-politycznego projektu z Komisyi do sejmowego *plenum* mówił o niepodobieństwie ułaskawienia i restytucyi kardynała Ledóchowskiego; następnie mowę prezesa koła sejmowego polskiego Henryka Szumana w przedmiocie akcesu reprezentacyi polskiéj do kompromisu zawartego między frakcyą środkową a konserwatystami sejmu w przedmiocie projektu kościelno-politycznego. Kompromis ten redakcyi konserwatysty Rauchhaupta, upoważnia rząd do ułaskawiania destytuowanych wyrokami tak zwanego trybunału kościelnego osób duchownych i do przywracania ich na zajmowane dawniéj stanowiska. Prezes sejmowego koła polskiego, motywował ów akces polski do tegoż kompromisu argumentem, „iż rządowy projekt, jakkolwiek nie wystarczający, obejmuje przecież w swéj obecnéj modyfikacyi pewne ulgi dla kościoła katolickiego, od których wyjednania koło sejmowe polskie uchylać się nie ma zmiaru.“

Jakkolwiek jesteśmy dalekimi od myśli wynoszenia, za przykładem pewnych naszych żywiołów, owego akcesu do wysokości jakiegoś wielkiego, zasadniczego grzechu, nie zdaje nam się przecież aby krok ten reprezentacyi naszéj był istotnie potrzebnym. Nasamprzód wystarczały głosy frakcyi środkowéj i konserwatystów do

przeprowadzenia zmodyfikowanego przez Rauchhaupta rządowego projektu. Prócz tego nie można było wątpić, że choć do pewnego stopnia polskiemi przeprowadzony głosami, nie obróci się w praktyczném wykonaniu na klasyczném terytoryum W. Ks. Poznańskiego na naszą korzyść. Daléj zaś jeszcze przytoczone wyżéj motywa do tego, choć zmodyfikowanego następnie wniosku, cechowały jego dążność i sens moralny względem nas pierworodnym grzechem, który wszelkiemu kompromisowi na tém polu powinien był postawić z góry stanowczą zawadę. Zawarcie jego, jeźli się bardzo nie mylimy a rzecz dobrze rozumiemy, było rodzajem skwitowania frakcyi środkowéj za jéj, cokolwiek-bądź, wszelkiéj wdzięczności i uznania godną pomoc w dyskusyi nad projektem rządowym w dziedzinie kościelno-politycznéj i nad etatem ministeryum oświecenia. *Z tego* stanowiska rzecz uważając, nie będziemy zaiste zbyt surowymi sędziami pomienionego kompromisu, jakkolwiek zwolennikami jego nie byliśmy i nie jesteśmy. Dobijając do końca naszego sprawozdawczego zadania, winniśmy jeszcze pełną uznania wzmiankę wystąpieniu księcia Ferdynanda Radziwiłła w izbie panów za całością praw politycznych i narodowych, przyznanych W. Księstwu Poznańskiemu przez traktaty wiedeńskie z roku 1815. W innych ustach byłaby obrona taka rzeczą zwyczajną i naturalną. W ustach księcia Radziwiłła, jako wnuka dawnego namiestnika królewskiego w W. Ks. Poznańskiém, nabierała tem większego znaczenia, że znamionuje nadto pierwszy występ młodszéj generacyi téj rodziny na parlamentarnéj widowni w sensie stanowczo polskim.

Pozostaje nam teraz jeszcze tylko obowiązek *ogólnego* ocenienia akcyi i stanowiska naszéj reprezentacyi sejmowéj w ciągu ubiegłéj, zimowéj kadencyi. Akcya ta w sejmie Rzeszy była, jak nas przekonywa powyższe sprawozdanie, obronnéj tylko, jeźli tak wolno powiedzieć natury, nieco ułomnéj i niedomagającéj, a energiczniejszéj nieskończenie i nastrajającéj sią coraz więcéj do należnéj wysokości w sejmie pruskim. Mimo tych przymiotów, które jéj z wszelką skwapliwością przyznajemy, pociągała przecież akcya taka za sobą niedogodności wypływające z taktyki obronnéj, zrzekającéj się jakoby z góry i z zasady własnéj i własnemi potrzebami natchnionéj inicyatywy. Była dorywczą i okolicznościową, ograniczała się z natury rzeczy do *sposobności* i *możności* dostarczanych sobie przez stronę przeciwną, nie mogła dla tego ogarnąć *całości* ani naszych potrzeb, ani naszych zażaleń. Takiemu nieuniknionemu prędzéj czy późniéj naszego parlamentaryzmu zadaniu, może jedynie według nas sprostać obszerny, umotywowany gruntownie wniosek domagający się zmiany obecnego systemu odpowiednio z jednéj strony do zarę-

czonych naszemu żywiołowi traktatami międzynarodowemi praw politycznych i narodowych, z drugiéj strony odpowiednio do praw konstytucyjnych i przyrodzonych. Z wnioskiem takim łączyćby się powinien nieodzownie drugi, domagający się zbadania na miejscu stosunków poznańskich w dziedzinie szkolnéj, sądowniczéj, administracyjnéj, kościelnéj, przez osobną komisyą sejmową, w któréj skład wchodziliby i Polacy, w myśl artykułu 82 ustawy konstytucyjnéj pruskiéj. Wnioski takie, czy skuteczne *praktycznie*, mniejsza o to, miałyby przynajmniéj zasługę, przedstawiałyby sposobność i możność wykazania całéj wartości praktykowanego przeciw nam systemu, objęcia *całości* naszych skarg, potrzeb i zażaleń na wszystkich polach państwowego zarządu i organizmu. Wniosek taki, choć w innéj nieco formie i redakcyi, obdarzony przez pewną część publicystyki naszéj mianem *walnego wniosku*, stał się już przedmiotem zastanowienia i dyskusyi w łonie naszego sejmowego koła, nie zdołał jednakże zyskać większości z powodów, które się nam istotnemi *powodami* nie zdają. Jednym z takich argumentów np. był wzgląd na niewątpliwy fakt, iż koło nasze sejmowe występując z podobnym wnioskiem, znalazłoby się zupełnie odosobnioném. Jak gdyby było kiedykolwiek-bądź inaczéj i jak gdybyśmy zawsze, z wszystkiémi naszemi potrzebami, żądaniami i zażaleniami, jak gdybyśmy z całą istotą naszą nie byli w sejmach niemieckich i pruskich *soliterami*, którzy tylko konsekwencyą i wytrwałością sobie samym szacunek, swojéj sprawie, przy szczególnych konstelacyach i zbiegu szczególnych okoliczności, praktyczne korzyści zdobyć mogą!

Zatrzymujemy się z opowiadaniem naszém na pauzie, jaką w parlamentarnéj działalności obu sejmów spowodowały wielkanocne ferye. Po ich upływie rozpoczyna się ponowna ich czynność. Jeżeli w sejmie *Rzeszy* tyle żywotny dla interesu politycznego księcia-kanclerza projekt monopolu tabacznego otwiera reprezentacyi naszéj, przy poważnym jéj liczebnym składzie, pewne widoki zyskania praktycznych dla kraju korzyści w zamian popierania kanclerskiego projektu; to w sejmie *pruskim* ciągle jeszcze oczekuje deputacyą naszę niezałatwiona i nieusunięta z porządku dziennego sprawa *walnego wniosku* wraz z jego naturalnemi konsekwencyami. Czekajmy, co w tym względzie przyszłość odsłoni.

J. P.

1 kwietnia.

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

VII.

Nazajutrz, o zwykłéj porze wróciwszy z biura, jak zwykle znalazł na stole, przyniesiony z garkuchni przez Rębkowę obiad. Jak zwykle téż, warstwa obrzydliwego tłuszczu okrywała ostygły rosół a ckliwa woń ulatywała z żółtéj jarzyny, otaczającéj kawał ugotowanego mięsa. Wszystko to zawierało się w glinianych naczyniach, umieszczonych na zastępującym obrus ręczniku. Zaledwie usiadł na stołku i jeść zaczął, wszedł Kaplicki. Dobroduszna i otwarta fizyonomia jego, od pierwszego zaraz wejrzenia zdradzała skwaszony nieco humor. Siadając na przeciw gospodarza izdebki, który powitawszy go, wziął się znowu do rosołu z zastygtą tłustością, zaczął.

— Przyszedłem aby pożegnać cię, bo choć parę dni jeszcze zabawię w mieście, wątpię abym miał czas zobaczyć się z tobą. Przytém, przeprosić cię powinienem. Zdaje się, że nie bawiłeś się dobrze na wieczorze naszym.

Mówiąc to, dziwnie jakoś na obiad dawnego kolegi spoglądał. Raził mu on wzrok i powonienie tak, że ukryć tego nie mógł. Spostrzegł też to Ławicz ale ze spokojem zupełnym jadł dalej. Z uśmiechem też odpowiedział.

— Nie masz za co przepraszać mię, mój Michasiu. Chęci miałeś najlepsze i ja to sam, do zabaw podobnych, okazałem się niezdatnym.

Michał wybuchnął.

— Ależ zlituj się, jak można pozwolić sobie do tego stopnia zdziczéć! Jesteś chłopcem dobrze urodzonym, przystojnym i z dobrą głową, pomimo więc, że niemasz majątku i służysz w biurze,

mógłbyś być w towarzystwach bardzo dobrze widzianym, gdybyś chciał tylko zastosować się...

Ławicz, niecierpliwym ruchem położył na stole sztućce wykrzywione i w drzewo oprawne.

— Mój drogi, rzekł, ja wcale nie pragnę ani dobrze widzianym być w towarzystwach ani ich widywać...

— Dla czegóż to?

— Bo pomiędzy niemi a mną istnieje rozdział nieprzebyty. Wy, kochacie się w mnóstwie form i formułek, których ja nie uznaję, bo żadnego sensu w nich nie widzę.. Wam, nie idzie o człowieka i wartość jego ale o frak, rękawiczki, kapelusz, zgrabny ukłon i umiejętność tańcowania. Pomiędzy wami, kto nie umie tańczyć, grać w karty i po francuzku mówić, jest zerem i piątem kołem u wozu... Wasi lokaje nawet sądzą ludzi ze stanowiska fraka albo tużurka...

Mówił to z rumieńcem na twarzy i błyszczącémi oczami. Gestykulował i wpadł w ton kaznodziejski. Kaplicki wydawał się obrażonym trochę.

— Surowe bardzo i prędkie sądy wydajesz, rzekł; raz tylko popatrzyłeś na ludzi i to wtedy gdy oni bawili się a już ich potępiasz. Jeżeli myślisz, że pomiędzy tymi, których widziałeś wczoraj niéma uczciwych, zacnych i pracowitych mylisz się bardzo i jesteś niesprawiedliwym.

Dziwna rzecz! człowiek ten tak łagodny i skromny, nie spostrzegał, że w istocie tworzył o ludziach sąd surowy i pośpieszny, sąd zresztą właściwy samotnikom, którzy nie znając ludzi, przymierzają ich do własnych pojęć i teoryj, i z ich wysokości na świat poglądają. Uparł się i uniósł.

— Być może! być może! ja widziałem tylko, że piękna narzeczona twoja jest dumną i przesądną, śliczna panna Jadwiga rozmarzoną trochę roztrzepanicą, że młodzi przyjaciele twoi rozmawiają o samych niedorzecznościach a starsi rzucają na stół karty z takiém przejęciem się, jakby od wyniku ich gry, losy świata zależały...

Kaplicki wstał.

— No, rzekł, widzę, że jesteś w kaznodziejskiém usposobieniu a ja niemam czasu na słuchanie kazań. Daję dziś obiad dla tych przyjaciół moich, którzy o samych niedorzecznościach...

— Dajesz obiad, na którym zapewne będziecie pić szampana, a po którym zasiądziecie do kart...

— Naturalnie.

— Widzisz! ganisz mój sąd prędki i surowy. Jak można sądzić

was inaczéj? Czy pamiętasz tę hulankę u Zegrzdy, na któréj byliśmy razem?

— Pamiętam; cóż więc?

— Będziesz dziś przecie robił zupełnie to samo co Zegrzda...

— Ależ to zupełnie co innego!

— Dla czego?

— Ojciec zdał na mnie świeżo rządy majątku, żenię się, wchodzę do obywatelstwa...

— Więc?

— No, muszę więc zaprosić, przyjąć, ugościć współbywateli...

— Zupełnie to samo robił Zegrzda. Zapraszał, przyjmował, ugaszczał...

— W inném kółku.

— W każdém kółku co złe to złe.

— I w innéj zupełnie formie...

— Otóż to! forma... rzecz zawsze dla was najważniejsza... I występki popełniać można, byle w wykwintnéj formie...

Sprzeczali się zawzięcie, powierzchowność Ławicza utraciła całkiem zwykły swój charakter. Unosił się. Kto wié, czy w goryczy jego uśmiechów i sarkaznie słów nie było kropli żalu za światem tym na który piorunował, a w którym brzmiała muzyka, rozlegały się czarujące śpiewy, w obłokach jakby leciały piękne głowy i nagie ramiona kobiece. Ale Kaplicki, psychologiem nie był. Obraził się i rozgniewał.

— Bądźże zdrów, rzekł, i wiesz co? na pożegnanie, dam ci radę jedną. Kamedułą zostań!

Mówiąc to wkładać począł futro swe. Ławicz ochłonął. Czy zawstydził się uniesienia swego? czy drgnęło w nim stare koleżeńskie przywiązanie? Pochwycił w obie dłonie rękę gościa.

— Michasiu, nie odchodź rozgniewany. Byłeś dla mnie zawsze bardzo dobrym, nie powinienem był cię obrażać. Posłuchaj! Mnie świat wasz wydaje się istotnie pustym i nudnym ale może to w części i moja wina. Nie rozumiem go, nie bawi mię on...

— Bo zdziczałeś, ułagodzony trochę podchwycił Kaplicki.

— Wcale nie! przeciwnie! ja siebie właśnie mam za cywilizowanego człowieka! a was.. przebacz mi, mój drogi. Obrażać cię nie chcę. Ze smutkiem to mówię. Co cię zawsze i wyłącznie zajmuje? Procesy, długi, meble, powozy, konie, polowania i wieczory. Nigdy o niczém inném, gdy rozmawiam z tobą nie słyszę...

— A czemże u dyabła chcesz, abym się zajmował?

— Jakto? nic więcéj... nic?

— No, a cóżby naprzykład?

— Pamiętasz szkolne czasy nasze i własne marzenia swoje?..

Na poczciwéj twarzy Kaplickiego odmalował się niesmak.

— E! dawno to było i trwało krótko! Co innego marzenia a co innego rzeczywistość. Dzieciakiem prawie poznałem się z życiem rzeczywistém i jakiem ono jest, takim i ja się stałem...

— A wpływać trochę na tę rzeczywistość, uszlachetniać ją, coś wyższego w nią...

— Utopje, mój drogi, mrzonki i nic więcéj! Jestem człowiekiem uczciwym i honorowym, będę dobrym mężem i ojcem i—niczego więcéj od siebie nie wymagam. W teraźniejszych czasach, każdy z nas obywateli i bez tego ma kłopotów i nieprzyjemności mnóstwo, a żeby mi przyszło jeszcze nad jakiemiś mądrościami albo wielkiémi czynami głowę sobie suszyć, toby i życie zbrzydło.

— Ale w takiem życiu, mój Michale, przy takich wyłącznie przedmiotach zajęcia, zniżyć się musi strasznie skala...

— Daj mi tam pokój ze swoją skalą! Wiesz co? naczytałeś się książek i według nich świat sądzisz. Nie zgodzimy się z sobą nigdy...

— Ha! opuszczając ręce, smutnie rzekł Ławicz, boli mię to... ale... dziś mi jakoś ciągle na pamięć przychodzi Zegrzda,—czy pamiętasz jak wtedy mówił on nam: wszak ludzie różnie żyć muszą, tak jak im tam wypadnie...

— Pamiętam, więc cóż?

— Więc przebacz mój sposób życia i widzenia rzeczy i zachowaj mi swą życzliwość. .

Mówił to serdecznie, smutnie patrząc w twarz przyjaciela. Ale Kaplicki, od wczorajszego już wieczora, trochę zobojętnićć dla niego musiał. Dzisiejsza sprzeczka a może i ręcznik zamiast obrusa na stole zasłany i wstrętna woń obiadu Ławicza, dokonały reszty.

— Naturalnie, odparł, naturalnie. Jakże? jesteś przecie szkolnym kolegą moim i spotkam cię zawsze z prawdziwą przyjemnością... Adieu!...

Od dnia tego pogrążony znowu w czytaniu książek, których świeżo właśnie, kolega jego, księgarz, dostarczył mu ilość znaczną, Ławicz nie wychodził wieczorami na miasto i nie podsłuchiwał muzyki brzmiącéj we wnętrzach domów. Zresztą, na pierwszém piętrze domu w którym mieszkał, z pierwszym brzaskiem wiosny nie grano już i nie śpiewano. Było ono pustém. Z pierwszym téż brzaskiem wiosny, otrzymał on od Zenona Derszlaka list długi, na który dwa razy dłuższym listem odpowiedział. Była to także sprzeczka, innego przecież rodzaju niż ta, którą stoczył z Kaplickim. Derszlak, w charakterze nauczyciela udzielającego po domach lekcyj prywatnych, bawiący ciągle w stolicy, ognistemi słowy Apostoła lub eksta-

tyka opisywał mu atlantydę na jaką świat ten, wspólnie z gromadką przyjaciół swych, przemienić zamyślał. List kończył się słowem „przybywaj!“

Ławicz odpowiedź swoję zaczął od wyrazów: „nie przybędę!“ On także marzył nieraz o Atlantydach, ale uczeńszy albo przynajmniéj bliżéj poznajomiony z nauką, w jéj tylko niezawodne lecz powolne działania ufał, kto wié? za te to właśnie jéj obietnice szczęśliwszych losów świata, najwięcéj może kochał ją i czcił. W zapale Derszlaka widział exasperacyą człowieka, który sam cierpiał wiele, i wszystkie cierpienia rozumiał, nielogiczność umysłu pięknego może. lecz który zwichnął się, nim możliwy kres wzrostu swojego osiągnął. Zresztą, przed pisaniem odpowiedzi swéj, otworzył on okno swéj izdebki, i na wiszącą nad dachami błękitną wstęgą nieba patrzał tak długo i w taki sposób jakby ona była kartą, z któréj wyczytywał wielkie mnóstwo rzeczy. Zaczął więc odpowiedź swą od wyrazów: „nie przybędę“ a zapisawszy kilka arkuszy zakończył ją słowami: „ludzie różnie żyją i różnemi drogami chodzą, tak jak im wypadnie. Twoja droga nie może być moją. Przebacz mój sposób widzenia inny niż twój i zachowaj mi życzliwość twoją.“

Napisawszy list ten zamyślił się nad dwoma rzeczami. Naprzód, zapytał sam siebie.

— Jakąż jest moja droga?

A potém.

— Dla czego zawsze mówić do ludzi muszę: przebacz mój sposób widzenia inny niż twój?

Wkrótce potém, witając się w biurze z Piotrem Kwirą, spostrzegł w nim tak jak wtedy, przed kilku laty, zmianę wielką. We wnętrzu kościanéj figurki było znowu coś, co powierzchowność jéj okryło wyrazem zgryzoty. Znowu, nim pisać zaczął, łysę głowę wstrzęsał długo nad sinym arkuszem a pisząc, końcem suchego palca pocierał brzegi czerwonych powiek, pisał jednak wciąż, wciąż z powolną regularnością dobrze funkcyonującéj maszyny i nawet, wzdychając ciężko, pisać nie przestawał.

I znowu, tak jak przed kilku laty, pomiędzy dwoma ludźmi u dwu okien wielkiéj sali piszącymi, zawiązała się krótka, półgłosem prowadzona rozmowa,

— Panie Kwira, co panu dziś jest?

— Bieda, panie dobrodzieju...

— Czy wielka bieda, panie Kwira?

— Oj! bez grzechu narzekania... teraz już... to i okropna...

— Cóż? Zenon może?. .

Kwira, jak sprężyną poruszony, wstał nagle, z piórem w ręku, cichym, skradającym się krokiem do Ławicza zbliżył się i schylony, we dwoje prawie zgięty, szepnął mu coś do ucha. Był to widocznie jeden tylko wyraz, ale Kwira wymówił go z przerażeniem w szeroko rozwartych oczach a Ławicz zbladł i pióro z palców mu wypadło. Tegoż dnia, zstępował wraz z Kwirą po starych, kołyszących się wschodach, do suteryny, która z pod czteropiętrowéj kamienicy, wyglądała na świat, okratowaném swém oknem.

W izbie, do któréj, wiosna przyniosła tylko woń stęchlizny i występującą na nizkie ściany kroplistą wilgoć, szaro było jak o zmroku. W ogromném, czarném wnętrzu komina nie palił się ogień, deska do prasowania stała przy ścianie, u stóp jéj stało zimne żelazko. W tém samém miejscu, na którém kiedyś rozlegał się gorzki śmiech chorego i przeciw światu zbuntowanego chłopca, z za firanki utworzonéj z prześcieradeł i paru kobiecych spódnic, wyciągnęło się ku wchodzącym dwoje śniadych, wychudłych ramion z załamanemi rękoma a głos kobiecy ochrypły od choroby czy płaczu zawołał.

— Zgubiony! zgubiony.

Z pod wilgotnéj chustki, oblepiającéj szczelnie głowę Anny, na szare płótno grubéj koszuli, na spłowiały łachman służący jéj za kołdrę, i aż na skraj jéj łóżka, spływały gęste, długie, kruczo-czarne a siwizną przysypane włosy. Żar oczu jéj, rozpalonych boleścią i gorączką ponuro oświetlał twarz zciemniałą i od wychudnięcia kościstą, ze spieczonych ust, w których zarysie był jeszcze smutny odblask dawnéj ich piękności, lał się potok wyrzekania.

Zgubiony! jak złodziéj albo rozbójnik jaki w turmie siedzi!... Co to jest? jakim sposobem stać się to mogło! Dla czego ona dnia tego dożyła? Dla czego za mąż nie poszła—o Boże! wszakże mogła była to uczynić!... i dla czego swoich własnych dzieci nie miała aby obchodzić się z niemi srogo, łając ciągle, bić nawet, byleby nie spotkało ich to, co stało się z tym niegodziwym chłopcem bez serca i sumienia... Trzeba być niegodziwym i odrobiny rozsądku nie mieć aby tak zmarnować się samemu a ją zgubić, która dla niego była nie siostrą lecz matką, która za nim świata i siebie saméj nie widziała! O! czemu go ona nie biła... często bite dzieci bywają ciche i spokojne a on zawsze był taki żywy, tak wszystko strasznie brał do serca tak każdemu oporem stawał... trzeba było upokorzyć go, złamać, zrobić go głupcem choćby, ale takim, coby spokojnie gryzł swoję kromkę chleba i o niczém więcéj nie myślał... O, najszczęśliwsi głupcy i najszczęśliwsze matki te, które z głów swoich dzieci, kijem choćby wypędzają wszystkie te myślenia, co niby mądre są, a jak smoki

pożerają dzieci! Ale ona nie była jego matką, była tylko jego siostrą i nie miała prawa bić—sierotę. Zresztą ona bić nie umiała. Ojciec ich, biedaczysko to, które spadając z rusztowania kości sobie połamało, upijał się czasem, ale dzieci swoich nigdy nie bił i ich bić się nie nauczył. On umierając oddał jéj brata, takiego jeszcze wtedy malutkiego i powiedział: —Pamiętaj Anulku, pilnuj go jak źrenicy w oku i do szkół oddawaj. — Widzisz, ja cieśla, z rusztowania spadłem. On, uczonym będąc, nie spadnie! — O! tatku! czy ty widzisz ztamtąd jak on okropnie spadł!...

Żeby kto wiedział, i Kwira nawet nie znał go jeszcze wtedy, co to był za śliczny dzieciak, z włoskami kręcącemi się jak pierścionki a czarnemi jak krucze pióra, z takiemi czarnemi i modremi oczami, że wszystkie panie te, które przychodziły do niéj aby roboty u niéj zamawiać, całowały go i pieściły jak panicza jakiego, jak cherubina! Wtedy miała ona jeszcze zdrowe oczy i prześlicznie haftowała, umiała téż naprawiać i prać koronki. Roboty takie płacą się drogo a ona pracowała dniami i nocami i niedojadając trochę, w téj suterenie mieszkając mogła mu sprawić mundurek i kupić książki i zapłacić wpisowe i oddać go do szkoły. Cóż? gdyby był zdolności nie miał, oddałaby go do szewca albo do mularza, ale zdolności miał....

— Bywało, noc już późna, a on siedzi przy tym ot stole, głowę rękami obejmie i uczy się i uczy się i uczy.... takich mądrości różnych, po łacinie, po grecku, czy ja wiem już po jakiemu jeszcze, a potém wstanie od książki i bęc! przedemną na kolana i ręce moje całować zaczyna.—„Anulko! ja to tobie winienem, że uczę się ale idź ty już spać! — Ty przezemnie oślepniesz — mówi i jak bóbr, bywało, zalewa się łzami. — Doktorem, mówi, zostanę i wyleczę ciebie. Wyjdziesz za Kwirę, wyjedziemy wszyscy na wieś i spokojnie sobie żyć będziemy, ludziom dobrze robiąc.“ Ot i doktorem został, ot i wyleczył mię, ot spokojnie wszyscy żyjem! — O, głupi, niegodziwy, złoty, serdeczny, biedny, biedny mój chłopak!

Namiętnym i łzawym potokiem, wyrzekania te lały się w mrok podziemnéj izby, w głębi któréj Kwira zapalił na kominie mały ogień, gotując przy nim obiad dla siebie i ziółka dla choréj. Z drugiéj strony izby, za żelazną kratą okna, ciągnął się chodnik ulicy, słońcem wiosenném oblany, migocący barwami przesuwających się po nim sukien kobiecych. Pomiędzy dwoma światłami temi, z pod ściany wilgotnéj wyciągały się wciąż śmiałe, chude ramiona z załamanemi rękami i deski starego łóżka skrzypiały pod ciałem rzucającém się na nich w gorączce i szlochaniach. Wilgotne ściany izby, zakrato-

wane jéj okno, deska do prasowania i ciężkie żelazko przykrywające część wypalonéj podłogi, ciemne okulary rzucone przy lampce z zieloném okryciem, szczupła komódka, a na niéj w ładnych ramkach fotografia 16-letniego chłopca w studenckim mundurku, wszystko to aż do chudego, łysego człowieka, którego ptasi profil rysował się na żółtém tle ognia, a małe oczy spoglądały w przestrzeń z wyrazem boleści, wszystko słowem, co się tu znajdowało, stanowiło zgłoski historyi téj, która teraz, w kącie izby, zdawała się kresu swego dobiegać. Przysłaniająca łóżko a na sznurach zawieszona odzież, wyglądała jak koło utworzone z bujających w powietrzu widm nędzy. Kołem tém otoczona kobieta, długie jeszcze dni kilka coraz ciszéj wyrzekała, szlochała, kaszlała i wyciągała w przestrzeń coraz chudsze ramiona, zabliźnionemi ranami od żelaza okryte. Blizny te, były także zgłoskami jéj historyi i historyi tego, czyje imię wymawiała ona dopóty, dopóki nie zrobiło się tam zupełnie już cicho.... Było to o świcie. W szarem świetle wschodzącego dnia, lampka z zieloną zasłoną paliła się jak wielki szmaragd, którego światło padało na ładne ramki i rysującą się pośród nich twarz młodzieńczą, pełną czułości, ognia i nadziei.... W godzinę potém Ławicz i Kwira znaleźli się na poddaszu czteropiętrowego domu. Kwira usiadł na łóżku swém i łokcie oparłszy na kolanach, a łysą głowę ująwszy w kościste dłonie, pogrążył się cały w długiéj medytacyi. Szczupła postać jego, melancholijnie, zwolna i rytmicznie kołysała się w obie strony. Raz tylko i nie podnosząc głowy, wymówił:

— Bez grzechu narzekania.... można Pana Boga zapytać pocośmy się rodzili? ona... ja... i tamten?

W tejże chwili pierwszy promień słońca błysnął na szybach okna i złotą nicią spłynął na ścianę. Zaludniające izbę kanarki, obudziły się, powylatywały z klatek, pozlatywały z prętów swych, ze sprzętów, zewsząd ruchliwym, wesołym rojem zatrzepotały i rozśpiewały się nad zgiętemi plecami i łysą czaszką człowieka, kołyszącego się na ubogiéj pościeli.

On wtedy podniósł głowę, schwycił rękę Ławicza, popatrzył mu w oczy wzrokiem od łez nabrzmiałym i szepnąwszy: — Niby nic... panie dobrodzieju... a to była kobieta święta! — Wybuchnął wielkim łkaniem. Śpiewanie kanarków zagłuszyło szmer jego płaczu. Jeden z nich usiadł mu na plecach, na tém właśnie miejscu gdzie w domowém ubraniu jego była spora, załatana dziura, parę zaś innych umieściło się na urzędowym surducie, który leżał na stołku, a w którego pozłacanych guzikach promień słońca rozpalał skaczące, wesołe błyski.

VIII.

„Jakąż jest droga moja?“ było to pytanie, które od czasu pewnego, dniem i nocą, w biurze i na ulicy, prześladowało Ławicza, niby zwrotka pieśni, na różne tony wyśpiewywana, po mózgu jego krążąc.

Jakto! miał lat dwadzieścia kilka, tak wiele już pracował, tak ciężko i oddawna wywalczał sobie możność oddychania powietrzem téj ziemi a jeszcze nie wiedział, jaką jest droga jego? Tak, nie wiedział zrazu, lecz potém, gdy zgłębiać zaczął pytanie własne, dowiedział się, że nie było przed nim drogi żadnéj.

Dnia pewnego wróciwszy z biura i roztworzywszy przed sobą książkę, uczuł, że czytać nie może. Ciemne fale mgły jakby wilgotnéj albo krwi zbiegającéj do powiek, zawieszały się pomiędzy oczami jego a kartami książki. Myślał, że dla niego nie było na świecie miejsca, na którym mógłby siać zebrane ziarna i cieszyć się nadzieją czy widokiem plonów, że nie było i być nie mogło dla niego plonów żadnych, ani wzrastania i dążenia żadnego. Tu niedostawało mu prawa, tam możności i za nim jak przed nim nie istniało nic, prócz ścian téj izdebki, prócz ścian kancelaryjnéj sali, prócz dośmiertnego przepisywania aktów kancelaryjnych, prócz wiecznego wypychania własnéj czaszki tém, co w niéj tylko nazawsze pozostać miało.

Przymusowość pracy nuży, bezowocność jéj zniechęca. Sześć lat przymusowego orania na powszedni rosół z zastygłą tłustością i kubek mleka z sześciogroszową bułką, — dziewięć lat gonitwy bez oddechu za wiedzą, przed którą ubóstwo z jednéj strony a z innéj artykuły prawa, krzyżowały swe miecze, lata te pracowite, samotne i nędzą zaprawne, zaciężyły mu na barkach, głowie i ramionach. Teraz dopiero przypomniał sobie, że były w nich i praca i samotność i nędza. Teraz dopiero uczuł zniechęcenie rozbitka, który długo i z całéj siły płynąc z okiem utkwioném w dalekie brzegi, spostrzega, że widok brzegów tych był złudzeniem. Skoro więc nigdzie, na całym widnokręgu, na całéj przestrzeni szerokiego jednak świata, niema dla niego żadnych brzegów, po cóż ma dłużéj piersią zdyszaną pruć fale morza—zimne i oporne?

Po co? pytanie to przywiodło za sobą cały szereg pytań i twierdzeń, które przez wszystkie te lata obijały się o uszy jego, w piersi zapału i wytrwania pełnéj echa nie znajdując. Teraz echa zagadały.

— Co ty z tém wszystkiém zrobisz? — Jaką rolę użyźni pot czoła twego? — Czyją dolę rozjaśni światło, którego tyle do głowy swéj nabierasz?—zapytywał Derszlak.

— Po co ci to? na co ci się to przyda?— pytał Dębski— a tenże sam chłodny i rozważny głos mówił jeszcze: bez celu.... bez celu... niepraktyczne!

— Bzika masz! — junacko twierdził Zegrzda.

— Kamedułą zostań — doradzał Kaplicki.

— Sfiksujesz pan — przepowiadała nawet Rębkowa. — A szafirowe oczy panny Jadwigi patrzały na niego z litością albo ironią, alabastrowe ramiona panny Aliny wstrząsały się wzgardliwym śmiechem; lokaj nawet, roznoszący na tańcującym wieczorze limoniadę i wodę z sokiem, wejrzeniem swém i ruchem wspaniałéj swéj brody mówić się zdawał: — Jam mędrszy od ciebie, uczony głupcze, który po łacinie umiesz i promienie słońca w garść łapać chciałeś a z ubrania i miny wyglądasz na kredensowego chłopca! Może... może oni mieli słuszność... Zapewne.... najpewniéj mieli słuszność!

Gdyby nie to i nie to i nie tamto, byłoby inaczéj, ale ponieważ to zdarzyło się a tamto na świecie istnieje, więc mieli słuszność!

Z książek stojących przy ścianie, leżących na podłodze, piętrzących się na stole i stołkach, długoletnim przyzwyczajeniem wywoływane, śpiewały głosy syren:

„Ku nam, ku nam statek nakieruj,
„Głosom przysłuchać się naszym.. ..

Ale Ławicz z okiem przygasłém i opuszczonemi rękami odpowiedział:

— Nie chcę....

Lecz zaledwie powiedział to, uczuł spadającą mu na barki niezmierną nudę życia. Cóż więc miał czynić z godzinami swemi, wieczorami, nocami, w których przywykł był spać niewiele? A bardziéj jeszcze, co czynić miał z tym ogniem wewnętrznym, który przygasł lecz nie zgasł i nie zużywany na nic dławił go i dręczył?

Zycia więc, ruchu, czynu i uczucia! Gdzież one były? — Wszędzie. Świat był ich pełen. Pełno było na świecie ludzi, którzy ruszali się, kochali — słowem żyli. Więc żyć jak inni ludzie.... żyć jak żyli wszyscy!...

Ba! alboż on już mógł żyć jak wszyscy? Stała się z nim rzecz szczególna. Spadła nań pokuta za to co miał w sobie najlepszego, za długoletnie, zapamiętałe przebywanie w wysokich sferach uczuć i myśli. Sfery te były od powszednich zjawisk życia tak oderwane, że przebywając śród nich, stał się on powszedniemu życiu obcym a ono dla niego stało się nieprzyjaznem. Sfery te jeszcze były tak wysokie, że przebywając śród nich, przywykł on do zapatrywania się na powszednie życie z wysoka. A życie powszednie przymierza-

nia go do idealnych modeł nie znosi. Kto uciech jego używać pragnie, musi przyjmować je naiwnie, wpółślepo, bez drobnowidza, bez skalpelu, bez wstecznych spojrzeń na źródła ich i następstwa. Ławicz zaś z długich lat samotnéj pracy, wyniósł pełno zasad i teoryj.... Z życiem powszedniém i powszedniemi uciechami pokłócony, czuł, że w sferach idealnych, w których przemieszkiwał dotąd utrzymać się już nie może....

Więc cóż? Przez małe okno otwarte nad blaszanym dachem, zalatywało go powietrze majowego poranku. Był to także poranek niedzielny, w którym ulice miasta słały ku małym oknom nad dachami otwartym, zmięszane gwary. Tam, daleko, pośród pól i lasów, od których przylatywał upajający ten powiew wiosny, słonecznie było, świeżo, zielono; chaty wieśniacze stały wśród drzew okrytych kwiatami, z rzędami pyzatych twarzy dziecinnych na przyzbach; swobodne wiatry dziwne pieśni grały na samotnych gruszach polnych, na brzozach w gęsty gaj zbitych i na sercach ludzkich, odświętnie pod odświętną odzieżą bijących. Tu znowu, na tych ulicach i w tych domach miejskich rozlegał się uroczysty śpiew dzwonów kościelnych, uśmiechały się ku sobie twarze i przyjaźnie spotykały się dłonie ludzkie; na rynkach toczyły się głośne i żwawe targi; z otwartych okien wychylały się roześmiane twarze dzieci i dziewcząt, potém nieco, za godzinę, za dwie, okna te wyleją na świat potoki wesołéj albo melancholijnéj muzyki.... Tam i tu każdy miał coś albo kogoś swego. Chata skąpana w słońcu, zorany zagon, szmaragd łąki, gromada drzew szumiących, kobieta, dziecię, muzyka, te nawet dzwonienia kościelne mówiące ludziom, że Bóg modlitwy ich słuchać gotów, te nawet targi na rynkach i te na chodnikach przelotne uśmiechy,—było to przecież wszystko czyjemś szczęściem, uciechą, nadzieją, a choćby złudzeniem tylko, lecz błogiém....

Młody, samotny człowiek, wychylający się przez małe okno, wysokiego poddasza, pomimo majowego słońca grzejącego mu plecy, uczuł przenikające go zimno. Zwrócił się twarzą do swéj izdebki. Podniósł głowę i ze zdziwieniem słuchać zaczął.....

Jakaż to piosnka wesoła i razem rzewna, kobiecym głosem śpiewana, zbliżała się ku drzwiom jego? Szła ona z dołu i zwolna podnosiła się coraz wyżéj, dźwięczała coraz bliżéj, świeża tak i swobodna, jak gdyby ją ku niemu, w czarnéj chwili jego życia, przysyłały zielone pola i śpiewające gaje wioski:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym, nie świeciłabym.... jak tylko dla ciebie.“

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich kobieta wcale niepodobna do Rębkowéj, która zwyczajnie o téj porze przynosiła tu na

tacce kubek z mlekiem i sześciogroszową bułkę. Niosła ona także w obu rękach tackę z kubkiem i bułką ale była ośmnastoletnią dziewczyną, wysoką, silną, zgrabną, z błyszczącémi jak wiśnia ustami, pośród rumianéj twarzy, z oczami, które z pod ciemnéj rzęsy patrzały jak dwa liliowe kwiaty lnu. Na stanik źle zrobionéj i przeraźliwie wykrochmalonéj sukni opadał warkocz ciemno-płowych włosów, a nad samém uchem jéj, niezgrabnie sterczała duża i silnie pachnąca gałęź kwitnącego jaśminu. Ławicz zdziwionêm okiem orzucił od stóp do głowy to żyjące uosobienie zdrowéj, raźnéj, wiejskiéj piękności kobiecéj. Ona, zmięszana trochę, w grubych swych i ciężkich trzewikach dość lekko przeszła izdebkę, a stawiając na stole tackę z kubkiem i bułką, rzekła:

— Ciotka Rębkowa cościś cierpiąca trochę, kazała mi przynieść panu śniadanie i w mieszkaniu uprzątnąć. Czy można?

Mówiąc to, patrzała nie na tego do kogo mówiła, ale na ścianę, a oczy jéj wyglądały jak dwa kwiaty lnu z nieśmiałą ciekawością na świat wyglądające.

— Owszem, proszę. — Czy pani jest krewną pani Rębkowéj?

— A jakże!

— Blizką krewną?

— A jakże! bratanicą....

— Ale pani ze wsi tu przybyła?

— A jakże!

— Niedawno pewnie?

— A wczora tylko.

— Nazywam się Zygmunt Ławicz. — Czy mogę wiedziéć....

— Co takiego?

— Czy mogę wiedziéć, jak imię i nazwisko pani.

— Czemuż nie? — Franciszka Rębkówna.

— Także Rębkówna?

— A jakże!—U nas w okolicy trzydzieści domów Rębków. Wujaszek Paweł z téj okolicy pochodzi, i ciotka Pawłowa z téj okolicy i ja...

Rozmowa urwała się. Piękna dziewczyna krzątała się około uprzątania izdebki.. Ruchy jéj miały w sobie swobodę i giętkość pokrywającą to co było w nich prostaczego. Widocznie stawała się coraz śmielszą.

— Jezu!—zawołała po chwili— co tu książek! I w serdecznym śmiechu, pomiędzy wiśniowemi wargami, ukazała dwa rzędy prześlicznych zębów.

Ławicz wydawał się trochę zmięszanym. Dziewczyna miotełką z piór kogucich strzepywała pył z książek, tak blizko niego, że zapach sterczącego we włosach jéj jaźmiu twarz mu oblewał.

— A pani lubi czytać książki?

— Ja?

Zdziwiła się nieco i zastanowiła.

— A lubię... kiedy piękne modlitwy są....

— A innych książek, prócz do nabożeństwa, pani nie lubi czytać?

— A jakże! — Do nas *węgrzyni* takie śliczne książki czasem przynoszą! Zimową porą, jak niema czego robić, zbieramy się po domach i czytamy....

— Jakże nazywają się te książki?

— Ot, głupstwo!—Jedna była historya świętéj Genowefy, a druga historya księżniczki Magelony, a trzecia o tym rozbójniku, co to nazéwał się.... Oj, żeby jego....

Zachichotała z cicha, ale bardzo zawstydzona wesołością własną twarz za wieszadła z odzieniem schowała.

Ławicz uśmiechnął się. Bawiły go wymienione przez dziewczynę tytuły książek, najbardziéj przecież rozweselała go może świeżość jéj uśmiechów i swoboda ruchów, z jakiemi, wskoczywszy na stołek, miotełką swą zdejmowała pajęczyny zapełniające kąt izdebki.

— Jezu! co tu pajęczyn! a pyłu po kątach, jak w jakiéj karczmie! Już to ciotce wstyd, że tu tak brudno. Ja tego nie lubię! U mnie izba powinna być czysta jak szklanka i odzienie *tak samo.*— A jakże! czy to człowiek świnia, żeby żył w brudach? I u ciotki Rębkowéj *tak samo* brudno, ale niech ja tam pobędę troszkę.

— Czy ciotka pani bardzo chora?...

— Et, głupstwo! kolki *sparły*, bo *musi* wczoraj objadła się....

Zeskoczyła ze stołka, cała pąsowa od podejmowania ramion i pełnego zapału opylania ścian.

— Jezu! że téż i u pana żadnego kwiatka na oknie niema. I u ciotki niema! Ja niewiem jak to tu ludzie żyją, bez zieloności i bez kwiatów i bez wszystkiego. Przed naszym domem nagietki i maki jak rozkwitną, to aż żółto i czerwono robi się w oczach, a jeszcze i w izbie wazony śliczne. Pelargonię różową mam, tę co mi ją przeszłego roku ogrodnik z Zawirowa darował... Wyrosła ot tak! i kwitnąć już zaczynała... chciałam ją wziąść z sobą ale matka nie dała. Matka tak samo *przepada się* za kwiatami. — Kiedy już ciebie nie będzie—mówi—niechże choć twoje kwiatki oczy moje pocieszają. — Och, och!

Westchnęła, opuściła ręce z miotełką i posmutniała.

— Pewno panna Franciszka prędko na wieś powróci, spróbował pocieszyć ją Ławicz.

— Bóg święty wié — ze spuszczonémi oczami szepnęła.

— Po cóż pani przyjechała tu, kiedy tak smutno po wiosce i po rodzicach i — po pelargonii?

— Ot, pan żartuje sobie, a mnie naprawdę bardzo smutno....

Stała na środku izby, ze wzrokiem spuszczonym na miotełkę, kogucie jéj pióra skubiąc grubémi, spracowanémi palcami.

— Ot, po co ja tu przyjechałam! — Zwyczajnie bieda z domu wygnała! Pola u nas niewiele, łąki tyle co nic, a braci trzech i dwie siostry... braci dwóch dorosłych już... w tym roku pożenią się pewnie... i ojciec i matka... gromada taka! Gdzie tu wszystkim w domu wyżyć! Młodszego brata ojciec do rzemiosła przeznaczył... W świat pójdzie. I mnie powiedział: idź w świat! Z naszéj okolicy dużo dziewcząt w służbę do miasta idzie. I mnie w służbę wysłali, żebym późniéj braciom na karku nie siedziała. — Kiedy trzeba to trzeba! Ojciec na *wspólność* z sąsiadami *gubernantkę* dla nas trzymał... Czytać nauczyła, szyć i szydełkiem robić i prać różne cienkie rzeczy. Albo to święci garnki lepią? kiedy trzeba to trzeba!

Mówiła to wszystko prędko, zcicha, uśmiechała się niby, ale ze spuszczonych oczu na twarz jéj posmutniałą i usta zmuszające się do uśmiechu, a krzywiące się do płaczu, płynęły łzy. We wpatrzonych w nią oczach Ławicza, malowało się współczucie....

— Prędkoż panna Franciszka pójdzie już w służbę?

— Bóg święty wié! pewnie prędko. Wujaszek Paweł stara się o miejsce dla mnie... tymczasem będę mieszkać u nich i ciotce pomagać.

— A może... może zanim znajdzie się te miejsce... panna Franciszka za mąż pójdzie?...

Od płowych włosów aż do ogorzałéj szyi, stanęła cała w ogniu rumieńca. Zarazem odwróciła się prędko; skoczyła ku drzwiom. Już otwierała je, kiedy Ławicz wstając ze stołka, zawołał:

— Proszę pani... panno Franciszko!

— A co?

Z ręką na klamce, odwróciła ku niemu twarz jeszcze nieostygłą, z nieśmiało podnoszącémi się z pod ciemnych brwi liliowémi oczami.

Alboż on wiedział sam, co miał jéj do powiedzenia? Przez kilka sekund patrzali na siebie wprost, oko w oko.

— Ot tak. Nic! mnie tu smutno.... więc chciałem, żeby pani dłużéj trochę pobyła...

Spojrzała po izdebce i wstrząsnęła głową na dowód niby pożałowania....

— Że smutno, to smutno....

— I ja... z biedy... w służbę pójść musiałem.

— Do kancelaryi? — zapytała.

Skinął twierdząco głową.

— Wujaszek mówił wczora....

Urwała i twarz za drzwi wpółotwarte schowała.

— Co wujaszek mówił?

— Że pan bardzo uczony.... odpowiedziała z za drzwi.

Ławicz uśmiechnął się dziwnie.

— To ja byłam bardzo ciekawa zobaczyć pana. Józefek, ten mój stryjeczny, także w kancelaryi służy ale *barzdo* głupi...

Z nieśmiałą ciekawością wyjrzała z za drzwi i znowu mu w twarz popatrzała, a potém spójrzeniem izdebkę do koła obiegła.

— Jezu!— rzekła -- tu w téj ciasnocie świata bożego nie widać! I mnie, od kiedym do miasta wyjechała cościć aż dusi.... U nas o téj porze, w niedzielę tak wesoło....

Plecami o drzwi oparta, skubała w palcach gałąź jaśminu, która z włosów jéj wypadła.

— Niech mi pani tę gałązkę daruje...

— A na co?

— Będzie mi z nią trochę weseléj....

Zdziwiła się, zawstydziła i spuściła oczy.

— Od czego to ma być weseléj? z niezadowoleniem niby wydymając wargi, szepnęła:

— Od tego może, że kwiat ten jest cząstką bożego świata, którego... tu nie widać!

Wstrząsnęła potakująco głową:

— To prawda... że nie widać!

— Widzi pani! kto sam smutny choć trochę, ten i cudzy smutek zrozumié!

— No to proszę!

Ruchem w którego trwożliwéj niezgrabności było dużo wdzięku, podała mu pachnącą gałązkę i — pąsowa znowu cała uciekła. Po paru minutach zdaleka już, z dołu wschodów czy z dziedzińca na poddasze zaleciały znowu oderwane dźwięki i słowa piosenki:

„Gdybym ja była słowiczkiem majowym,
„Nie śpiewałabym, nie śpiewałabym jak tylko.....

— Franka! Franka! — ozwało się z otwartego na dziedziniec okna basowe wołanie Rębkowéj.

— Aha! ciotko! aha!

Wpadła do dużéj, dostatnio sprzętami napełnionéj, a brudnéj jak komin izby Rębków i jednym skokiem od progu, schowała się pomiędzy piec i szafę.

— Ciotko! ozwała się z ukrycia tego.

— Aha? z topieli poduszek i kołder głowę wysuwając zapytała Rębkowa.

— Ten pan, coście mnie do niego posyłali...

— To co... ten pan? pewnie go już w domu nie było...

— Był...

— No i cóż?...

— Ten pan... bardzo grzeczny...

— A coby miał być niegrzeczny! albo ty *chamka* jaka, czy co? Szlachcianką jesteś tak jak i on, i bratanicą moją.

— Ono to tak ale on bardzo grzeczny i taki delikatny...

— Ano! z edukacyą człowiek. Wié jak z ludźmi obchodzić się trzeba. Oj kolki, kolki!

Pomiędzy szafą a piecem słyszéć się dawał szczególny szmer, bardzo podobny do drapania paznogciem po drzewie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan...

— To co jeszcze?...

— Bardzo ładny... taki jakiś biały i tak smutno patrzy...

— A coby miał być wesołym? biedaczysko! pracuje jak wół a sam jeden na świecie jak palec...

Tym razem, pomiędzy piecem a szafą dało się słyszeć głośne westchnienie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan... daleko rozumniejszy od Józefka... *Musić* to nie każdy *kancelista* głupi taki jak Józefek...

Tym razem, z pod kołder, wychylił się cały już potężny biust Rębkowéj.

— No, no! coś ty mi zanadto o tym panu gadać zaczęłaś! Jeszcze nim sobie głowy nie zawróć! On nie dla ciebie, pamiętaj! bo choć ty szlachcianką i bratanicą moją jesteś ale bez edukacyi a on uczony i będzie sobie żonki z edukacyą szukał. Ot, wyleź lepiéj z kąta i zawiń się około uprzątnięcia izby i około obiadu, bo jak wuj z miasta przyjdzie a obiadu nie będzie... *herezyi* takich narobi, że piechotą do *okolicy* uciekniesz...

Nie wylazła z kąta ale wyskoczyła i zawinąwszy po łokieć rękawy perkalowéj sukni a trzewiki z nóg zdjąwszy tak się około wska-

zanych jéj robót zawinęła, że po godzinie, duża izba zamiast do okopconego komina, podobną była do starannie wymytéj szklanki a na kominie, przy wielkim, wesołym ogniu gotował się obiad. Wyskoczyła na dziedziniec i po chwili wróciła z ogromnym pękiem kwitnącego bzu i różnéj zieleni, w obu rękach. Łupami temi przyniesionémi ze wspólnie do wszystkich lokatorów kamienicy należącego ogródka, zdobić zaczęła izbę. Z twarzą rozognioną od ruchu i zmęczenia, z kroplami potu na czole i potarganym warkoczem, bosa, w spódnicy podniesionéj prawie do kolan a rękawach do łokcia zawiniętych, stała na stołku i ogromne pęki kwitnącéj i nie kwitnącéj zieleni za belki sufitu wsuwała. Przytem, głosem rwącym się od przyśpieszonego oddechu, śpiewała.

—„Oj, cóż komu do tego
Że ja kumeię lublę,
Że ja kumcl mojej miłéj...

W tém, śpiewać przestała i ze stołka zeskoczyła. Rębkowa krzyknęła: Jezus Panie! i nurka dała pod kołdry. Do izby, w paltocie i z czapką w ręku wszedł Ławicz. Wszedł i niewiadomo było zupełnie czy słyszał krzyk przerażenia Rębkowéj albo widział wielką górę, która po schowaniu się jéj pod kołdry, spiętrzyła się nad łóżkiem, patrzał na Frankę.

— Przyszedłem prosić panią Rębkowę aby klucz od mieszkania mego tu został... Do miasta idę...

Położył klucz na stole i prędko wyszedł.

— A toż co? Jezu panie! klucz do nas odnosić! jeszcze nigdy tego nie było, zawsze brał go z sobą! Ot, przyczynę znalazł... oho! słuchaj no, Franka! a tyże czego stoisz jak bałwan z tym *wiechciem* w ręku?... Ot skocz lepiéj do komody i suknię mi dostań... kolki mię już opuściły, wstanę!

Z zieloną gałęzią w ręku i szeroko otwartémi oczami, stała nie jak bałwan wprawdzie ale jak uosobienie zachwycenia połączonego z żalem, i na drzwi, które zamknęły się za Ławiczem patrzała.

W kilka godzin potém, Ławicz, wracając z miasta, znalazł na stole swoim, obok oczekującego nań jak zwykle obiadu, wielki, w gliniany garnek wtłoczony bukiet z kwitnącego bzu i jaźminu. Nie zdziwił się wcale, lecz wziąwszy bukiet w ręce, pochylił się nad kwiatami, które wonią swą i atłasową miękkością czoło jego i usta pieściły. Niedługo potem, zszedł na dziedziniec i zobaczył Frankę, która obuta już, gładko uczesana, z czerwoną wstążką na szyi siedziała na wschodkach mieszkania Rębków. Nie śpiewała tym razem; z policz-

kiem opartym na dłoni, patrzała w przestrzeń smutnie i z zamyśleniem takiém, że nie spostrzegła jak się do niéj zbliżył.

— Dziękuję pannie Franciszce za bukiet...

Jak zbudzona ze snu podniosła głowę. Smutek jéj pierzchnął, usta otworzyły się świeżym jak wiosna uśmiechem. A zkąd pan wié, że to ja ten bukiet panu przyniosła? filuternie zapytała.

— Bo mnie dotąd nikt nigdy żadnych bukietów nie dawał. Teraz, w mojém mieszkaniu weseléj...

— To i dobrze, ja tego i chciała, żeby panu troszkę weseléj było...

— A o czemże pani tak smutnie myślała teraz?

— Et, wiadomo! o domu swoim, o swoich rodzonych, Boże mój, Boże! jak ja od nich daleko odjechała...

— I o téj służbie może?...

— A jakże! albo to miło pomiędzy cudzych ludzi iść? Pracy ja nie lękam się. Albom to ja w domu nie pracowała? Ale cudzych ludzi lękam się... Nie przygarną, nie pożałują i może jeszcze... źle obchodzić się będę!

— Żeby moja matka mieszkała ze mną...

— To co?

— Toby panna Fraciszka przy mojéj matce została... ona jest bardzo dobra, przygarnęłaby, pożałowała!...

— A dla czego mama pana z panem nie mieszka?

Ławicz nie odpowiedział. Chmurny, z brwią ściągniętą, patrzał w ziemię. Dziewczyna, podniosła oczy i popatrzała na niego z bystrą przenikliwością.

— Nie można? szepnęła.

— Nie można! powtórzył z cicha.

Wstrząsnęła głową i westchnęła.

— Bieda! rzekła.

Tego wyrazu on nie powtórzył, tylko patrzał na nią tak, że gdy podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem spłonęła cała rumieńcem i znowu powieki spuściła.

— Mój Boże! szepnęła, czemu to Pan Bóg dobrym ludziom szczęścia nie daje?

— Panna Franciszka będzie jeszcze kiedyś szczęśliwa...

— Bóg święty wié!

Zerwała się ze wschodków.

— Ot, co tam biedować! z biedowania nic nie przyjdzie! Żeby to pan na majówkę dziś z nami poszedł!

— Na jaką majówkę?

— A jakże! wujaszek i ciotka na majówkę dziś idą... za miasto... het, daleko, do lasu i mnie z sobą biorą. Żeby to pan z nami poszedł...

Dziwna rzecz! Ławicz, tak oporny, gdy go przyjaciel na tańcujący wieczór namawiał, teraz, jednym skokiem znalazł się w mieszkaniu Rębków. Rębki nie było i tylko Rębkowa królowała tam, nastrzępiona falbanami niedzielnéj sukni, w czepcu z barwistemi wstęgami na włosach, oblepiających niskie czoło dwoma wypomadowanemi pasmami.

— Jezu panie! pan z nami na majówkę chcesz iść! pustelnik taki! skończenie świata! A cóż na to te mądrości powiedzą, którychem nigdy naopylać dość nie mogła?

Uśmiechala się kobieta dwuznacznie i trochę markotnie wstrząsała głową. Ale gdy oświadczając żywą swą chęć udania się na majówkę, Ławicz pocałował ją w rękę, okrągła i pulchna twarz Rębkowéj rozjaśniła się jak słońce.

— A dla czegóż nie? dla czegóż? z takim uczonym i grzecznym kawalerem, honor nam będzie wielki i przyjemność... Paweł będzie bardzo kontent, przynajmniéj nagada się z panem o swojéj *palacie*!...

Czy Paweł Rębko wiele mógł mówić z Ławiczem, w czasie przechadzki téj, o swojéj *palacie*?—niewiadomo. Co pewna, to że młody kancelista, wróciwszy do izdebki swéj o dość późnéj wieczornéj godzinie, miał na twarzy i w oczach wyraz upojenia. I nie czytał wcale i spał, nocy téj, niewiele. Nazajutrz zaś, zaledwie obudził się, zdaleka, z dołu, z dziedzińca zapewne, zaleciał go głos dziewczęcy, śpiewający wyraźnie:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...“

A izdebka pełną była lejących się przez okno złotych potoków słońca i silnéj woni kwiatów, zwieszających się z glinianego garnka.

Od dnia tego, zachodzić w nim poczęły coraz widoczniejsze zmiany. Z biura, wracał do domu nadzwyczaj śpiesznie, w izdebce swéj usiedzieć nie mógł. Ciągnęły go ku sobie pola i lasy zamiejskie, szerokie, zielone, rozśpiewane głosami wolnéj natury. Ciągnęła go ku sobie natura wesoła i świetna, nawskroś przejęta w porze téj gorącym oddechem miłości. Ciągnęły go téż ku sobie liljowe źrenice dziewczyny, wilgotne usta jéj, i ogniste rumieńce, które, niby strumień waru, oblewały ją ilekroć zbliżał się ku niéj. Ciągnęły go serdeczne jéj śmiechy śród których błyskała zębami białemi jak perły, a bardziéj może jeszcze westchnienia, które przesyłała daleko, ku domowi swemu, ku swoim rodzonym. Czy, gdy pójdzie w służbę, *cudzy ludzie* pozwolą jéj wyśpiewywać tak nieustannie prawie i tyle kwia-

tów wkładać we włosy, że aż zwieszały się one na szyję jéj, uszy, czoło i czyniły ją podobną do jakiejś nimfy leśnéj, wypadkiem, na brudny dziedziniec miejski, spadłéj. Wchodząc na dziedziniec, szukał jéj oczami, usłyszawszy śpiew jéj biegł prawie w tę stronę, w któréj się on rozlegał, spotkawszy się z nią, pożerał ją oczyma a czasem, słowa przemówić do niéj nie mógł. Echo jakieś z przeszłości, przynosiło mu, słyszane kiedyś słowa:

— Biéda z biedą!

Raz o zmroku, zobaczył suknię jéj pomiędzy drzewami ogródka. Poszedł tam i znalazł ją siedzącą na ziemi i płaczącą rzewnie. Usłyszawszy kroki jego zerwała się i chciała uciekać. Ale on drogę jéj zastąpił.

— Czego płacesz? zapytał.

Nie odpowiedziała. Stała przed nim, odwracając spłakaną twarz i zasłaniając ją ręką.

— Może... może po tym ogrodniku z Zawirowa, który ci tę różową pelargonią darował?

— Niech jego dyabli wezmą! sarknęła.

— Cóż? za matką ci tęskno?...

— A tęskno, ale nie dla tego...

— Nie dla tego płaczesz? Więc dla czegóż?

Nie spostrzegał wcale, że rozmawiał z nią w taki sposób, w jaki ludzie dorośli rozmawiają z dziećmi.

— Może już w służbę tę trzeba ci iść?

Łzy deszczem polały się z jéj oczu.

— A już—trzeba, szepnęła, wuj miejsce znalazł...

Wziął ją za rękę.

— Lękasz się służby... biédna...

— Nie, nie, zawołała, nie tego...

— Czegóż więc? Smutno ci, że pomiędzy obcymi...

— Nie! nie!

Z gestem rozpaczy załamując dłonie i oczy sobie niemi zasłaniając, krzyknęła prawie.

— Ja ztąd niechcę iść... Boże mój! po co ja tu przyjechała! Jak te drzewa w ziemię tak ja tu już wrosła!...

Zrozumiał; otoczył ją ramieniem, przycisnął do piersi i w usta pocałow .

— Kochasz mię trochę? prawda?

Drżąca, z przymkniętémi oczami, szepnęła. A-jéj! Ty moje słońce złote!... potém, wyrwała się z jego objęcia i szlochając, uciekła. Tego samego wieczora Rębkowa weszła do izdebki Ławicza. Pomimo że nie była to niedziela i że nie miała na sobie ani sukni

z falbanami ani czepka ze wstążkami; pomimo, że całym strojem jéj była krótka spódnica i luźny kaftan, przysadzistą postać jéj kwadratową prawie czyniące, wyglądała bardzo poważnie i uroczyście.

— Przyszłam ja tu, odedrzwi zaraz zaczęła aby z panem o ważnych rzeczach pomówić.

Ławicz z pośpiechem krzesło ku niéj posunął, a objaw ten uprzejmości, rozjaśnił nieco okrągłą twarz i czarne jéj oczy, które widocznie do wyrazu powagi i nawet niezadowolenia układała. Usiadłszy i tłuste, ciemne ręce na kolanach złożywszy, zaczęła znowu.

— Jest to bardzo delikatna materya i mnieby może nie wypadało o niéj z panem mówić. Ale, co trzeba to trzeba, każdemu człowiekowi krew jego droga a ot dziewczyna ta, to rodzona krew moja, brata rodzonego córka i upodobaliśmy ją sobie z Pawłem bardzo. Możebyśmy téż ją i nie oddali w służbę a za dziecko swoje przybrali żeby nie pan...

— Ja?

— A no! czegóż pan się tak dziwujesz? Niewiniątkiem nie jesteś. Dwadzieścia kilka lat masz i choć skromnie żyjesz, ja sama wiem, że skromnie, ale ot teraz zechciało ci się dziewczynie mojéj głowę zawrócić... Sztuka niewielka! młode to i tylko co ze wsi i może tam pomiędzy naszymi parobkami śniło się jéj czasem o takim paniczu z białą twarzą, grzecznym i delikatnym. Dla pana to zabawka ale dla niéj zguba i to jest, powiem prawdę, bardzo ze strony pana nie pięknie. Ona nie chłopka jakaś, *chamka* taka, coby z nią każdy mógł zrobić co zechce. Ona szlacheckie dziecko, moja rodzona krew, i ja jéj w poniewierkę nie dam. I Paweł nie da. Każdemu honor jego miły i krew jego droga. Ot, z czém ja do pańskiego honoru przyszłam. Wóz albo przewóz. Albo pan przestań Frankę bałamucić, latać za nią wszędzie i całować ją tak jak ja to dziś na własne oczy moje, w stajence krowę karmiąc, widziałam, albo my Frankę wnet w służbę oddamy i jutro już, jak Boga kocham, śladu tu po niéj nie będzie. Żeby nie pan zostałaby się u nas i ot, szlacheckie dziecko, cudzym ludziom kątów by nie wymiatało a może tam kiedy i posażek dla niéj jaki znalazłby się i za mąż byśmy ją wydali... Ale wszystko to od pańskiego honoru zależy... Niech pan sam sądzi jak uczciwie jest i po bożemu a jak po fanfarońsku i tyle!

Kobiéta, zapérzyła się była zrazu i mówiła z gniewem; potém, wpadła w ton płaczliwy i połą od kaftana wycierała sobie zwilgocone oczy.

Ławicz wstał, wziął rękę trzymającą połę kaftana i pocałował ją z uszanowaniem.

— Pani Pawłowo, wzruszonym głosem zaczął, nie zrobiłaś pani jeszcze przypuszczenia trzeciego...

— Jakiegoż to?

— Żebym się ja z panną Franciszką ożenił.

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

— Wszelki duch... zaczęła a skończyła przeciągle wymówionėm.—A!

— A! powtórzyła, no, nie było to w mojem oczekiwaniu! Ale no... nie takie rzeczy dzieją się na świecie... To pan doprawdy Frankę tak polubiłeś, żebyś z nią i żenić się chciał?

— Jest to szczerém pragnieniem mojém...

Kobieta, bardzo widocznie ucieszoną była. Wstrząsała jednak głową.

— Ale jakże to będzie! pan to podobno mądry bardzo a ona zwyczajnie, zagrodowa szlachcianka, bez edukacyi...

Ławicz uśmiechnął się trochę smutnie, trochę ironicznie.

— Raz tylko, rzekł, byłem w towarzystwie panien edukowanych. Nie podobałem się im i one mnie nie podobały się także...

— No, no! to dziwy jednakowóż! Zawszeż to, panu potrzeba żonki i z manjerą pańską i ot, z pięknego domu...

— Ja sam ani manjery pańskiéj ani żadnego domu niemam...

Kobiéta medytowała dalėj.

— Przystojna ona to przystojna, niema co powiedziéć! zdrowa dziewucha, tęga, pracowita i charakteru dobrego ale wiadomo, prosta, *obczytania* żadnego nie ma...

— Pani Pawłowo! z powagą i wzruszeniem przerwał Ławicz, panna Franciszka podobała mi się i dla piękności i dla dobroci i dla prostoty swojéj. Ja tę prostotę jéj wolę, jak płytką i fałszywą edukacyą kobiet z tak zwanego wyższego świata, z któremi zresztą ani mówić ani bawić się nie umiem. Przytém, bywają położenia, w których miłość dla kobiety i związki rodzinne, jedyną być mogą deską ratunku, przyszłością, celem życia... Ja, znalazłem się w położeniu takiém. Pokochałem pannę Franciszkę, zdaje mi się, że mam wzajemność, chcę żyć, chcę być szczęśliwym, chcę mieć kogoś swego, rodzinę, przyszłość...

Rębkowa była bardzo ucieszona ale téż zaniepokojona widocznie.

— No, no! rzeczy takie nie były w oczekiwaniu mojém—powtórzyła! O takich już wielkich rzeczach, nie mojéj głowie sądzić. Ja nie od tego, owszem, z duszy i serca zgadzam się. Patrzałam przez tyle lat jak pan żyłeś i—dalibóg, samabym za pana poszła, cha, cha, cha! Ale do takich rzeczy trzeba męzkiéj głowy i dobréj głowy. Po-

gadaj pan jutro z Pawłem, tylko tak, żeby dziewczyna rozmowy waszéj nie słyszała i jak tam *mój* zadecyduje, czy tak, czy owak niech tam zawsze pana pan Bóg i najświętsza panna błogosławią! Honorowy jesteś człowiek, honorowy i z sumieniem...

Rozpłakała się już na dobre i ramieniem wydobywającém się z brudnego rękawa szyję Ławicza objąwszy, z głośném cmokaniem, w głowę go ucałowała.

Nazajutrz była niedziela, a rozmówienie się w dniu tym z Pawłem Rębką przedstawiało znaczne trudności. W niedzielę, bywał on daleko więcéj zajętym niż w dnie powszednie.

(*dok. nast.*) *El. Orzeszkowa.*

WACŁAW POTOCKI

JAKO AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIÉJ".

(Dokończenie).

IV.

W trzeciéj dopiero części rozpoczyna Potocki opowieść dziejów saméj wyprawy. Początkowy ustęp, nacechowany mistycyzmem i skreślony w stylu ówczesnych kazań, jest prawdopodobnie dopiskiem uczynionym już w starości, gdy oddany dewocyi poeta układał „Nowy Zaciąg," z którym miejsce to przedstawia duchem i tonem wiele podobieństwa. Właściwym początkiem jest dopiero wiersz:

> Już się wiosna poczęła, już baran ochudły.....

gdyż i poprzedni ustęp od słów: „Kiedy wicher wschodowy ruszywszy świat z gruntu"—zwrócony do Lubomirskiego, wygląda na późniejszy dopisek, skreślony pod wpływem wieści o najeździe tatarskim, który np. w 1672 r. sięgnął aż do Krosna i Biecza. Słowa bowiem poety:

> ....gdzie poganin srogi
> Niesie pustki żałośne, okropne pożogi,
> Niesie płacz matkom naszym i smutne lamenty
> Obciążywszy karawan, kajdany i pęty.

nie odnoszą się przecie do wyprawy Chocimskiéj, która nie pociągnęła za sobą tych klęsk, ponieważ armia turecka została powstrzymaną na saméj granicy, za to wspomniany najazd r. 1672 połączony był ze spustoszeniem licznych miast i wiosek i uprowadzeniem do 20,000 jeńców.

Przypomniawszy sobie wreszcie o swojém zadaniu, rozpoczyna Potocki ten uroczysty turniéj opowieścią o zbieraniu się polskich sił i rozłożeniu obozu pod Chocimem. Za tło daje poeta krajobraz wiosenny dość zręcznie odmalowany:

Już się wiosna poczęła już baran ochudły
. . . .
Po łąkach i zielonych murawach się tara
. . . . . . .lasy się popużą,
Obnażone konary skoro im wiatr pępki
Porozdyma, znowu się pstrzą w barwiste strzępki.
Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze,
Długiem pasmem prowadzą . . . .

Jako małopolanin i szreniawita, wysuwa Potocki na pierwszy plan Lubomirskiego. Rzeczywiście małopolanie odgrywali w obozie przeważną rolę, gdyż w gronie komisarzów wojennych, ze stanu rycerskiego towarzyszących wyprawie, oni stanowili większość (Sobieski Jakób, Mikołaj Sieniawski, Maciéj Leśniowski i Michał Tarnowski i dwaj Działyńscy wielkopolanie). Troskliwy o sławę swych współziemian, pozbierał starannie Potocki wszystkie szczegóły odnoszące się do ich udziału w téj wyprawie i porozmieszczał w swéj opowieści.

Z pewną dumą zaznacza, że chorągwie Lubomirskiego uprzedziły rycerstwo Chodkiewicza, który nie chcąc „zasypiać gruszek w popiele... sunie się z Litwą krokiem ku Podolu chyżym, łączy się z Lubomirskim i zawiera kołem i Orły i Pogonie pod Rzepnicą siołem.“ Po złączeniu wojsk dopiero okazało się, że komput ich jest szczuplejszy niż postanowiono na sejmie warszawskim i zafrasowany hetman „w głowę się skrobie.“ Imię „Jezus,“ które otrąbiono jako pierwsze hasło w obozie zjednoczonych wojsk to jedyna „warowna reduta, mur miedziany,“ osłaniający Rzeczpospolitą.

Noc zapadła, śpi obóz, tylko „Dniestr szumi, a woda ze skałami się kłopi;“ Chodkiewicz przecie „tłocząc na bok z boku twarde łoże i w głowie pełno mając zgrzytu, ranego oczekuje świtu,“ ani śpiew syren bowiem, ani „kolebka z morskiéj utoczona spumy,“ nie uśpią człowieka „gdy w głowie jak w browarze, sto wątpliwości razem, razem tysiąc myśli.“ To téż „skoro się wschód zabieli, a zorza purpurowéj Febowi pościeli ustąpi,“ choć „Zefir jeszcze Flory z mokrych pereł nie rozbierze,“ Chodkiewicz zwołuje już radę wojenną do namiotu dla zdecydowania, czy zostać w miejscu, czy się przeprawić za Dniestr. Gdy się na to ostatnie zgodziła rada, przystąpiono bezzwłocznie do budowy mostu, która ciągnęła się dość długo,

z powodu trudności jakie stawiał bystry pęd wody (1). Fakt ten daje pochop poecie do długich filozoficznych uwag nad potęgą rozumu ludzkiego, który ujarzmił wszystkie żywioły, policzył gwiazdy, wynalazł pismo, papier i druk, a mimo to, na własne namiętności nie znalazł hamulca, „zna zwierze, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady, wie zkąd grom, piorun, zkąd deszcz, zkąd padają grady.... na ziemi zna się i na niebie, wszędzie mądr; doma głupi, że sam nie zna siebie.“ Jestto najwyższy stopień refleksyi, do jakiego zdolnym był wznieść się umysł polskiego ziemianina w XVII wieku. Źródłem jéj jest ideał moralny, wytworzony przeważnie z idei zaczerpniętych w starożytnych pisarzach i Kochanowskim, którego pisma zna dobrze Potocki, często je naśladuje lub żywcem przyswaja sobie pojedyncze myśli i obrazy. Obszerny ustęp o zmienności losu (str. 139) jest tylko przeróbką ulubionéj Kochanowskiemu i wielokrotnie w pieśniach rozwijanéj myśli o „niestateczności fortuny.“ Spotykamy tu te same znane dobrze obrazy: słońca wynurzającego się z po za gęstych chmur zaciemniających niebo, okrętu skołatanego burzą, któremu przyjazne wiatry pozwalają nareszcie przybyć do portu, toż samo zalecenie statku i wytrwałości wobec igraszek losu. „Kto chce mieć wygraną“ musi „z fortuną chodzić na wytrwaną, nie zaraz bujaj kiedy cię upierzy bo bardzo częsty różny obiad od wieczerzy“ i, dodaje własnym niezbyt smacznym konceptem poeta: „w siedm godzin, daje ona swoim pieszczochom po bażantach słodzin.“ Uwagi te przyczepił poeta do wzmianki o Piotrze Mohile, który jako kandydat do hospodarstwa wołoskiego bawił w obozie polskim, ufając w „Bogu i szabli polskiéj, że się dopnie skąd wypadł.“

Cała niemal trzecia część poematu składa się z takich epizodów, zostających w bardzo luźnym związku z główną akcyą. Starając się o wierność i dokładność dziejopisarską, nie umie poeta poradzić sobie z obfitym materyałem i mnóstwem tłoczących mu się do głowy myśli, uczuć, spostrzeżeń, ztąd plącze on bezładnie samę akcyą wojenną z dyplomatycznémi zabiegami i przygotowaniami

(1) Twardowski, który jako bliższy saméj wyprawy, a przez stosunki z jéj uczestnikami i zwiedzanie pobojowiska w rok po skończonych bojach, lepiéj obznajomiony ze szczegółami, podaje we „Władysławie IV“ ciekawy fakt o budowie mostu. „Siła podjętéj pracy było— powiada —i łamania próżnego mózgów inżenierskich, gdy pana żadnego rzeka z wieku swywolna niechcąc mieć nad sobą coraz go (most) rozbijała. Aż (jeśli z chudobą cnota nieutracona i w chacie wzgardzonéj mieszka rozum) chłop jeden jéj nieujeżdżony kark ukrócił, podawszy sposób prosty jakie pale być pod nim miały, cienkie a dwojakie, trzecim z wierzchu przywarte, które na dnie stały kształtem jakich trzynogów, a ztąd się nie bały wirów żadnych“ (str. 117).

czynionymi jednocześnie w kraju. Ciągle się wraca, ciągle znowu przerywa swą opowieść, to objaśniającémi zboczeniami, to satyrycznémi obrazkami i uwagami. Z okazyi przybycia Konaszewicza do obozu w charakterze delegata kozackiego, podaje szeroki opis jego poprzednich czynów i udziału w wyprawach Żołkiewskiego, wplatając w to humorystyczny, uszczypliwie skreślony obrazek pożegnania Zygmunta III z synem udającym się do Moskwy. Przybycie Rusinowskiego z pułkiem Lisowczyków skłania znowu Potockiego do opisu ich dalekiéj wyprawy, w któréj dotarli brzegów morza północnego. „Już im Białe jezioro w tyle i Sybiory, już minęli ryfejskie śniegiem kryte góry, kędy ciepłe sobole i czarne marmurki w nos bije mierny strzelec ochraniając skórki, gdzie na smukłéj łyży człowiek lata po śniegu od sokoła chyżéj.... Dotąd się w one dzicze i pustynie darli, aż się piersiami o lód północny oparli.“

Najobszerniejszym z tych epizodów jest historya bohatérskich czynów kozackiego pułku, który idąc pod Chocim i plądrując wedle zwyczaju po drodze, wpadł niespodzianie w sam środek armii tureckiéj. „Witaj — woła uradowany Osman szlachecko-myśliwskim językiem—nie brodząc do wieczerzy kaczka! Rozumie, że ich połknie, i już pierwsze koty, kwoli dalszéj fortunie wyrzuca za płoty; ano się często wstydzi kto przed skokiem hupa,“ gdyż dzięki rozpaczliwemu męstwu zdołali kozacy ujść z rąk rozjuszonych wrogów. Znać w scenach wojennych, że Potocki i sam brał udział w niejednéj walce i nasłuchał się dużo opowiadań starych żołnierzów, to téż obrazy jego są kreślone grubo, niezdarnie ale rysowane z rzeczywistości, wypowiadane prawdziwie obozowym językiem. Kozacy widząc się otoczonymi: „wszyscy zsiądą z koni a skoro się potwierdzą i poplemą dłoni, czoła przetrą i szłyku posuną po skroni, zepną tabór i działa, których ośm dwadzieścia ciągnęli tak rozsadzą, że nikędy przejścia nie mógł mieć nieprzyjaciel.“ W téj pozycyi pozwalają Turkom zbliżyć się bez wystrzału; dopiero gdy ci uzuchwaleni milczeniem kozaków podstąpią pod sam tabór, „jak z chmury grad, jako groch z woru działa i samopały śróty z ogniem i kule rzygną w on gmin gęsty, lecą na wszystkie strony chłopi jako chmięsty, a pogaństwo usławszy ziemię ścierwy ucieka, kto może najpierwéj.“ Tymczasem „durny Osman słyszy to i proch czuje w nosie, gryzie się strasznie, włosy na łbie targa, prosi, grozi, klnie, łaje,“ mimo to przez ośm dni bronią się walecznie w swym taborze kozacy, i wreszcie wymykają się szczęśliwie. Garść ich tylko ukryta w pieczarze pada ofiarą wściekłości Turków.

Rażąco odbija od żywego i naturalnego toku téj opowieści, szumna i upstrzona retorycznémi efektami i moralno-filozoficznemi

uwagami mowa jednego z jeńców kozackich do Osmana, w którój przypomina mu, że jest człowiekiem takim samym jak oni, że śmierć, jaka ich czeka, i jego nie minie, że choćby „antypody w ręku miał, śmiertelnéj nie ujdzie przygody“ albowiem choć „trefunkiem na świat idziem,“ przecież ze świata „prawa nas nieprawnego konieczny mus zmiata.“ Ten jednak „kto umiera w bohaterskiéj cnocie, żyje po śmierci w piersiach ludzkich,“ bo go „sława z grobowca po pogrzebie dźwignie, któréj świecka zazdrość nie poścignie.“ Na sławę tę najwięcéj zważać winni ci, „których na tron wysadziły nieba“ bowiem „kto ją opaskudzi lada jakim postępkiem.... żyjąc w obeldze umiera w sromocie.“ Najwyższą cnotą i zasługą człowieka „zhołdować żądze serca i zwyciężyć siebie.“ Mimo tych argumentów, mściwy Osman kazał wymordować wszystkich. Godną podziwu jest doprawdy rzeczą, iż Potocki, piszący swój poemat po świeżych walkach z kozakami i klęskach jakie zadali krajowi, z taką sympatyą i poszanowaniem mówi zawsze o nich i stawia ich na równi niemal z polskiém rycerstwem. „Tak legli ci mężowie“—powiada—opisawszy zgon wymordowanych przez Osmana jeńców; w innym znowu miejscu zwie ich „junakami Rzeczypospolitéj.“

Za epizod możnaby uważać także ustęp o wyprawieniu posłów z obozu do opóźniającego się z przybyciem królewicza Władysława i posłuchanie jakie mieli u niego. Ustęp ten przedziela na dwie połowy: obszerna satyryczna wycieczka przeciw zniewieściałości i małoduszności współczesnych, w zestawieniu z dzielnością i ofiarnością obywatelską, jaką okazała dawna szlachta w wyprawie chocimskiéj. Cała akcya wojenna w trzeciéj części, najobszerniejszéj z 10-ciu na jakie się dzieli poemat, ogranicza się na przeprawieniu wojsk przez most zbudowany na Dniestrze i rozłożeniu obozu po drugiéj stronie rzeki w dogodnéj i warownéj pozycyi.

Przejście wojsk po moście daje okazyą poecie do charakterystyki dwóch wodzów wyprawy: Chodkiewicza i Lubomirskiego i obdzielenia ich całym zasobem porównań z postaciami dziejów starożytnego świata, jakim rozporządzał poeta. „Nie tak Hektor serdeczny, nie tak wspaniały był Agamemnon, Kajus nie tak roztropny, Pirrus nie tak możny ręką i mową, nie tak Hannibal ostrożny, nie tak Kamill szczęśliwy, nie tak jeden ze stu Scypio, jako tu był z twarzy, z mowy, z gestu hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały, szczęśliwy i ostrożny.“ Nie jestto naturalnie portret Chodkiewicza, lecz wymarzony przez poetę ideał wodza; w inném znowu ustępie podsuwa własny wizerunek w miejsce postaci walecznego pogromcy Szwedów i Turków. „Chodkiewicz— powiada (dopisując to widocznie w swéj starości poeta) — z którego niechaj każdy bierze wzorki,

prosto z pościeli, książki wziąwszy i paciorki, tam szedł kędy go kapłan czeka u ołtarza i Stwórcy swemu chwałę codzienną powtarza, za przeszłą noc dziękuje, na dzień się porucza, bo mu razem i starość i słabość dokucza" (str. 208).

Czyż to nie wierny obraz porannych modłów autora „Zaciągu pod chorągiew Chrystusa," posiadającego w swéj Łużny kościół parafialny, czyż nie poznajemy tu tego samego staruszka, co maczając grzanki w piwie, przypatruje się przez okno dworskiéj komnaty pięknościom zimowego krajobrazu? (1). Lubomirski znowu to tylko piękny rycerskiego oblicza młodzian na ognistym rumaku. „W koźle Mars urodzony, u oczu choć nieznaczny uśmiecha się gdy czas ma Kupido sajdaczny. Pod nogami koń dzielny... który widząc, że złotem gore i co ma za jeźdzca, stać spokojnie nie może lecz na miejsce z miejsca stąpa, wysmuknionéj go szukający nodze, rzuca wodza i munsztuk upieniony głodze." Wyczerpawszy cały szereg bohaterów starożytnych, dla odmalowania przymiotów Chodkiewicza, znalazł dla jego towarzysza tylko podobieństwo z Achillesem i Kastorem, ale za to i dla konia jego wyszukał dwóch godnych rówienników: w Ksantusie i Cillarze, którémi się ci bohaterzy posługiwali w swych bojach. Tych samych niemal rysów i porównań używa dla odmalowania swego syna Stefana, wyprawiającego się na wojnę („Peryody" str. 394). Zamiast skorzystać ze sposobności, jaką mu dawał opis przejścia wojsk przez most na Dniestrze i po charakterystyce wodzów zamieścić wyliczenie i charakterystykę rozmaitych chorągwi i pułków składających siłę wojenną, Potocki dokonywa tego o kilkanaście stron daléj, kładąc naprzód piękną przemowę do współziomków, przemowę, w któréj uczucie poety pobudzane obcowaniem z mężnymi postaciami przodków, wybucha gwałtowną i zjadliwą satyrą w obrazach życia współczesnych panów i senatorów.

> Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
> Drogiemi poobija ściany aksamity,
> Ubrawszy ono łoże nakształt katafalku,
> Śród pokoju postawi od samego balku;
> Wkoło fraszki rozliczne od szkła i kamieni,
> Tym pompa większa, im się która drożej ceni.
> Chorągiew-by zaciągnął za każde z tych cacek,
> . . . .

(1) Ten sam wizerunek bezzębnego starca, tylko nieco rozwinięty (głowa się trzęsie, marzec niedaleki wygląda przez brwi i zawiesiste powieki, kaszel dusi, w piersiach skrzypi, włosy orzedziałe i przegniłe dziąsła, z których starość późna do zęba wytrząsła), ma być portretem wezyra tureckiego Dilowera (str. 279).

Cóż szaty, cóż klejnoty, cóż argenteryje
Auszpurskie? cóż splendece i ludne gwardyje?
Że żaden z królów polskich aże do trzeciego
Zygmunta nie miał pompy, nie miał *fastu* tego,
Jaki dziś ma starosta, cóż o senatorze
Rozumieć w jakiej bucie żyje i splendorze!
. . . .
Drugi osiadł pół Polski, że już i tytułu
Nie masz przedeń w koronie, więc do protokułu
Cesarskiego — o wstydzie! o hańbo! o brednia!
Leci, wziąwszy tysiąców, po grabstwo do Wiednia.
Aż *comes* albo książę.......
Nie widziawszy chorągwi ani broni gołej,
Chyba na Boże Ciało obchodząc kościoły,
Wąsy ogoli drugi a tak się wysmuknie
Jako jedna z francuzek, prócz że much na czole
Nie stawia, ani uszu dla trzęsideł kole
Od głowy się do stopy ustrzmi i uwstęży,
W ręku mu obuch, szabla u boku mu cięży
. . . .
Którym dziś szaty ciężkie, nie rzkąc twarde blachy,
Take-śmy się postrzygli z bohaterów w gachy....
. . . .
Co gorsza, że i księża nie tylko nie tłumią
Tej w ludziach wyniosłości ale sami szumią.

Taka zniewieściałość i marnotrawstwo, smutne naturalnie sprowadzają następstwa. Nie mogąc „dla zbytków żelazem się okupić“ od Tatarów, musimy „ujmować ich przez dary, żeby nas nie pobrali.... Do czego to kożuchy przyszły dziś baranie!“ Nie mając pieniędzy na potrzeby krajowe z tejże saméj przyczyny „kilkadziesiąt razem uchwalamy podatków na onego chłopka, co ledwie nocną pracą odzieje parobka, ledwie tchnie, ledwie zieje, przecie je dać musi i poduszkę sprzedawszy, gdy go gąsior dusi.“

To téż gdy potrzeba wystąpić na wojnę „miłośnik ojczyzny“ co ma „sto wsi królewskich“ zamiast prawdziwego rycerstwa i szlacheckiéj młodzieży wystawia chorągwie „dragonów co dopiero cepami i łągwią robili,“ pookrywawszy „Maćków płaszczami,“ byle „zbyć pańszczyzny,“ sam zaś „comes“ jeżeli nie został w domu, to podczas boju trzyma się pod lasem otoczony przez „gwardye i hajduków kupy, co wyjadali wszystkie trety, wszystkie krupy, że się przez kalwakaty i przez owe trzody nie mógł czasem docisnąć człowiek do gospody.“ Własne wspomnienia z czasów służby w pospolitém ruszeniu dostarczyły widocznie Potockiemu rysów do tego obrazu.

Przy takim upadku moralnym szlachty, szlachectwo samo straciło swą wartość, ztąd lada kto się ogłasza szlachcicem, i wziąwszy

tylko *ski* do swego nazwiska. „Spytasz go gdzie się rodził? zaraz basarunkiem potrząsa, zaraz liczy rotmistrze i pułki gdzie służył; choć za ciurę gdzie skrobał gomółki,“ a mimo to taki awanturnik, „trzęsie najbardziéj sejmikiem i siła rozprawia przygrzawszy animuszu jakimkolwiek trunkiem.“ Oburzony na zuchwałość Mazurów, którzy pięścią i obuchem (jak Pasek) wyrabiali sobie znaczenie śród dumnéj dawnością rodu szlachty małopolskiéj, powiada Potocki: „chcesz być szlachcicem pokaż z ksiąg szlachcica dziada, dopiero mi się bracie będziesz liczył równy.“ Zresztą nie urodzenie, nie błyszczenie sławą i zasługami przodków lecz osobista dzielność i czyny robią człowieka szlachcicem, bo „rodzą chłopów szlachcianki i szlachtę chłopówny.“ Darmo więc budzić męztwo w zniewieściałych panach, którym na widok niebezpieczeństwa „łydki dygocą, zęby skaczą w gębie,“ chyba ich „z Warszawą wziąwszy i Krakowem“ zanieść gdzieś „pod urwi-żywot albo gdzie szlak złoty,“ by tam radzi nie-radzi dla ocalenia własnéj skóry, musieli się stać żołnierzami. „Lecz trudno wilkiem orać, co się łyso łągnie, łyso ginie; kto nie chce, z góry nie pociągnie“ — powiada Potocki— spotykając się w swéj zaciekłéj nienawiści ku panom z Paskiem.

„Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy—woła do współczesnych poeta—nie łoże, nie łabęcie puchy, nie miękie szaty przodki nasze a stare zdobiły sarmaty. Ziemia łóżko, barłóg mech, falandysz od festu, zwyczajnie karazyi albo téż breklestu na kurty używano, obok cię posadził największy pan, chocieś oszył safianem łokcie... siodła usarskie, polerowany puklerz i tarcz zdobił ściany..... Nie mając chleba królewskiego bułki, nie rzkąc roty usarskie, lecz stawiali pułki nie szarków, nie rusnaczków, owych skotopasów; żołnierza ćwiczonego: Węgrów, Szwedów, Sasów, co się rodził w obozie, we krwi go kąpała, a trzaskiem muszkietowym matka usypiała.“ W zapale krasomówczym nie spostrzega poeta śmiesznéj przesady tego obrazu rycerskiego wychowania.

Z takich to wojaków składała się armia zebrana pod Chocimem, którą poeta przesuwa pułkami i chorągwiami przed oczyma słuchaczów. „Naprzód Władysławowa (chorągiew) kwiat sarmackiéj młodzi, którą stary on wojen Kazanowski wodzi,“ późniéj Janusza Wiśniowieckiego, który „staremi kawalery szeregi osadził,“ same „Marsowe chłopy,“ potém Tomasz Zamojski wiedzie „pułk w gorąco uzłocone obleczony blachy:“ w długim pochodzie tym dostrzegamy i Lipskiego co „dobrą bardzo sprawą wiedzie sto koni Petyhorców pod krętą Srzeniawą.“ Najbardziéj rozrzewnia poetę hufiec, który „choć był na końcu, lecz go było położyć na przedzie, żeby inszych kłół w oczy,“ gdyż wystawił go swoim kosztem „tak grzeczny, tak ludzki, tak kochający matkę Paweł Wołucki biskup włocławski.“

„Cić to są ci Polacy, którzy wam tę ziemię dali, co ją orzecie, aleście w ich strzemię nie wstąpili; dotąd się w ich świecąc starzyźnie, nie mogliście na nowe zarobić ojczyźnie.... Niech więc całem gardłem pieją ich nasze Muzy!“ Inaczéj téż przedstawiał się poecie obóz pod Chocimem niż współczesne: „Widziałbyś tam był serce, widziałbyś był męstwo starych owych sarmatów jakby już zwycięstwo w ręku mieli; jakobyś w pełne dmuchnął ule, ci szable na musaty strzelby drudzy w kule dyktują; wre tryumfu, wre wygranéj pewien obóz.... kiedy im ich wodzowie, doświadczeni w raziech marsowych w pradziadowskich stawiają obraziech rycerską cnotę, któréj niestrzymane ostrze orła swego od morza do morza rozpostrze, rzekłbyś że to ci wstali z Bolesławem z trumny, co żelazne po końcach ojczystych kolumny stawiali, kiedy na wschód padł Rusin premudry, na zachód pyszny Niemiec krwią zaszargał pludry.“

Nie jestto przecie obraz rzeczywistego obozu pod Chocimem, ale idealny obóz idealnego rycerstwa, jak idealnym był przytoczony powyżéj wizerunek hetmana. Prawdomówny poeta-historyk sam burzy własny ideał, podając na każdéj niemal karcie swego utworu rzeczywiste rysy tak niepodobne do powyższego obrazu. Oto już w téj saméj trzeciéj części opowiada Potocki jak postanowienie wodzów co do obioru stanowiska po drugiéj stronie Dniestru, wywołało szemranie i omal że nie bunt śród wojska, które „widząc że nie żarty, że gościniec do Wołoch czeka ich otwarty, sto razem niebezpieczeństw, sto trwóg w oczach stanie.... więc zrazu po namiotach mówili cicho, potém głośniéj, aż górę wzięło ono licho.“ Głównémi powodami jakie podało wojsko wodzom przez swych rotmistrzów były: „że ich za Dniestr jakoby na rzeź żeną owce, w kraj pusty między dzikie wołoskie manowce,“ gdzie o żywność trudno, odwrót może być uniemożliwiony przez zniesienie mostu, a przytem „praca w ręku, o płacéj żaden dotąd nie wie.... już w oczach Wołosza, a drugi jeszcze nie wziął złamanego grosza.“ Zwołana rada wojenna widząc niemożliwość surowego ukarania tego wybuchu niekarności, zdołała wreszcie poufném i osobném dla każdéj chorągwi zapewnieniem wypłaty „ćwierci“ uspokoić rozruch. Niech tylko jakaś niepomyślna pogłoska rozejdzie się po obozie „wszyscy sowę zadęli, powiesili nosy wszystkim jak dał po uchu, jak psi zjedli krupy.“

Niekarność i nieposłuszeństwo paraliżują ciągle plany wodzów. „Chodkiewicz tocząc obóz z razu, rozkazał wały sypać naokoło, lecz jego rozkazu nie słuchali rotmistrze pieszy, choć im w sznury rozmierzył; jeżeli téż począł dłubać który do połowy nie skończył, że na cztery stopy w głąb i w szerz tylko były one ich okopy.“ Owi zaciężni Niemcy „pod twardem żelazem,“ których „matka we krwi

kąpała“ a „trzaskiem muszkietowym usypiała,“ jakże się inaczéj przedstawiają w rzeczywistości! „Każdego-by z pluder wytrząsł: bo gdy ogroda dopadł głodny bruder, żarł bez względu jarzyny niewarzone póty, aż mu brzuch w twardy bęben, kiszki poszły w druty, ztąd ich *kranki* zwyczajne, a skoro ociekli ledwie że kości skórą powleczone wlekli.“

Jak widzimy na każdym kroku ideały poety stają w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy; chwilowe porywy uczucia i wyobraźni unoszą go w świat idealny, lecz obowiązki historyka, a więcéj jeszcze słabość ducha nienawykłego do patrzenia na świat i życie z wyższego stanowiska, zwracały napowrót ku ziemi, ku rzeczywistości, którą obserwował głębiéj i wszechstronniéj niż Pasek lecz z tymże co on malował humorem i animuszem.

V.

Z przybyciem armii tureckiéj mogła sie rozpocząć właściwa akcya wojenna. Początek czwartéj części poświęca Potocki obszernemu opisowi obozu nieprzyjacielskiego. „Zabielały się góry i Dniestrowe brzegi, rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi, skoro Turcy stanęli i swoje okiem nieprzemierzone rozbili namioty.“ By tém więcéj uwydatnić doniosłość odniesionego przez Polaków zwycięstwa, kilkadziesiąt wierszy zapełnia samém wyliczeniem nazwisk rozlicznych plemion i narodów, które pod sztandarem Osmana zebrały się na podbój Rzeczypospolitéj. Zasobami swéj erudycyi dorównał tu Potocki samemu Wiktorowi Hugo lubującemu się w podobnych wyliczeniach, o czém przekona mały choć urywek tego spisu: „Psylli, Baktrzy, Imanie Pargiedrzy, Geloni, łysi Arymfei i Mezopotami, Fryksi Cyrci, Sabei, Kaspii, Albani, gdzie Ganges, gdzie Eufrat gdzie Tanais z Nilem, gdzie się lerneńska hydra miesza z krokodylem, gdzie Leumo Wulkanowe, gdzie starego raju małe znaki. Tu Babilon i Memfis, Trypol z Alkairem wschodni świat, rumem dzisiaj zasypany szczerem.“ Jednakże w téj karawanie ludów, któréj towarzyszyły takie gromady rozlicznego bydła że „sam Febus złotowłosy“ jak dawno „snuje swéj sfery wydział“ nie dojrzał nic podobnego, nie było i nie mogło być rzeczywistéj siły wojennéj „odjąwszy ludzi europejskich z czoła, ostatek czerń, szarańcza, motłoch, skomon, smoła.“ Rozmaitość ta dostarczyć mogła jedynie wdzięcznéj bardzo treści do opisu lub obrazu, lecz dla utrzymania ładu w obozie, dla szybkości i dokładności w ruchach wojennych była wielką przeszkodą i jednym z głównych powodów klęski. Po nad tą całą różnoplemienną i różno-

językczną rzeszą góruje Osman porywczy, niedoświadczony, słuchający jedynie głosu swych namiętności, spragniony zemsty i tryumfu „jako lew krwie pragnący wyciąga pazury, jeży grzywę, po bokach maca się ogonem, jeżeli żubra w polu zobaczy przestronem“. To homeryczne porównanie, przyczepione do postaci Osmana tylko dla ozdoby, nie odpowiada wcale rysom jego charakteru jakie podaje w innych miejscach poeta. Jest on okrutny, zacięty, mściwy, ale nie okazuje nigdzie ni lwiéj odwagi, ni wspaniałomyślności, którą zwykle przypisują poeci temu królowi zwierząt, prędzéj za to przypomina nieraz zaciekłego brytana podwórzowego gdy naraziwszy się swą porywczością na razy bolesne „wraca pod się z chwostem“ (str. 189). Bez namysłu i przygotowań postanawia młody sułtan od razu uderzyć na oszańcowanych Polaków i jednym zamachem zgnieść powstrzymującą go garstkę wojska. Zapowiada więc swym wodzom, iż musi koniecznie wieczerzę spożyć w polskim obozie i zająwszy stanowisko na wyniosłości, pod zielonym sztandarem, otoczony gronem „wieszczków, wróżków, kuglarzy“ wyczekuje niecierpliwie rezultatu rozpoczętego boju wyznaczywszy „sto tysięcy nagrody, konia z rzędem i znaczny urząd“ temu, kto pierwszy wieść o zwycięstwie mu przyniesie. Chodkiewicz tymczasem „bawi się jeszcze kościołem“, choć „szpieg na szpiegu jedzie, że się Osman u niego kładzie na obiedzie.“ Odprawiwszy nabożne modlitwy i wstawszy z kolan na nogi: „rad mu będę—prawi—tylko niechaj nie mieszka niech nie kwasi grochu, będzie bigos gorący z ołowiu i prochu.“ Uczucie poety, podbudzone myślą o świętości i ważności boju za wiarę, do którego miało wystąpić polskie rycerstwo, ozłaca je idealnym blaskiem. „O chwalebna ochoto! o kochana młodzi“ woła rozrzewniony starzec, serce rośnie patrzącym, gdy jedni do zbroi drudzy się biorą do pancerzy wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu, rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś że do tańcu, że już na skroń korony wdziali tryumfalne... gdy nakształt powodzi blizkie pola osuli a mężnemi czoły wyrażają zmieszany gniew z radością w poły.“ Konie nawet czując na swych grzbietach „kawalery dzielniejsze niż z Malty pryskają, rżą i postać w miejscu nie mogą, czyniąc serce i ochotę w jeździcu. Gdy już wojsko stanęło w szyku bojowym, zająwszy stanowiska według dawno ułożonego planu, przy pomocy „starych pułkowników i mądrych inżynierów“, Chodkiewicz zgromadził koło siebie starszynę i zwyczajem „zawołanych hetmanów, krótkiéj lecz zwięzłéj do nich zażyje przemowy.“ Pod piórem Potockiego przecie ta „zwięzła i krótka“ mowa zamieniła się w rodzaj manifestu wojennego, zwróconego nie tyle do rycerstwa zebranego pod Chocimem ile do współczesnego społeczeństwa, by je zachęcić do wyprawy przeciw niewiernym. Przy-

pomina tu wojenne cnoty pradziadów, zwycięstwa i podboje Chrobrego, wylicza krzywdy i klęski zadane przez Turków, porusza najczulsze struny w sercach swych ziomków przedstawiając jak: „matka utrapiona pokazuje ubogich poddanych chrześciańskie gminy, ojczyste ściany i kominy, pod wasze się z tém wszystkiem dziś kryje ramiona, do was obie wyciąga ręce wolność złota.“ Niema co się lękać Turków, bo „że się poganin upstrzy, uzłoci, 'uskrzydli“ że prowadzi z sobą tak liczne „namioty, słonie, muły, wielbłądy i osły“ to powinno jeszcze więcéj zachęcać rycerstwo, nadzieją łupów „do szczęśliwych tryumfów bo lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze.“ W wielkiéj liczbie wojsk pogańskich „mało wojennych, dziady, kupce, żydy... postroili i dali im dzidy. Co człek to tam rzemieślnik a każdy serce zostawił u warsztatu...“ oręż ich to „młotek, szydło, dratwa.“ W żarliwości swéj stara się Potocki poruszyć wszelkie bodźce, użyć wszelkich możliwych argumentów, by ośmielić, zachęcić i nakłonić ziomków do podjęcia rycerskich bojów z niewiernymi, przez które spodziewał się przebłagać Boga zagniewanego na Rzeczpospolitą i odrodzić moralnie stan szlachecki. Przenosząc własne uczucia i zapał własny w serce Chodkiewicza powiada poeta, iż „gdy dokończył swéj mowy zdawało się, że słońca promień go ogniowy ogarnął, że na głowie i na skroni białéj włosy mu orzedziałe promieniem gorzały.“

Bój wreszcie się rozpoczął; cała siła Turecka i najlepsze wojsko (janczarowie) zwróciło się przeciw kozakom, polskie rycerstwo zaś przez ten czas stało na stanowiskach i zabawiało się harcami, podczas których Morsztyn Aleksander, mszcząc się za całoroczny pobyt w niewoli (jako jeniec z pod Cecory) wziął na arkan krymskiego murzę i przywiódł Chodkiewiczowi. To też cała strata szlacheckich chorągwi w ciągu całodziennego boju wynosiła dwanaście koni i kilku ludzi. O stratach kozaków, którzy cały ciężar boju wytrzymywali, nic nie wie poeta, powiada tylko, iż Turcy trupów swoich nakładali pełne wozy „jako rolnik przed deszczem kiedy do stodoły wozi z wierzchem pod pawąz wysuszone snopki.“ Całą jednak zasługę wygranéj polskiemu przypisuje rycerstwu: „Nie Węgrzyn tu, nie Niemiec, nie Arabin nagi, nie Budzyn, nie Agier, nieme mury, ale co piersi to forteca w twardéj kuta skale, do każdéj dział burzących trzeba wam i miny. Takie przedtem rodziła Sarmacya syny!“ woła zapatrzony w swój ideał poeta. Sam jednak obniża zasługę tego bohaterstwa zwracając uwagę, że „Polak gdy go zbroja hartowana okryła, piersi blachem opatrzył, szyszak głowy strzeże, nie czuje chociaż go kto kole, chociaż rzeże“ tymczasem „pogaństwo gołe brzuchy niesie jako lutnie, goły łeb, cienką szyję od razu mu utnie.“ Z tém

wszystkiém nie pokrywa milczeniem męstwa i zasług kozaków, owszem niejednokrotnie powtarza, że Turcy całe swe usiłowania i wszystkie ataki zwracali głównie ku obozowi kozackiemu.

Podczas gdy Turcy wyprowadziwszy w pole „ćmę dział burzących, sobie tuszą, że jeśli nie pobiją, to pewnie pogłuszą albo kulmi zasypią;" dzielni Zaporożcy tymczasem siedzą sobie spokojnie „pod piastą gnojem nafasowaną i tną *siedm odenastą* (1) aże skoro się ku nim ta chaja zagości, wtenczas do samopałów, pokinąwszy kości, każdy swego wymierzy i pewnie nie chybi, ale gdzie dusza mieszka, tam mu kulę wścibi." Gdy celnemi strzały „zmylą im szyki, suną się do nich w pole z rzeźwemi okrzyki, a kto co w ręku trzyma, tém się mężnie pisze, oszczepy, rohatyny, szable i berdysze..... tną janczarów z Araby, Serów z mameluki." Atak był tak szybki i gwałtowny że działa tureckie musiały zamilknąć, by swoich nieraziły a „Turcy swój nadołek wziąwszy w zęby długi, rzadko który w zawoju, rozpuścili fugi, dawszy miejsce u siebie staremu przysłowiu: uciekli i nogami poradzili zdrowiu."

Jak widzimy poeta z całą sympatyą podnosi dzielność kozaków malując ich odwagę żywémi i barwnémi rysami. Sam przyznaje, że gdy poganin kozakom „rogów utrze i wyżenie ich z szańców" to „Polak musi siedzieć jako groch na bębnie". Gdy ponowione ataki Turków nie odnosiły skutku, Osman kazał przenieść część górnego obozu pod same wały kozackie. „Lecz nalazł bies sąsiady, trafił przenosiny—powiada z humorem szlachecko-żołnierskim poeta—bo zaporożce znając dobrze tych rycerzów, tylko sobie na szańcach podniosą kołnierzów, i w tę stronę nośniejszych przetoczywszy działek, ochotnie grać pomogą dla zabawy gałek; albo czem sąsiadowi sąsiad zwykł wygadzać, dadzą ognia i poń się nie trzeba przechadzać."

Choć z boleścią ale wierny podjętemu obowiązkowi nie pomija Potocki szczegółów rzucających plamę na obóz polski. „Rzecz sromoty pełną wspomnij Muza; trudno słów uwijać bawełną gdy się prawdę pisać rzekło." Smutnym tym wypadkiem, świadczącym, do jakiego stopnia niekarności i samowoli posuwała się czeladź obozowa, ta plaga wszystkich wypraw rycerstwa polskiego, była rzeź Wołochów, którzy przed nadciągającą armią turecką schronili się ze szczątkami mienia, jakie unieść zdołali, pod osłonę obozu polskiego i tam „rozbili swe ubożuchne kotary" żyjąc „o wodzie i suchara skórze." Opierając się na fałszywéj pogłosce, jakoby na radzie wojennéj postanowiono wyrznąć wołochów jako dostarczających wiadomości

(1) Rodzaj gry w kości.

do obozu tureckiego, „ciurowie i pachołcy luźni“ zaprawieni do mordów i grabieży w częstych nocnych wycieczkach do obozu tureckiego, urządzają napad na koczowisko wołoskie. Wiedząc „iż grzech bez pomsty uchodzi im się nań większa kupa zgodzi,“ schodzą się na bazar, gdzie „zażywszy gochy bieżą znosić niewinne Wołochy.“ Jaskrawym realizmem i żołnierską szorstkością nacechowany opis rzezi przekonywa, że co do okrucieństwa i dzikości chrześcianie w niczém nie ustępowali niewiernym a nawet o wiele ich przewyższyli. „W posoce się uszargawszy po pas, zrabują co tylko jest i pełni korzyści wracają jakby Turka znieśli; chłopi czyści!“ W tém pogardliwém napiętnowaniu mianem chłopów tych co zdolni byli splamić się podobną rzezią i rabunkiem, przebija się to idealne i podniosłe pojmowanie szlachectwa jako zaszczytu wymagającego w zamian od człowieka pojęć, uczuć i czynów szlachetnych.

W mnóstwie szczegółów, jakich dostarczała akcya wojenna i wydarzenia życia obozowego, Potocki nie czyni żadnego wyboru i nie zaprowadza innego ładu prócz chronologicznego następstwa. Pomijając te jedynie dnie, w których nie było żadnych utarczek, opowiada on ze ścisłością kronikarza, a raczéj oficera sztabowego, cały porządek dzienny obozowego życia i przebieg walk, o ile takowe opisał Sobieski w swym komentarzu, lub dostarczyły poecie prywatne dyaryusze i ustne opowieści uczestników. Rzecz naturalna, że walki te toczone zawsze w tych samych lub podobnych warunkach przedstawiały wielkie podobieństwo w swym charakterze i przebiegu.

Opis ich Potocki zaczyna zawsze od wschodu słońca, modlitw i przygotowań porannych, a kończy z zapadnięciem mroku wieczornego, który kładł koniec zapasom, zwracając walczące strony na nocny wypoczynek do obozów. Co do formy opisów to stale trzyma się poeta tonu i stylu gawędy przedstawiając żywo, obrazowo ale w grubych zarysach i pojedynczych szczegółach, koleje walk toczonych zwykle na obszernéj przestrzeni i w kilku jednocześnie punktach. W zapale nienawiści ku Turkom zdaje się poecie iż bierze sam udział w tych zapasach, że opowiada to, na co patrzał własnemi oczyma i w czém brał czynny udział, podzielając upojenie zwycięstwa i zajadłość podniecona widokiem krwi i dymem prochu. Na boje i pobojowiska spogląda nie okiem historyka i poety ale żołnierza; trupy zaścielające plac walki, ranni wijący się w cierpieniach nie budzą w nim ni grozy oburzenia ni tego podniosłego smutku, w którym jednym współczuciem ogarniamy swoich i wrogów złączonych wspólnością cierpienia i śmierci. Potocki, który znalazł słowa współczucia dla krzywd niewinnie pomordowanych Wołochów, z radością opowiada jak „gdy naszy ławą brali pogaństwo na sztychy, chrzęst tylko i sze-

lest słychać było cichy, żaden swego nie chybi i trzech drugi dzieje, że im ciepłe wątroby kipią na tuleje; trzask potem i zgrzyt ostry, gdy po same pałki kruszyły się kopie w trupach na kawałki; pełno ran pełno, śmierci; więzną konie w mięsie, krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie, ludzie się niedobici w swoich kiszkach plączą, drugi chlipią z paszczęki posokę gorącą.“ Podczas bowiem gdy „Turczyn tylko dzwoni po zbrojach hartowanych, nasz gdzie tnie, tam rana, gdzie pchnie, dziura w ciele; w łep, pierś, brzuch gdzie się nada, rąbią, kolą śmiele“. I to pisze nie żołnierz z rzemiosła jak Pasek, który połowę życia strawił na wojnach, lecz spokojny, pobożny ziemianin małopolski „rycerz do miecza przypasany“ według wyrażenia Kochanowskiego, pobudzony jedynie religijno-patryotycznym zapałem a w pewnéj cząstce może i wspomnieniami własnych czynów i przygód bojowych. Jużto że i sam dobrze władał koniem i szablą w młodości i nieraz zapewne w czasie szwedzkich i kozackich wojen wyprobował swe męstwo, o tém świadczą liczne obrazki bojowych epizodów, których przedmiotem są mężne czyny i śmiałe harce rycerzy polskich a właściwie małopolskich, bo czy to przez szczególne przywiązanie do swéj prowincyi i chęć wykazania jéj wyższości nad innemi częściami Rzeczypospolitéj, czy téż dla tego że ustne i piśmienne opowieści, któremi się posiłkował, pochodząc od krewnych i sąsiadów także pomijały czyny rycerstwa innych stron kraju, Potocki uwydatnia z wielką troskliwością bohaterstwo i zasługi samych niemal małopolan.

Pierwsze miejsce naturalnie zajmuje tu Lubomirski, który nietylko jako pomocnik Chodkiewicza i jego następca po zgonie, kieruje bardzo rozumnie działaniami wojennémi ale i sam „we lwiéj piersi ma serce żywe“ i krew młodą, która igra tym więcéj im „bliżéj czuje pole swéj slawy.“ To téż zagrzany widokiem walki „jak chart chciwy“ który widząc „że go lis polem mija albo zając kusy“ zdziera się z obroży i goni zwierza „takie czyni serdeczny Lubomirski susy. Koń pod nim skarogniady krwawe toczy piany, nozdrzem iskry z płomieniem bucha na przemiany. Zanurzy się w zastępach bisurmańskiéj zgraje, ręką bije, przynuką ochoty dodaje; zamiesza ich jak w kotle jako w garncu kaszę, sam koncerzem znacznego w oczu wszystkich baszę obali.“ Drugi dostojnik małopolski Sieniawski „już trzeciego grzeje konia, sam krwią przemókł do nici, kiedy nań z ustronia spadnie Turczyn dorodny w okropnéj posturze; A długoż dokazywać będziesz psie giaurze? Czas by téż przestać! a wraz co siły nań przytnie. Ale cóż? szabla tylko po szyszaku zgrzytnie. Chce powtórzyć lecz przyszło rozstawać się z światem, bo mu łeb zdjął i z brodą Sieniawski bułatem“ (str. 226). Wspominaliśmy już o Mor-

sztynie Aleksandrze, który arkanem wziął do niewoli murzę tatarskiego. Znanym jest również powszechnie opis walki Piotra Lipskiego z Arabem spopularyzowany przez malarzy i podręczniki do wykładu literatury. Spokrewnionym z poetą Pisarskim i Lipskim dostają się oddzielne wspomnienia. „Zmoczywszy pióro w bystréj Szreniawie—powiada dumny ze sławy swego rodu poeta, pisać was mi Pisarscy! chociaż podłym rymem podać was światu Janie, Przesławie z Jachimem.“ Choć prawdę powiedziawszy nie miał za co ich chwalić poeta bo cała zasługa polegała w tém, że jeden z nich Jan mianowicie „skoro obadwa boki bracią swą ustalił jako dwoma basztami, znacznego Turczyna po stroju i czole sztychem w gębę trafiwszy na ziemię obalił“ (299 str.).

Cały ten ustęp o Pisarskich nosi wybitne cechy panegiryku, którego nadętości, fałszu i bezmyślności nie mógł się ustrzedz nawet tak miłujący prawdę, tak szczery w swych uczuciach i czerpiący zawsze swe myśli z głębokiego przekonania poeta. Podlega on téj słabości zwykle gdy przychodzi mu wspominać Lubomirskiego; drobnostka taka, jak wydany przezeń rozkaz by nie przeszkadzać Turkom w zbieraniu i grzebaniu trupów, powoduje Potockiego do wyrzeczenia iż „wielki Lubomirski Achillesa w męstwie we wspaniałem Scypiona wyrównał zwycięstwie“ (str. 267). Jedni Lipscy tylko słuszne odbierają od poety pochwały gdyż opisane czyny usprawiedliwiają je dostatecznie. Gdy do obozu przyszła wiadomość iż Tatarzy zabrali cały transport żywności wynoszący przeszło tysiąc wozów „wszyscy nosy spuścili bo ich tak głód ściągał, że już spienciem ostatniéj prawie dziurki sięgał“; i „z próżnego biorąc pochop ksieńca“ zamyślali pod pozorem wyprawy za żywnością opuścić obóz ze wszystkiem, wtedy Jan Lipski (dziad zięcia poety także Jana) służący w wojsku jako rotmistrz husarski z czterema synami, swém energicznem przemówieniem wstrzymuje gotowych już do dezercyi. Rzecz naturalna iż obszerna mowa Lipskiego, jak i odpowiedź rozrzewnionego i uszczęśliwionego z tego obrotu rzeczy Chodkiewicza, są wymysłem Potockiego i wiernem odbiciem jego własnych pojęć i uczuć. On to sam przez usta Lipskiego przypomina współczesnym iż praojcowie ich przez siedm lat z Bolesławem wojowali pod Kijowem, iż im „dla drogiéj ojczyzny w kanar się obracały smrody i trucizny“ że najszczęśliwszą ma śmierć człowiek gdy go „pan na zagonie zastanie przy żniwie“ niech tam „sto wisi chorągwi nad drugim w kościele ze stem szumnych nagrobków, gdzie nie moja ściele łoże cnota tam kości me doleżą całkiem, brednia malarz i z swojéj kitajki kawałkiem“. Przez usta Chodkiewicza znowu wypowiada swe marzenia o téj wyczekiwanéj przed śmiercią jeszcze chwili gdy odrodzone rycerstwo

pośpieszy znowu na szczęśliwe boje pod wodzą króla Piasta, chwili która tak niedługo miała się ziścić. „O moja krwi szlachetna o zacne rycerstwo nieodrodni wielkich rodziców synowie!“ woła rozrzewniony swém marzeniem Potocki, bo przecież słowa powyższe byłyby zupełnie nie na miejscu w ustach Chodkiewicza przemawiającego do tych których groźba szubienicy dopiéro i energiczne słowa Lipskiego powstrzymywały od ucieczki z obozu. „Niech mi Bóg będzie świadkiem, że choć mnie gniecie do grobu moja starość chora, lecz skoro słyszę w uszy i widzę na oczy waszę gorliwość, zaraz serce we mnie skoczy, sił mi znacznie przybywa. Niechże Bóg, który słowem może światy tworzyć, że wam serca, mnie zdrowia raczył sam przysporzyć, wiecznie będzie pochwalon!“ Właściwą odpowiedź Chodkiewicza stanowi dopiero końcowy ustęp od wiersza: „Szubienic tu nie trzeba ani żadnéj grozy“ (str. 273).

Najświetniejszy popis swéj dzielności dał stary wojak już przy samym końcu wojny, gdy z powodu dostrzeżonego ruchu armii tureckiéj Lubomirski zapragnął zasięgnąć języka i zawezwał w tym celu ochotników. Choć jednak „grono rzeźwéj młodzi lekkim harcem podemknie się pod straszne mnóstwo pogaństwa“ Turcy przecie zajęci swym manewrem nie zważali wcale na te zaczepki a harcownicy nie mieli odwagi zapuszczać się w głąb zwartych szeregów nieprzyjacielskich. Widząc to Lipski zwraca się do swych synów z przemową stanowiącą właściwie mowę pochwalną, pogrzebową dla niego w połączeniu z nauką i przykładem dla potomnych. Już to Potocki nie opuszcza najmniejszéj sposobności do przypominania współczesnym o świętém posłannictwie szlachcica. „Nie to żywot sto lat żyć, woła przez usta Jana Lipskiego, sto lat w ziemi gmerać, myśląc tylko żeby jak najpóźniéj umierać“ ale „jeden dzień, jeden sercu wspaniałemu lepszy co mu tysiąc lat da żyć na ziemi“ a gdy stanie „z grobu na popis generalny“ wtedy udzieli mu „wódz święty niebieski indygenat.“ Wypowiedziawszy sam sobie te mowę pogrzebową rzuca się stary wojak na czele hufca ochotników „jako lew w kupę żubrów, jako jastrząb w stado wron“... „na lewe tureckiego szyku skrzydło skoczy i baszy co na tamtem rozkazował skrzydle przy samych łeb ramieniach utnie jak po mydle. Spadł buńczuch chorążemu przycięty w ręku, wypadł i sam przez piersi pchnięty sztychem, z łęku.“ W zapale walki zapomnieli wszyscy o dostaniu języka i dopiero syn starego rotmistrza Hieronim (ojciec zięcia poety) „z obudwu rącz Turczyna za piersi uchwyci, który mu się z urody uda i kibici“ kiedy jeniec „nie chce iść i zrzędzi, Piotr go młodszy obuchem za plecy popędzi. Toż go co w koniech skoku z przetarganą brodą prosto ku

obozowi do hetmana wiodą". Dwaj drudzy synowie „przy rodzicu i z prawa i z lewa jako baszty jako dwa niezłomione drzewa, rum sobie szablą czyniąc, następują śmiele." Tymczasem Turcy rozjątrzeni zuchwałą napaścią zaszli tyły garstce walecznych, którzy „w ostrzu tylko broni swe nadzieje po Bogu kładą że z téj toni wynijdą: tam Lipski jak Leonidas drugi chce umrzeć zwyciężając; krwawe zewsząd strugi szumią, poganie jako trzcina, jako słoma płoną." Nigdy Wisła w czasie wiosennych wylewów tak „nie rozbierze brzegów jaką dziurę w pogaństwie garść ludzi tak mała ostrą szablą rozkopała." Mężny rotmistrz byłby szczęśliwie wydostał się z tego zamętu gdyby nie utrata konia, który upadając przycisnął swemu panu „nogę ze strzemieniem do skały". Nie mogąc się wydobyć dla ciężkiej zbroi „gęstych strzał i kiścieniów grady osuty, stratowany końskiemi kopyty Bogu dal nieśmiertelną duszę w depozyty... i Tatr Pirenejskich nieprzebytym wałem zaległ Turkom tamten próg zacnem swojem ciałem." Niemogąc się otrząsnąć ze szkolnych tradycyj i wymagań smaku swéj epoki zeszpecił poeta bohaterską mogiłę Lipskiego niedorzecznym panegirycznym nagrobkiem. Szereg scen wojennych zakończa Potocki poetycznym legendowego charakteru szczegółem, o wycieczce Osmana pod Kamieniec z zamiarem opanowania téj twierdzy i powetowania swych niepowodzeń owładnięciem tego tak ważnego pogranicznego grodu. Nie wiedziano przecie w radzie przybocznéj Osmana, że głęboki o stromych skalistych ścianach jar, spodem którego płynie rzeka Smotrycz, otacza miasto uniemożliwiając dostęp Gdy wysłany podjazd wraca z tą niepomyślną wieścią, rozjątrzony Osman sam udaje się sprawdzić otrzymaną relacyą.

„Kto kował te kamienie? kto skały obrywał?
Bóg! rzeką—słuszna i on żeby ich dobywał!" (str. 327)

Gdyby na tym obrazie zakończył poeta swą opowieść o bojach podchocimskich, czytelnik zamykałby książkę pod wrażeniem podniosłéj myśli, która przewodniczyła Potockiemu w ciągu jego pracy. Na nieszczęście obowiązki kronikarza zniewalają go do opowiedzenia wszystkiego co się przytrafiło Osmanowi w powrocie z pod Kamieńca do Chocimia, a mianowicie o niefortunnem szturmowaniu do bezbronnego zamku w Paniowcach, w którém obrało sobie schronienie „czterdziestu chłopów z dobytkiem swoim" i pop cerkiewki mieszczącéj się w murach zamku. Celne strzały tych zaimprowizowanych rycerzy o mało nie pozbawiły życia samego Osmana, który uznał za właściwe zaniechać szturmu i zakończyć na tém szereg niepomyślnych usiłowań przeciwko siłom polskim.

VII.

Porozrzucane tu i owdzie rysy życia obozowego tworzą obraz daleki bardzo od tego idealnego obozu jak się chwilami przesuwał w wyobraźni poety. Nieregularny dowóz żywności wywoływał niejednokrotnie rozruchy i zamiary ogólnéj dezercyi; częściowe zbiegostwo było rzeczą bardzo zwyczajną. „Brzuch niema rozumu uszu i niczyjéj kiedy próżny nie słucha cale perswazyjéj“ (243). Brak amunicyi („kul już niema z czego lać, proch już wystrzelany... o nierząd cudowny! bez prochu, bez ołowiu na wojnie tak głównéj!“ 302 str.). „Konie zdychają dla braku paszy, smród w obozie zkąd chorych na poły, Niemcy sną jako muchy i ledwie im doły zdrowi kopać nadążą“ (252 str.).

Te wewnętrzne przyczyny były o wiele niebezpieczniejsze od nieudolnie prowadzonych szturmów tureckich. Działa nieprzyjacielskie, pomimo ich niezwykłéj na owe czasy wielkości i siły („ziemię z gruntów trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów“), obsługiwane niedołężnie, nie wyrządzały żadnéj szkody obozowi polskiemu; umiejętne oszańcowanie, dokonane przez obeznanych z postępami sztuki fortyfikacyjnéj polskich i holenderskich oficerów (Arciszewscy, Apelman), zabezpieczało od pocisków i niespodzianych szturmów. Początkowy strach przed olbrzymią potęgą turecką przemienił się wkrótce w naganne niedbalstwo i lekceważenie nieprzyjaciela. Niekarność i nieład wzrosły jeszcze, gdy Chodkiewicz wyczerpawszy resztę sił w trudach obozowych położył się do łóżka; a młody królewicz Władysław od chwili przybycia do obozu nie wstawał z pościeli. Każdy rotmistrz uważał się za naczelnego wodza; kozactwo działało odrębnie uganiając się głównie za łupami, które codziennie prawie zdobywali w nocnych wycieczkach; ciurowie działali także na swoję rękę gdy się trafiła okazya do rabunku. Rycerstwo „któremu spowszedniały one huki“ spędzało dnie całe na grze w karty po namiotach i dopiero „gdy pogańskie w swych wałach buńczuki ujrzeli téż dopiero porzuciwszy pasza, do nich się pobierali od kart do pałasza; zwłaszcza gdy kto miał pewną a rzęsisto stało, tym bardziéj siekł im go to bardziéj rozgniewało. Ten za się rad przerwaniu który gonił resztą, za nim się z grą fortuna odmieni odeszłą: bowiem jako pogaństwo przegnali przez pole, do swéj się zabawy wracali przy stole.“

Harce wzajemne, nie przedstawiające więcéj niebezpieczeństwa od łowów na dzikiego źwierza, stały się dla rycerstwa rodzajem rozrywki, *sportu* wykazującego dzielność jeźdzca i przymioty konia. To téż Potocki myśliwskim językiem nazywa je „gonami.“ „Kto ma

serce a konia, niżeli gnić w kuczy, harcem sobie po błoniu szerokiem pohuczy.“ Przypatrzmy się przez chwilę téj rycerskiéj rozrywce któréj widzami były oba wrogie obozy: „Oto Chełmski Scibor zwali z konia pięknego Turczyna na wybór, drugiego żywcem przywiódł; tymże idzie torem Borek wielki najezdnik, Kulczycki z Minorem.“ Coraz to który z grona patrzących, zachęcony powodzeniem harcowników „nie mogąc się odjąć żądzy dłużéj“ przyłącza się do ich grona; stopniowo wysuwają się całe gromadki w których przodują najśmielsi jak: Sieniawski, Żórawiński reszta zaś pozostaje nieco w tyle by w razie potrzeby nadbiegnąć z pomocą. Między Turkami nie zbywa także na śmiałych ochotnikach „Prosto na krajczego (Sieniawskiego) z wyniosłym dzirytem leci Turczyn; z gotowym i on pistoletem nie stoi i tak żartko przyszło się im zderzyć, że się chybią nie mógłszy do siebie wymierzyć. Obróci się Sieniawski szablą mając w ręku a już Turczyn zniesiony u sług jego w ręku. Krolewski z Suchodolskim kiedy pana strzegą nim ten koniem obróci, porwą go i zbiegą. Toż szczęście Żórawiński toż i inszy mają gdy albo biorą Turków albo ich strzelają,“ Nie obeszło się przecie bez rozlewu krwi polskiéj bo „téj gry Rozen z Twardowskim przypłacili zdrowiem gdy się daléj zagonią; tam Potocki z łuku w ramię wziął, gdy Araba wiedzie przy munsztuku i inszych kilku rannych“ (str. 277) Zachód słońca położył koniec „téj krotofili“ którą Potocki patrzący na Turków jak za dzikie zwierzęta opisuje czysto myśliwskim językiem. Nie tyle przecie męstwo rycerstwa ile umiejętne oszańcowanie obozu, założonego w trafnie obraném miejscu, nadało szczupłym silom polskim tak wielką odporną potęgę. Turków znowu osłabiała sama wielkość i plemienna różnorodność półmilionowéj armii, która o ile była straszną w pochodzie swą niszczycielską energią, o tyle znowu zatrzymana przez czas dłuższy na jednym miejscu w okolicy nieludnéj i bezdrożnéj, w ostrym stosunkowo klimacie, topniała szybko od głodu, chłodu i chorób nieuniknionych w takim nagromadzeniu ludzi, koni i bydła. Śmierć Chodkiewicza nie wywarła wpływu na obustronne położenie. Następca jego młody Lubomirski nie potrzebował rozwijać wielkiéj energii i zdolności by dotrwać do końca na odporném stanowisku. Trudy i niewygody życia obozowego uspcsobiły pokojowo obie strony. Na propozycyą tureckiego agenta Wewelego posłano dla wybadania usposobienia i żądań Turków marszałka nadwornego Lubomirskich Jakóba Zielińskiego. Przyjęty przez wodzów tureckich bardzo uprzejmie powrócił z zapewnieniem o pokojowém usposobieniu Osmana, który wyczekuje tylko na przybycie upełnomocnionych posłów. W krótce po nim zjawił się Weweli z listem sułtańskim warującym posłom bezpieczeństwo ich osoby. Oświadczenia te przecie

nie były szczere. Osman był tak skłonny do przymierza, powiada Potocki posługując się ulubionym mu porównaniem z życia myśliwskiego: „jako pies kiedy wielkiego naszczeka zwierza, mów hojwo! każ mu leżeć, bierz go i za uszy, nie pójdzie, aż niedźwiedzia albo wieprza ruszy.“ To téż postanawia on jeszcze raz sprobować szczęścia i przypuścić ostateczny szturm do obozu polskiego w dzień św. Wacława patrona poety. I ta okoliczność zapewne tudzież wzgląd iż był to pierwszy bój zwycięzki za hetmańswa Lubomirskiego podnieciły uczucie i wyobraźnią Potockiego, który z wielkiem życiem kreśli koleje walki podobnéj zresztą zupełnie do kilku poprzednio już opisanych. Lubomirski jest jego ulubieńcem bowiem swą młodością urodą, rycerską postawą i ogniem zapału urzeczywistniał w jego wyobraźni ideał jeżeli nie wodza to bohatera, od którego tak dalekim był energiczny lecz przygnieciony wiekiem i chorobą Chodkiewicz, ztąd tak chętnie w usta nowego hetmana kładzie swe własne pojęcia i uczucia. Modlitwa którą Lubomirski odmawia po swym obiorze na hetmana, jest wiernym wyrazem pojęć i pragnień poety w chwili pisania poematu (około 1670 r.). Tchnie ona tym mistyczno-religijnym patryotyzmem, który uwydatnił się tak potężnie w Psalmodyi Kochowskiego: „Po swych aniołach pojrzyj panie a każ któremu niechaj sekundantem będzie gdy się baranek bije z elefantem. Rozum wodzowi, serce daj żołnierzom. Jakoś Ieftego kiedy szedł na twoję wojnę przyjął ofiarę, tak przyjmij i moję któryć dziś z tém rycerstwem Chrystusowéj wiary nie córkę ale duszę kładę na ofiary... Skrusz Mahometa, jakoś kruszył więc Baale“. Modlitwa ta powiada poeta „przebodła niebo“ i doszła Stwórcy który „każe Michałowi co dyabła wysadził aby o rzeczach polskich pod Chocimem radził.“ Jest to aluzya do narzucanego przez poetę Wiszniowieckiemu posłannictwa co do zgromienia Turków i wypędzenia ich z Europy.

Mowa Lubomirskiego do rycerstwa w chwili rozpoczęcia boju odznacza się niezwykłą u Potockiego zwięzłością, bo zresztą nie różni się doborem argumentów i zwrotów retorycznych od przemów Chodkiewicza. Jak zawsze tak i teraz przez usta Lubomirskiego przemawia sam Potocki do współczesnych sobie. Świeża elekcya Wiszniowieckiego napełniła jego serce otuchą, która przebija się tu z każdego słowa. Nadeszła nareszcie chwila „ma sarmacka młodzi“ którą Bóg umyślnie dotąd chował „żeby w niéj krzyż z miesiąca sławnie tryumfował“. . „Nam słońce dziś na niebo wschodzi, naszéj o bracia sławy gore lampa złota, żeby widzianą była każdego z nas cnota“. Nie lękajcie się potęgi tureckiéj są to ci sami ludzie „cośmy ich sto razy jako bydło szablą gnali krzywą... co z pola przed naszemi uciekali ciury, cośmy im palce w gęby kładli, z ręki brali buńczuki...

Tenże chłopiec i teraz głupi; taż ich niwa pod téż wam szable znowu pędzi do rzeziwa.... Bijmy mężnie nie licząc, mamy nad złoczyńce serce w piersiach na ziemi, na niebie przyczyńce" (str. 298).

Porażka, jakiéj doznali w téj walce Turcy, uczyniła ich skłonniejszymi jeszcze do zgody. Osman przekonawszy się dowodnie, iż „serce ma nad liczbą w okazyej więcéj, że przed jednym ucieka chartem sto zajęcy," widząc „kawalery i swych rycerzów jednych jako wory na wozach, drugich jako bydło do obory gnanych z pola... spuścił z kwinty" i tylko „płakał jako bóbr, a ze łzami szczery jad pryskał mu po piersiach." W obozie polskim całodzienny bój wyczerpał tak zapasy prochu, iż jedna tylko pozostała beczka („o nierząd cudowny" woła poeta) trzeba więc było zrzucić pychę z serca i korzystając z chwili, wyprawić poselstwo do obozu tureckiego dla spiesznego zawarcia pokoju. Wybrano w tym celu z grona komisarzów wojennych: Sobieskiego (z senatu) i Żórawińskiego (z izby poselskiéj), Andrzeja Szołdrskiego, kanclerza przy królewiczu („człowiek wielki z rozumu, wymowy i cnoty) i Aleksandra Szembeka, który z listami hetmana do Osmana i Dilawera (wezyra) i darami („któremi sami miękczą się bogowie") wyruszyli z obozu.

Wieść o przybyciu posłów polskich wywołała niezmierną radość pomiędzy wojskiem tureckiem. „Co żywo się na wozy i na budy wspina, ciągnie szyje.... straże nawet co przyległe trzymały wzgórki, wyrzucały zawoje z krzykiem na powtórki, czując czas niedaleki szczęsnego powrotu w miły dom z bud niewczesnych." U wstępu do obozu oczekiwało na orszak poselski sto *czauszów* (gońcy, kuryerzy tureccy) „w poczesne wszyscy brody przybrani, by tak w rozum maluj wojewody." Daléj spotkał ich oddział Wołochów z zaproszeniem do namiotu hospodara Raduły. Pomimo pewnéj wątpliwości, czy nie będzie to „z dyshonorem Rzeczypospolitéj," że zamiast coby hospodar na nich czekał, posłowie pierwsi udadzą się do niego, okoliczności przecie nie pozwalały wszczynać sporów ze względu na pożytek, jaki Raduł jako pośrednik między posłami a sułtanem, mógł przynieść interesom polskim. Osman tymczasem chce przed rozpoczęciem układów opanować podejściem Kamieniec, by mieć podstawę do stawienia trudniejszych warunków posłom. W tym celu dla zasłonięcia swych zamiarów rozwija gwałtowny ogień działowy na obóz polski i wyprowadza znaczne siły w pole, udając zamiar szturmowania. Potocki nie rozumiejąc znaczenia tego udanego ataku, przypisuje go zaciekłości wojowniczéj Osmana, („Mów wilku pacierz! a on przecie owca, baran") nie mogącego się pogodzić z myślą o pokoju, to téż dziwi się, że Turcy wyszedłszy w pole „kiedy już, już trzeba było skoczyć, zaczęli się boczyć" i krzy-

cząc jedynie *halla*, *halla*, „swój impet obrócili w harce“ (str. 313). Tymczasem w obozie tureckim robiono przygotowania do ataku na Kamieniec, który, jak to już wspomnieliśmy wyżéj, nie powiódł się, co sparaliżowało połączone z tém dalsze plany wojenne Turków, zmierzające prawdopodobnie do zupełnego oblężenia obozu polskiego i przecięcia mu komunikacyi z krajem.

Po niefortunnym powrocie z pod Kamieńca, usposobienie pokojowe przeważyło znowu u Osmana i wskutek tego zawezwano posłów polskich, wyczekujących dotąd bezczynnie na konferencyą do wielkiego Wezyra.

Żórawiński, który przemawiał w imieniu całego grona, wypowiada— w wyobraźni Potockiego naturalnie— i pojęcia i sądy współczesnéj szlachty o kwestyi wołoskiéj: „O Wołochy tak stoim jak pies o piątą nogę, jak ptak o trzecie skrzydło, póki był wolny naród i do nas się skłaniał, póty go Polak bronił, póty go oganiał. Dziś kiedy się sam od nas tak odsaczy, kto z nami nie chce chleba, my z nim i kołaczy.“ Wizerunki dostojników tureckich rażą nas cudaczną karykaturalnością, przypominającą postacie rysunków dziecinnych o kształtach i wymiarach najdowolniejszych, pozbawionych wszelkiéj prawdy harmonii, proporcyi, odpowiadających jedynie wymaganiom fantazyi niemowlęcéj, lubującéj się w tworzeniu czysto fantastycznych kształtów. Oto jak nam maluje Potocki Muftego (Szeik Islamu), któremu przedstawiali się posłowie po audencyi u Wezyra: „Blady, chudy, krzywy, zgoła trupek, kamyków nawtykawszy na nić, jako słupek w miejscu stał, szepcąc swoje nikczemne pacierze.“ Osman znowu przyjmując posłów, „siedzi jak bałwan, jakby sztukę balku złoconego postawił kto na katafalku. Dywan naprzód wysoki, na dywanie zatém we trzy łokcie wysokim wzniósł się majestatem. I tak siedzi, ni ręką, ni nogą nie rucha, ni głową, ni okiem, i chociaż mu mucha w nos lezie uprzykrzona, jéj się nie ożenie. Właśnie takie stawiają na jarząbki cienie“ (str. 345). Są to naturalnie czysto fantazyjne rysunki, bowiem Potocki nie widział na oczy ni sułtana, ni żadnego ze wspominanych tu dygnitarzy tureckich, mógł tylko słyszéć żartobliwe i przesadzone opowieści uczestników saméj wyprawy, a może i poselstwa, z których pochwycił i przedstawił w powiększeniu najjaskrawsze rysy jedynie.

Rozmowa posłów polskich z hospodarem Radułą, który ich na obiad zaprosił, jest ciekawém odbiciem szlacheckiéj dysputy o stosunkach z Turcyą, Tatarami i Wołoszczyzną. Gdy Raduł wspomniał o potrzebie dawania sułtanowi upominków w złocie: „Na on twardy sylogizm Żórawiński krząknie, już mu z serca chybki gniew do języka sięga.“ Widząc to Sobieski, powstrzymuje porywczego towa-

rzysza od wybuchu i sam „skoro kęs odpocznie, skromnie Wołoszynowi odpowiadać pocznie.“ Otóż w téj „skromnéj odpowiedzi“ prawi Radule u którego był gościem komplement, że się srodze zawiódł, rachując, że on jako „chrześcijański człowiek“ będzie życzliwym dla chrześcian, a tymczasem „nie będzie ryś ze psa nigdy jako widzę,“ że jego animusz nie jest „pośredniczy ale niewolniczy,“ że „w sicie szuka sęku,“ że „jako pismo na śniegu tak wołoska wiara,“ że Wołochom tylko przystoi dawać daniny i haracze, „których natura jako wielbłądy i muły do ciężarów sprawiła.... znakiem w herbie u was łeb bydlęcy.“

Turcy pragnąc koniecznie wytargować choć drobne jakieś zadość uczynienie, by tém swą powagę polityczną uratować po doznanych porażkach, używają rozmaitych sposobów do nastraszenia i zmiękczenia posłów polskich. Opowiadają im więc, że Osman uparł się sześć tygodni jeszcze prowadzić wojnę, że mu świeże posiłki nadchodzą, wyprowadzano w nocy z obozu oddziały, które z rana „z wielką pompą“ wprowadzano do obozu koło szałasu posłów, którzy „na to wszystko pokazali figi; dobry kobuz na wróble, Ulisses na Frygi, rano było wstać ktoby chciał ich wywieść w pole.“ Oddając wet za wet, posłowie znoszą się z obozem swoim, z którego Lubomirski przysyła im list, donoszący o nadchodzeniu króla z ogromnym wojskiem, a jednocześnie Sieniawski „przenocowawszy w polu na zmowie z hetmanem, z wielką pompą wszedł w obóz prawie z słońcem rannem.“ Na odgłos trąb i wystrzałów „turków jako podszywał, jak wlókł przez nich siano.“

Nareszcie po długich sporach i naradach, gdy posłowie stanowczo oświadczyli że zerwą układy, gdy turcy będą obstawać przy żądaniu haraczu, i powiedziawszy to „zerwą się z kobierca,“ Dilawer „chwyci ich za ręce“ i słowami polskiego szlachcica łagodzącego rozgniewanego gościa rzecze z uśmiechem na posły: „Gorącoście kąpani, byłoby to grzechem w tém was puszczać rosole do swoich.“ Posłowie ochłonąwszy, przystają ostatecznie na złożenie podarków jedynie Osmanowi i dygnitarzom dworskim. „Bo turcy — powiada objaśniając i usprawiedliwiając to poeta, jako żaden na ziemskim padole naród, tak pragną złota.... i do podobieństwa, gdyż w najpodlejszych ludzi tkają dostojeństwa. Tam wszystkim rzemieślnikom do honoru prędki przystęp; tam szewc co wiechciem wyściela na piętki, kuśnierz, krawiec, tkacz, barwierz wstawszy od warsztatu, obok siędzie z wezyrem i wschodniemu światu prawa daje z dywanu.“

Gdy ułożono ostatecznie warunki pokoju z wezyrem, Sobieski udał się do obozu dla akceptacyi punktów przez królewicza, hetma-

na i komisarzów. Nie mając amunicyi ani nadziei na przybycie króla z posiłkami nie stawiali oni trudności posłom i potwierdzili układ. Turcy też z niecierpliwością oblegali namiot posłów wyczekując powrotu Sobieskiego, „jako psi, kiedy w jatce rzeźnika więc czują na zapach tylko mięsa pyski oblizują.“ Gdy nareszcie przybył, nastąpiło uroczyste zaprzysiężenie pokoju przez obie strony i posłuchanie u Sułtana dla oddania mu podarków. Potocki korzysta z téj sposobności by przeciwstawić turkom postacie rycerskie posłów polskich, którzy śród nich „jako dwie świecili kozyry, obom rycerska postać każdy bohatyry, z kroju, stroju, z humoru, z kształtnéj ciała tusze poznał, i zgasły brody na ich animusze“ (344).

Jowialność szlachecka będąca w istocie dziecięcą wesołością ludzi nie znających wyższych celów życia, wyzwolonych od wszystkich uciążliwych obowiązków, zamykających oczy na klęski publiczne i upadek polityczny kraju, szukających jedynie w aktach życia publicznego i prywatnego sposobności do zabawiania się i upatrujących we wszystkiém jakieś śmieszące strony i rysy — występuje dość często u Potockiego. Opisując tak doniosły i uroczysty akt jak zawarcie pokoju, nie może utrzymać powagi, jakiéj zarówno od historyka jak poety wymagamy i oczekujemy. Jak uczeń, który mimo swéj pilności i przykładnego sprawowania, szuka skwapliwie, czy w osobie nauczyciela lub kolegi, czy w treści lekcyi lub drobiazgu życia powszedniego, pobudki do żartów i śmiechu, stanowiącego fizyczną potrzebę jego natury: tak i Potocki, mimo podniosłych pobudek, mimo idealnych celów swego poematu, nie może oprzéć się pokusie wyszukania przedmiotu do śmiechu, gdzie tylko ma do tego najmniejszą sposobność. Gdy po dopełnionych formalnościach Wezyr zaprosił posłów do swego namiotu, przyjął ich wschodnim obyczajem słodyczami i chłodnémi napojami, a stosując się do zwyczajów europejskich, wniósł zdrowie posłów trunkiem „wody czystéj z farfury złocistéj ze świeżéj ambry perfumem; tak skoro koleją wszyscy w się po puharze wody onéj wleją, zacznie drugą pan Bełzki za cesarskie zdrowie: na co razem klęknęli wszyscy wezyrowie — a potém go niedługo zadławili sami wolałby ich kwitować z ceremoniami. Trzecią wypił Sobieski, jakby wytarł płatem za zdrowie wezyrowe wraz z całym senatem.“ Na samą myśl, iż Polak mógł wnosić zdrowia perfumowaną wodą, wybuchał śmiechem tak opowiadacz tego szczegółu, jak i powtarzający go Potocki, który dla tém większego efektu dodaje, że wodę tę „z najbliższego popijano stoku“ zapominając, że poprzednio wspomina, iż miało to miejsce przy świetnie zastawionym stole w namiocie wielkiego Wezyra. „Idą ci (posłowie z powrotem do swego namiotu), coraz zimna porywa ich febra, bo

mało z nich nie dopił każdy wody cebra" — dodaje swoim już konceptem rozweselony kłopotliwem położeniem posłów poeta.

Załatwiwszy wszystkie formalności i ułożywszy się z Turkami co do obustronnego odwrotu wojsk, wracają posłowie do obozu „jakoby kto wołu z pługa wyprzągł" i stawają „z wesołą twarzą i obrotem" śród rycerstwa, które ich wyczekuje, zostając „między młotem a kowadłem: serce grzeje nadzieja, strach ziębi przejęty.... czy przymierze i do dom abszejt pożądany czy w dzień z głodem, w noc ze snem, w dzień i w noc z pogany uprzykrzone zapasy?" To téż gdy z ust Żórawińskiego usłyszą tak pożądaną wiadomość o zawarciu pokoju i rozpoczętym odwrocie Turków „ledwie z wielkiéj pociechy nie wyskoczą z skóry, gdyby im kto na czołach zrobił apertury— powiada konceptujący przy sposobności Potocki.— Tenci koniec był wojnie, która im straszniejsza tym téż dzięka wielkiemu Bogu powinniejsza za Jego świętą pomoc: On nam sam hetmanił, On pogaństwu tak harde bezpieczeństwo zganił." To téż wracając do poważnego nastroju, poeta kończy swą różno-barwną i różno-tonną opowieść dziękczynnym, uroczystym hymnem: „Tobie, tobie monarcho szerokiego świata.... Tobie w piersiach, podniosłszy tryumfalne palmy, święty pacan przez hymny głosimy i psalmy.... Twoja to Wiktorya, Twój fest... że Turczyn... który wielkie kruszył fortece i narody gładził o szczyptę Twoich ludzi, jako kosa o kamień zawadził..... Tyś nasze z lwiéj paszczęki wydarł z Danielem, z Jonaszem na dnie morskiem z wielorybich ksieńców i z ognistego pieca jako trzech młodzieńców..... Ofiaręć na serc czystych kładziemy ognisko..... Chciéj... zdarzyć... aby pokój w téj koronie wiekował ku Twéj chwale świętéj, a z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty, pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki, rozmnóż Ducha świętego, a przemierzłe zbytki... niech z nas Twa prawica wyplewie; daj w ojczystéj swobodzie, w rządzie, w dobréj sile wyżyć téj śmiertelności zamierzone chwile."

Temi słowy skończył w ostatnim dniu 1670 roku swój poemat Potocki, w radosnym nastroju ducha, pełen ufności, iż wszystkie oczekiwane przezeń zmiany w życiu i losach społeczeństwa polskiego ziszczą się wkrótce z pomocą Boga i wybranego przezeń za narzędzie króla-Piasta.

VIII.

Jak przy każdéj sposobności podnosi Potocki zasługi swych współziemian małopolskich, wygłasza swe ukochane idee i zaleca ulubione cnoty; tak również nie zapomina o tych, co zasłużyli na

jego nienawiść zarówno stanach jak osobach, ideach jak wadach współczesnych i z całą siłą sarkazmu odtwarza w zjadliwych rysach nienawidzone postacie, gromi wstrętne sobie dążenia i wytyka ujemne strony społeczeństwa.

Głównym przedmiotem nienawiści są panowie, których zniewieściałość i samolubstwo odmalował, jak to już widzieliśmy, w tak prawdziwych choć jaskrawych obrazach, a przytém ród Wazów, z którego jeden tylko Władysław IV cieszy się względną pobłażliwością poety, prawdopodobnie dla żywionego przezeń choć nie ziszczonego zamiaru wielkiéj wyprawy na Turków. O jego pomniejszych wyprawach i panowaniu nie wspomina nigdy, żartuje sobie tylko, że przeleżawszy przez cały czas bojów chocimskich w łóżku, był „w aptece, nie w obozie," a mimo to w czasie swéj podróży za granicą odbierał ciągłe owacye za te niepołożone zasługi, „sławą odęty pełne panegiryków prowadził okręty" ale „w cudze ozdoby, w cudze pstrzyć się piórka nie siedziawszy na koniu, nie widziawszy turka, ujma cnocie hetmanów." Przecież „Bóg widzi czyj kogut, czyj baran z wysoka, niech się pstrzy, niech rzegoce, zawsze sroką sroka" (str. 359 i 360). Za to nie żałuje Potocki zjadliwych docinków Zygmuntowi III, pomimo, iż z jego panowania zaledwie ostatnie lata mógł pamiętać. Już w przedmowie wylicza cały szereg zarzutów, małoznaczących zresztą, któremi zniechęcił ku sobie szlachtę,—„nienaprawione obyczaje, konwersacye z ludźmi swego, dalekiego od polskiego honoru, narodu, nie królewskie piły i kręgli zabawy, odmiana dworu polskiego na niemiecki, za onych harcerzów, których Stefan czterystu z synów koronnych przy boku swoim chował i kochał, dragonów i alebartników wprowadzenie, ze dwiema siostrami austryackiemi, *sine consensu Reipublicae*, ożenienie i t. d. Nie wspomina tu przecie najważniejszego, choć niewypowiadanego głośno przez małopolan zarzutu, iż z przeniesieniem stolicy do Warszawy, szlachta mało-polska straciła swe dawniejsze polityczne znaczenie i wpływ na bieg spraw publicznych i w tém było główne źródło jéj niechęci i opozycyi przeciw Wazom. To téż korzystając ze sposobności, jaką mu dostarcza opieszałość Zygmunta III, zabawiającego się polowaniem we Lwowie i trzymającego przy sobie całe pospolite ruszenie, podczas gdy pod Chocimem rozstrzygały się losy kraju, nie szczędzi Potocki jaskrawych barw dla odmalowania jego wzgardliwéj obojętności na dobro powierzonego jego pieczy kraju.

Gdy podczas łowów królewskich przybywa poseł z listami od hetmanów, Zygmunt włożywszy nieczytane pismo „w skórzane pludry, w drugą zaraz dolinę ogary założy," albowiem „psie gony milsze

mu niż sława dobra, niż całość korony.“ To téż „o wojnie jakoby o wilku żelaznym kto mu bajał,“ on tylko „pilen łowu zajęczego.... z stem tysięcy młodzi sarmackiéj siedzi w miejscu; takci kiedy wodzi kaczka młode kurczęta, nie masz zgody: bo kury chodzą, kaczka pływa.“ Dopiero kiedy odbiera wiadomość o zawarciu pokoju, zaczyna odgrywać komedyą wojennego zapału i grozić, że skoro bez niego zawarto traktaty, on nie zważając na te umowy, „pójdzie za turki w pogonią“ po za „Dunaj i Bałchany śnieżne i nie oprze się aż nad Hellespontem.... A gdybyś w serce wejrzał niesłychanie cieszy, że jutro do kochanéj Warszawy pośpieszy.... Spać raczéj nie wojować.“ Zresztą zdaniem poety lepiéj się stało, że „leniwy jak żółw“ Zygmunt nie zdobył sobie wieńca sławy, który komu innemu przeznaczyły „niebieskie archiwy.“ Gdyby był „Piastem, mógł był dopiąć korony, która doczekała sobie obiecanego Michała.“ Jan Kazimierz znowu to „ptak obcy rodem,“ który „wodząc dzieci orła biało-piórego zdzicze i w cudzy kraj ich w kłopocie odleci“ (str 178), to „głowa źle przystająca do ciała“ (Rzeczypospolitéj). Na dworze królewskim réj wodzą „metresy, karli, skrzypkowie, pochlebce,“ a „szedziwego starca zdrowa rada“ wzgardę spotyka. Równie surowym jak dla królów jest i dla współczesnego społeczeństwa, nie poprzestając na podanych powyżéj satyrycznych obrazach, uzupełnia je i powtarza niejednokrotnie z małemi odmianami. Wspomniawszy, iż w armii tureckiéj było dwanaście tysięcy janczarów, podczas gdy ze skarbu wydano pieniądze na dwadzieścia, ale na ośm skradziono, zwraca się ku swemu społeczeństwu gdzie te same dostrzega nadużycia: „kto li temi czasy pańskiéj bez interesu podejmuje się kasy? Każdy tam pragnie służyć kędy okrom myta choć co ukradnie, nikt się o to go nie spyta. Nie regiestr do sumienia ale do regiestru sumienie mając pogotowiu.“ Chciwość tę rodzi zbytek.

Nie poprzestajemy na tém co własna ziemia wydaje, choć mając „chleb a piwo i tłuste mięso z chrzanem“ przy zdrowiu „dłużejbyśmy żyli i starzy i młodzi, każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział na świecie.... Nie znanoż dawno pieprzu, kanaru, cymentu, apetyt by każdemu miasto kondymentu“ to téż „patrzmy co za ludzi miały tamte wieki, którzy nam tę ojczyznę dali do opieki.“ Dziś gdy „na wszystkie posyłamy światy po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty, nikt do nas.... w tém kmiotków naszych poty, w tém toną ich prace.“ Za zbytkiem idzie zniewieściałość. „Ledwie że nie z nogami drugi dzisiaj wlezie w szyszak przodka swojego, puklerza nie dźwignie, pod mieczem jako wyżeł do ziemi się przygnie, ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu.... Zbytkami nieszczęsnymi, łakomymi garły, samiśmy się w pigmeów postrzygli i w karły... Co żywo na nas jeź-

dzi i wszyscy nas lubią, wszyscy nas jako własne gąski skubią.“ Tu kreśli Potocki wymowny, tragiczny w swéj satyryczności, obraz tego rozpadania się organizmu państwowego, szarpanego przez najbliższych sąsiadów. „Wziął turczyn Wołochy, Inflanty z Estonią szwedzi, niemcy Prusy trzymają, węgrzyn czyha na Śpiż, wzięto nam część Litwy i całe Zadnieprze... A toż wina, hatłasy, sobole i pieprze. Nie lepiejże nam było w starożytnym trybie zostając, to jeść, to pić, w tém chodzić, na skibie co się rodzi ojczystéj a durnym narodom prawa dawać i wielkim rozkazować grodom?“ (str. 176 i 177). Przy takiéj bezsilności jesteśmy na łasce sąsiadów, „teraz się wszyscy cieszą śmiele wilcy polskiéj wolności i nieprzyjaciele“ a my przeciw ich potędze nie możemy stawić żadnéj zapory. „Wisła?.. co sucho ją pewnie zbrodzą kury.... fortece? Kraków?... samychby dział burzących spadł na ziemię grzmotem.“ Kto rachuje „że sąsiad z posiłkiem przyjedzie jakobyś téż budował na marcowym ledzie... z braciéj szlachty nie wiele rozumiem pociechy.... drugi jako żywo nie służył, mów ty: wojna, a on będzie: żniwo“ (str. 192). Czyż w tych rozumowaniach nie odbiły się w całéj świeżości szlacheckiego humoru, języka i logiki, pogadanki polityczne ówczesnych poważniejszych i rozumniejszych ziemian małopolskich?

Jak z pomiędzy nich wyszła inicyatywa konfederacyi Tyszowieckiéj i wybawiciel ówczesny Rzeczypospolitéj— Stafan Czarnecki, tak w dalszym ciągu konsekwentnego przeprowadzania zamiaru odrodzenia Rzeczypospolitéj, przez powrót do staropolskich urządzeń, obyczajów i męstwa, występują oni pod wodzą Lubomirskiego w energicznéj opozycyi przeciw dążeniom partyi francuskiéj i uwieńczają wreszcie swe usiłowania wyborem upragnionego Piasta w osobie Michała Wiszniowieckiego. Potocki, który rozpoczął pisać swój poemat z zamiarem rozbudzenia w sercach całéj szlachty dawnego męstwa, dawnych cnót i miłości dla staropolskich obyczajów, wierząc, iż na téj drodze jedynie można było przywrócić Rzeczypospolitéj dawną potęgę, widział w królu Piaście pierwszy, nieodzowny warunek téj moralnéj reformy, to téż wybór Wiszniowieckiego powitał z taką radością i zapałem.

W wyobraźni Potockiego elekt ten, jako wnuk Jana Zamojskiego i syn Jeremiego, ukazał się odrodzicielem ducha rycerskiego i narodowego obyczaju. Bóg „rozegnawszy niemieckie żołny, francuskie papugi, węgierskie kruki, szwedzkie sępy, gwiazdy swoje na własném umieścił niebie“— powiada poeta— robiąc aluzyą do gwiazdy mieszczącéj się w herbie Wiszniowieckich. Imię tego Bożego zesłańca, którego patron niebieski zwyciężył piekielnego smoka, zapowiadało, że i on nietylko „przezwiskiem Lech (Michael=Jam Lech)

i samą rzeczą mścicielem krwi szlachetnéj będzie i odsieczą“ (str. 356). Urodzony w obozie, wychowany w zbroi ojcowskiéj (str. 52) skupi on w swéj osobie „jakoby w jeden kościół“ doskonałości i cnoty tysiąca rodzin szlacheckich, z któremi pozostawał w pokrewieństwie. „*Jam Lech* — zapowiada przez usta swego wybrańca poeta— spustoszone osiadłości dziedzictwa orła białego, odarte i obnażone z dawnéj sławy, tytuły jego zdeptane, oblane krwią tak obficie przez dwanaście wieków zaszczyty zdobyte i nagrody cnocie oddam, oraczom role, kościołom ołtarze i koronie mojéj dawny blask przywrócę“ (str. 54).

Dokonawszy tego cudownego odrodzenia w powierzoném jego pieczy społeczeństwie, powiedzie ten król-wódz hufce pałających wiarą i męstwem rycerzy na wielki bój z wrogami Boga, kościoła i ojczyzny. „Jako we dnie, niebieski przed słoneczném światłem księżyc blednie, tak ziemski (turecki półksiężyc) przed niebieskim, zwłaszcza kiedy z krzyżem się złączy (herb Wiszniowieckich), padnie paraliżem.“ Z pomocą Bożą „Azya, pod tym tytułem, pod którym upadła, pod tym samym wstanie i wolności drogiéj nabywszy, w chrześciańskie wróci katalogi.“ Że jak pod Michałem Paleologiem uległa przemocy niewiernych, tak za sprawą Michała, zesłanego przez Boga odzyska swój byt samoistny. Już Tacyt, zdaniem Potockiego, „prorokował inwestyturę tego króla na tron polski“ (str. 55). Cudowne znaki towarzyszące wyborowi Michała świadczą, iż jest przez Boga zesłanym, „któremu nie nowina nie z książęcego jako u nas domu, ale z pasterskiego królów wysadzać szałasu.... Już zaszedł niepogodny sierpień, który swoje pognoił snopy“ (herb Wazów).... co je „żaba obje i chróściel wyżobie bezkarnie.... (str. 356) a wrzesień (miesiąc elekcyi) nam szczęśliwéj nadziei nowego posiewu na różanym wozie pośrodku niebios wstępuje“ (str. 63).

Napróżno jednak Potocki wraz z całą szlachtą wyczekiwał od upragnionego Piasta tych wielkich dzieł, jakie wraz ze stanem rycerskim miał dokonać, udzielając mu swych cnót i zapału. Ten, przez Boga zesłany Michał, okazał się o wiele nieudolniejszym królem niż jego znienawidzony poprzednik. Małżeństwo z austryaczką, zabranie Kamieńca przez Turków, haniebny pokój w Buczaczu, swobodne rozpościeranie się po kraju zagonów tatarskich, a wreszcie konfederacya gołąbska, która odsłoniła upadek i ducha rycerskiego i ducha obywatelskiego śród tłumów szlacheckich, kłócących się i bijących zamiast ruszać na Turka — rozwiały stopniowo nadzieje i złudzenia poety. „Nowy Merkuryusz“ jest ciekawym bardzo wyrazem uczuć i pojęć Potockiego, wywołanych wiadomością o wzięciu Kamieńca i haniebnych warunkach traktatu buczackiego. „Haracz dają oni —

oni, mówię—Polacy, co złotą swobodą wszystkie świata narody dotąd w oczy bodą.... Ah kędyż staropolskie w szlachcie animusze! Dopiero widzisz smutne wolności frymarki, gdy im ku większéj hańbie a swojéj pociesze, lada żyd, lada cygan kijem grzbiety czesze!“ Ze smutkiem i goryczą doznanego zawodu przemawia do króla: „Nie stój, Michale, nie stój!—Mars pole otworzył, długoż będzie skubł pierze pod Lublinem orzeł?.... Przejrzyj się w Bolesławach, Zygmuntach, Stefanach.... patrz w przodków twoich gniazda... im wyżéj nad inne weszła twoja gwiazda, tym jaśniéj ma świecić nad obliczem ziemie, a choć tak jak Janusze, Dymitry, Jeremie.... Niech turczyn nie urąga językiem zuchwałym, wziął Stambuł i Kamieniec weźmie pod Michałem.... niech tryumf odniesiem u świata, że nam nie żal gdy królem mamy swego brata. Niech nie urąga węgrzyn, francuzi i szwedzi, że tylko *koła* robim gdy Piast w tronie siedzi....“ Szczera boleść, zawiedzionego w swych najdroższych uczuciach i nadziejach poety, przebija się w tém wymownem tak wezwaniu przechodzącém w gorzki wyrzut miejscami. Na szczęście wschodząca podówczas gwiazda Sobieskiego, obudziła na nowo otuchę w sercu Potockiego, i zwróciła całą uwagę i całą miłość jego ku osobie dzielnego pogromcy Turków.

Wobec téj rycerskiéj postaci, przy któréj blasku znikła blada figura króla, pocieszony poeta mści się za swój zawód, żartując lekceważąco ze swego niedawnego ideału w wierszu: „Koszty ogromne na pospolite ruszenie pod Gołąb“ (*Wety parnaskie* str. 438). Opowiada tu, iż król Michał dla wystraszenia Turków z Podola, kazał porobić ogromne kotły na czterech doboszy tak wielkie, iż cała skóra bawola ledwo wystarczała na obszycie jednego, a każdy musiał być umieszczony na oddzielnym wozie. „Pewnie tak srogich bębnów przestraszony echem, uciekłby był poganin z Kamieńca przed Lechem, rozumiejąc, że tyleż serca tyleż ma sił“ — powiada poeta — wyśmiewając tak uwielbionego niedawno króla-Lecha. „Kotły one— dodaje uszczypliwie — miały być przy Jagiełłowych mieczach powieszone,“ ale gdy nie mogły się zmieścić w ciasnych drzwiach skarbca królewskiego w Krakowie „przysądzono (je) piwu.... Niech nie będzie nikomu postępek ten dziwny, alboż nie gorzałczany obóz i nie piwny“ (pod Gołębiem), z którego „na wieki się korona polska nie wyszuma“ (1).

---

(1) W tym zawodzie i zwróceniu się uczuć i nadziei poety ku Sobieskiemu, upatrywać należy główny powód nieogłoszenia drukiem „Wojny Chocimskiéj;“ idei przecie która mu przewodniczyła w tym poemacie, nie przestaje Potocki nadal wiernie służyć i stara się ją w praktyczniejszy sposób urzeczywistnić w „Poczcie herbów,“ który

Zawód ten choć bolesny nie trafił u Potockiego na umysł nieprzygotowany do tego rodzaju niespodzianek, choć skłonny do zapału i egzaltacyi, ze swego szlacheckiego, polskiego temperamentu ulegał on, tak pod wpływem doświadczenia życiowego, z którego umiał korzystać jak i książek ascetycznych, które z upodobaniem czytywał przystępom zniechęcenia, zwątpienia i filozoficzno-religijnéj pogardy dla życia. Przedstawiając bezsenną noc znękanego niepowodzeniami Osmana i kłopoty pozbawiające snu Chodkiewicza, z uśmiechem filozofa zaznacza jak „nie śpi stary Chodkiewicz, nie śpi Osman młody, jeden myśli o drugim" podczas gdy ziemia „co dopiero strasznym grzmiała zgrzytem, jako makiem zasuta śpi pod cichym cytem." Jakże śmiesznémi są ludzkie porywy, i zapędy „nie mogąc na swém ciele czarnego włosa białym uczynić" człowiek tak wiele przedsiębierze „nie wiedząc że to jest już w druku o co ty biedną głowę trudzisz do rozpuku." Bóg z uśmiechem patrzy na ludzkie wysiłki a człowiek zwykle osięga to czego się nie spodziewał. „Nie być wam na tych godziech gdzie mierzycie oba, powiada poeta do Osmana i Chodkiewicza, ciebie starcze już blizka dogryzie choroba a młodziak spadłszy przykro z swéj nadziei szczytu i półrocza na świecie nie będzie mieć bytu". Jedyne to miejsce w poemacie w którym Potocki z wyższego punktu widzenia spojrzał na strony walczące i wzniósł się do zupełnéj objektywności w swéj refleksyi.

Ludzie przecie w swéj niewiadomości jutra, nie myślą ani o przygodach jakie mogą pokrzyżować ich plany, ani o śmierci która lada chwila może położyć kres ich zabiegom i z całym zapałem oddają się rozmaitym zajęciom, dążeniom, upodobaniom. Znać ziemianina myśliwca w tém długiem wyliczaniu zatrudnień ludzkich, bowiem opisowi łowów poświęca połowę całego ustępu a drugą w znacznéj części rolniczym zatrudnieniom (str. 318 i 319). Zajęcia rzemieślnicze pomija zupełnie poeta i kończy poczet tych prac ludzkich mozołami uczonego, który „w księgach utonął i by go kto spytał, czego się przez wiek swój tak długi doczytał? Mniemam, że na odpowiedź myśliwszy ze trzy dni, rzekłby: że wszystko próżność! snu i nocnéj bredni rówien świat i to wszystko cokolwiek na świecie; wszystko bywszy nie będzie bo śmierć wszystko zmiecie." Z tym pessymizmem mędrca izraelskiego łączy Potocki stoicką zasadę rozwijaną przez Senekę

---

dedykuje całemu rycerstwu walczącemu pod wodzą ukochanego króla bohatera Sobieskiego. W tym olbrzymim rymowanym herbarzu (opartym na pracy Okolskiego) chciał on przypomnieć każdemu po szczególe rodowi zasługi przodków i ciążące na nim obowiązki obywatelsko-rycerskie, tudzież oddzielić prawdziwą starożytną szlachtę od „hybrydów," jak się wyraża w przedmowie.

że człowiek „póki tylko żyje, póki tylko ziewa zawsze albo się boi albo się spodziewa“ i za swym rzymskim mistrzem przedstawia cały szereg niewolników pewnéj namiętności. Oto palony żądzą wyniesienia się „w kruchéj cegle wystał już jakoby za pokutę dołek „byleby nie minął go stołek, skąpiec znowu śród bogactw nagromadzonych umiera w nędzy „gdy drudzy jedli, pili on połykał ślinki.“ Ten znowu dumny „faworem pospólstwa w niebo pluje i stawia z tablatury pięty.“ Inny znowu dla pozyskania popularności „karmi i poi, trąbi, bębni, skrzypie, wioskę sprzeda ojcowską a pieniądze sypie“ niepomny na to że „póki psu dajesz chleba tobą się opieka; przestaniesz? da kto więcéj kąsa cię i szczeka.“

Wtedy dopiero przekonywamy się całéj marności naszych zabiegów i rozkoszy gdy „trzeci kur zapieje i przyjdzie nam umierać“ wtedy dopiero „gdy śmierć oczy przetrze“ poznajemy, że życie nasze było „snem—marą.“

Wszystko, za czem ubiegaliśmy się: „sławę, bogactwa rozkosz, świeckie delicye lekki wiatr po znikomém powietrzu rozwieje“ a skoro „opadną mgły one i blask sławy szumny, aż niema nic aż nago wleziem się do trumny, jakoś my na świat wyszli.“ Jednakże okropne skutki tego snu-życia człowiek pozna dopiero „gdy straszne uderzą pobudki“ i „trąba anielska“ powoła na sąd ostateczny, na który poeta, przybierając ton kaznodziejski wzywa przedewszystkiém wszystkich „wielkich“ tego świata co „nad duszami i nad ciały“... berła mają albo pastorały.“

Tak zapatrując się na życie Potocki, za Horacym i rozwijającymi jego myśl poetami polskimi XVI i XVII wieku, szuka szczęścia prawdziwego w cichem, ustronném życiu i swe pragnienia wypowiada w pięknym, wymownym i poetycznym ustępie:

> „Mnie w odległém ustroniu splacheć méj ojczyzny
> Niechaj zmarsku i późnéj domieści siwizny;
> Niechaj żywszy dalekim świata tego burze
> Na tém tylko przestając co dosyć naturze,
> Lubym wczasem bez potu, bez pracy okryty
> Swobodnych dni i wieku tutecznego syty
> Płynę do kresu, gdzie się kończą lata człecze!
> Niech mnie z nich wyprowadzi śmierć, a nie wywlecze
> Starego ziemianina co ma dosyć na tém
> Że się sam zna z obłudnym choć się nie zna światem,
> Który dosyć wysoko swą fortunę ceni
> Gdy ani upaść może ani się odmieni;
> Cnotą zaś, co i w grobie nie boi się straty,
> Wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty!

W wyznaniu tém widzieć należy nie tyle samochwalstwo ale naiwną szczerość poety wypowiadającego bez wahania własne myśli. Dokonawszy obrachunku ze swém sumieniem i nie czując się winnym tych ciężkich wykroczeń przeciw moralności, jakie dokoła siebie widział zarówno śród magnatów i dostojników jak i w średniéj szlachcie, nie dostrzegłszy w sobie żadnéj z tych namiętności, które wiodą człowieka ku upadkowi i bolesnym zawodom, uczuł się wyższym nad tłum niewolników żądz swych i kaprysów fortuny, nad liczny zastęp skalanych brudnémi i występnémi czynami a mimo to zajmujących wysokie godności i ztąd śmiało twierdzi, iż cnotą swą tj. wiernem spełnieniem obowiązków i hamowaniem żądz „wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty.“

O ile pod względem moralnym góruje istotnie Potocki nad ówczesném ziemiaństwem miłością dla wyższych celów życia i podniosłém pojmowaniem obowiązków człowieka i obywatela, o tyle znowu stopniem swego umysłowego wykształcenia jest wiernym synem pogrążonéj w ciemnocie epoki.

W czasie pobytu w szkołach krakowskich zaznajamiał się on z tém co dla ówczesnego szlachcica było najpotrzebniejszém, co jednało mu poklask na sejmiku proszowskim i poważanie w stosunkach sąsiedzkich; a więc z pisarzami klasycznymi których utwory objaśniały mu życie i instytucye polityczne świata starożytnego, a co najważniejsza dostarczały wzorów wymowy i zasobu obrazów, porównań, faktów, sentencyj potrzebnych jako argumenta i ozdoby dla każdego utworu literackiego, przemówienia publicznego, nawet listu prywatnego i poufnéj pogawędki przy kielichu (1).

Odpowiednio do potrzeb słuchaczów i własnych pojęć o przedmiocie profesor ówczesny w wykładzie autorów starożytnych, zwracał uwagę gównie na retoryczne piękności sentencyi i zwrotów, uwydatniając je nie krytycznym rozbiorem ale ogólnikami wygłaszanémi z nadętą deklamacyą; zastanawiał się nad cudownością przygód i czynów bohaterów i bogów, objaśniał szczegóły mitologiczne i figury retoryczne z pomocą dawnych komentatorów, nieośmielając się własnéj wytworzyć opinii. Sam dźwięk uroczyście wygłaszanych słów, powaga języka któremu kościół nadał znamię świętości niemal, poważny strój nauczyciela, mrok panujący w słabo oświetlonych, sklepionych izbach szkolnych, wszystko to oddziaływać musiało na

(1) „Szlachcic byle się sprzedać po łacinie nie dał; byle rozumiał w kościele i grodzie (krzywda cudzym językiem w swym mówić narodzie), byle umiał Tacyta zażyć z Cyceronem a Seneki do tego, dosyć jest uczonym“ (str. 70) powiada sam poeta oznaczając stopień swych wymagań.

młodą wyobraźnię i odwracało uwagę słuchaczów od myśli zawartych w wykładanym autorze, odurzając ich do pewnego stopnia i budząc uczucie religijnéj czci dla tego świata starożytnego, w którym ukazywano im wzór niedoścignionéj doskonałości w zakresie życia politycznego i świeckiéj mądrości. Kazania, z jakiémi dotąd jeszcze można się spotykać po niektórych wiejskich kościołach, przechowały nam dalekie echo formy a po części i metody tych wykładów szkolnych w wieku XVII. Jestto ten sam ton patetyczny utrzymujący się od początku do końca bez względu na treść, to samo popisywanie się z erudycyą nieusprawiedliwioną wymaganiami samego wykładu, to ciągłe odchodzenie od przedmiotu dla przytoczenia jakiejś wyszukanéj anegdoty lub szumnéj sentencyi, to samo prawdopodobnie dodawanie znaczenia swym słowom przez wygłaszanie ich z przesadną krzykliwą deklamacyą. To jednak co nas dziś śmieszy i wydaje się niedorzeczném, w ówczesnych słuchaczach budziło przyjemne wrażenie a może nawet podziw i zachwyt, względnie naturalnie, dla znacznie mniejszego stopnia wrażliwości ówczesnego pokolenia lubującego się przedewszystkiém w „akcencie wspaniałym" i donośnym głosie mówcy (1). Prawda naturalnie ulatniała się tu zupełnie, gdyż ani patetyczność nie wypływała z serca mówcy, ani podniosłość tonu nie opierała się na podniosłości wygłaszanych myśli. Czyż i dziś jeszcze dla mas ludowych, hałaśliwa fanfara muzyki wojskowéj nie wydaje się wielekroć piękniejszą od symfonii Beethovena z całem bogactwem jéj harmonicznych i instrumentalnych kombinacyj, odtwarzających tak subtelnie pomysły mistrza? Rzecz naturalna, iż uczeń biorąc miarę z wrażenia, jakie na nim i kolegach sprawiał wykład nauczyciela (mam tu na myśli przedewszystkiém wykłady w akademii krakowskiéj) starał się zawsze myśli swoje wyrażać, na piśmie mianowicie, w takiéj formie, dobierać dla nich takich wyrazów, obrazów i porównań, jakie najlepiéj nadawały się do podobnego wygłaszania.

Treść tych wykładów zapełniała umysł ale go nie zbogacała, nie rozwijała wcale, obciążała pamięć ale nieuzdolniała do myślenia i sądzenia samoistnego. Nie wytwarzała ona w umyśle słuchacza choćby najuboższéj grupy pojęć powiązanych z sobą w pewną organiczną całość, mogącą ulegać dalszemu rozwojowi i przekształceniom drogą przyswajania nowych idei. Przedewszystkiém wykłady te nie dopuszczały do świadomości ucznia tego wszystkiego co dokonała ludzkość od końca epoki starożytnéj zarówno w życiu dziejowem jak w sztuce, literaturze i nauce. Młodzieniec, który czyto słuchając prawa czy medycyny, matematyki czy gramatyki, astronomii czy reto-

(1) *Wojna Chocimska* 346 str.

ryki spotykał ciągłe powoływanie się na greckich i rzymskich mistrzów, których prawidła, określenia i rozwiązania przedstawiano jako ostatnie słowo nauki i prawdy niewzruszone, uważał się za dosyć uczonego gdy sobie przyswoił tę mądrość starożytną i nie przyszło mu na myśl nawet, by można było wątpić o nieomylności starożytnych lub własném badaniem posunąć naprzód wiedzę, odkryć nieznane prawdy. Jeżeli próbował zastanawiać się samodzielnie nad treścią własnéj wiedzy, to dochodził bardzo logicznie zresztą do téj dziwacznéj filozofii dziejów, jakiéj próbkę podaje nam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiéj“. „Rzecz podziwienia godna, powiada on, że jako w cnocie tak i w dowcipie pierwsze one wieki siła mają przed nami. Za cóż teraz pisma nasze, kazania, oracye, listy nawet stoją bez dawnych autorów, których jeśli nie wszystkich inszémi słowy, tedy wielką część w uczonych recytujemy sentencyach... Wiek nasz i eksperyencya starszym będąc dwiema tysięcy lat a *dies diem docet* siła ma przed wczorajszym i nową niebieską nauką wsparty miał *utroque excellere* (w obu przodować)... ale za nim w obojgu mydło wozimy.“ Wyszukując następnie przyczyn tego zjawiska dochodzi do przekonania, iż prawdopodobnie sześć tysięcy lat ma stać „budowa tego świata“ mianowicie dwa tysiące rość aż do czasów Abrahamowych i podania zakonu Bożego; dwa tysiące w perfekcyi i sile aż do narodzenia Zbawiciela naszego; dwa tysiące do starości i końca swego.“

Nic więc dziwnego iż „lata nasze wszystkie, duchowne porzuciwszy ćwiczenia w nauce i cnocie, świat ten przyrodzonym biegiem ziębnący i już dogorywający, zbytkami i rozpustami... budzą“...

Treść jednak téj najwyższéj mądrości starożytnego świata nie przedstawiała prawie żadnego związku z praktycznemi potrzebami, dążeniami i uczuciami ówczesnego życia. Był to prawdziwy „kwiatek przy kożuchu,“ sprzęt zbytkowny, z którym nie umiały się obchodzić prostacze stosunkowo umysły. Ztąd głębsze zastanowienie się prowadziło je do przekonania, że cała mądrość ludzka to „sen i nocne brednie,“ że zbyteczne wysilenie umysłu, że uczoność Greków i Rzymian doprowadziła do upadku te ludy, że podobnież przejęte od starożytnych mądrość a od Włochów polerowność sprowadziły na Rzeczpospolitą szereg klęsk, które omal że jéj nie zgubiły (Twardowski) że więc jedynie wiara, jedynie nauka kościoła podaje nam prawdy i niewzruszone i pożyteczne bo zapewniające żywot wieczny, w obec którego cóż warta mizerna egzystencya na dogorywającym już świecie. Lekceważy więc Potocki naukę i zabiegi mędrków, którzy „co głowa to inaczéj piszą“ a między innémi takie niedorzeczności „że ziemię jak pieczenią obrócą na rożnie, słońce w mecie po-

sadzą"; sam przecie nie może pojąć, jakim sposobem „antypodzi, naród człeczy, piętami w nasze pięty godzi, oni nam my się im téż dziwujemy wzajem, że w niebo nie przepadną, gdy od ziemie wiszą?" (str. 317).

Jeden przecie z najszkodliwszych wyników ciemnoty umysłowéj, w jakiéj ze swym przedstawicielem Potockim pogrążony był cały stan szlachecki, stanowiło ogólne przeświadczenie o doskonałości politycznego ustroju Rzeczypospolitéj, wskutek któréj wszystkie ludy z zawiścią patrzą na polską wolność i nie mogąc jéj posiadać, radeby ją zniszczyć. Choć współczesny Starowolski i garstka światlejszych umysłów, znających koleje rozwoju dziejowego i warunki bytu politycznego państw zachodnich, pojmowała całą szkodliwość téj wolności, niedającéj przecie ani bezpieczeństwa ani należytego wymiaru sprawiedliwości, jakim cieszyli się przecie poddani wschodnich sułtanów i despotów, (1) jednakże dla upartych w swéj ciemnocie i dumnych w fałszywém pojęciu ludzkiéj godności, wolność ta a raczéj samowola stanowiła znamię wyższości narodu polskiego i jako najdroższy klejnot musiała być zazdrośnie strzeżoną i rozpaczliwie bronioną przed wszelkiémi zamachami. Jeżeli inne państwa europejskie odmawiają Rzeczypospolitéj pomocy przeciw Turkom, czynią to dla tego, jak mniema Potocki, iż „wolność nasza im w oczu solą", że pragnęliby" po polskiéj wolności deptać grobie." Rozumniejsi i zacniejsi z pomiędzy szlachty czuli i pojmowali jednak, że tylko cnota i dzielność rycerska czynią człowieka godnym posiadania tego klejnotu, że trzeba „zwyciężyć siebie" i pełnić sumiennie obowiązki człowieka i obywatela, by zasłużyć na miano szlachcica i korzystać ze złotéj wolności, ztąd to wszyscy poeci, kaznodzieje, publicyści pracują nad poprawą obyczajów, szukając w umoralnieniu obywateli nie zaś w przekształceniu ustroju politycznego, ratunku dla upadającéj Rzeczypospolitéj.

Lekceważenie rozumu i wzgarda dla rezultatów jego usiłowań, choć prowadzi szlacheckie umysły ku mistycyzmowi i dewocyi, ma przecie swe źródło nie w niewolniczéj uległości dla dogmatu i hierarchii kościelnéj, lecz głównie w przewadze kierunku praktycznego nad spekulacyjnémi zaciekaniami. Nie widząc możności zużytkowania, tak w prywatnych stosunkach jak w publicznéj działalności, treści udzielonéj im w szkołach filozofii i nauki, nie rozumiejąc piękna stanowiącego duszę sztuki, cenili oni to tylko, co miało związek praktyczny z interesami życia doczesnego i zagrobowego. Doskonalić

---

(1) Starowolski: *Reformacya Obyczajów.*

się w wymowie, obznajmiać z prawem i sprawami publicznemi, wreszcie ścisłém i żarliwém wypełnianiem praktyk i przepisów religijnych zapewnić sobie zbawienie—oto najważniejsze zadania i cele duchowego życia szlachcica polskiego. Nie znał on cierpień sercowych, nie znał walk i burz odbywających się w duszy dzieci XIX stulecia, nie potrzebował szukać w sztuce balsamu gojącego rany wywołane wewnętrzną rozterką i silnie odczuwanémi wrażeniami otaczającego nas świata Natura nie odsłoniła mu swych tajemnic, nie nęciła urokiem wiecznotrwałéj młodości i piękności, nie zdumiewała i nie pobudzała do myślenia cudowną prawidłowością i harmonią zjawisk. Poezya pociągała go jedynie swą realną treścią, historyczną osnową, obyczajowémi obrazami i retoryczną siłą wysłowienia. Szukano w niéj nie ideałów lecz faktów, nie uczuć lecz praktycznych rad i wskazówek, nie piękna lecz prawdy—dziejowéj i obyczajowéj. Poeci ówcześni stosują się naturalnie do pojęć i upodobań, które sami także podzielają, inaczéj bowiem ich utwory, ani zrozumiane ani ocenione pozostałyby bez żadnego wpływu na społeczeństwo.

IX.

Przedstawiając czytelnikowi wewnętrzny układ „Wojny Chocimskiéj", wykazując związki zachodzące pomiędzy pojedynczémi ustępami poematu a interesami, pojęciami i stanem moralnym ówczesnego społeczeństwa, uwydatniając charakterystyczne właściwości tego utworu, zaznaczałem jednocześnie wybitniejsze znamiona saméj jego formy, w któréj Potocki był nietyle tłómaczem wymagań i upodobań swéj epoki, ile doskonałym a bezwiednym stenografem—że tak powiem - chwytającym i utrwalającym dla potomności mowę życia powszedniego, język towarzyski, obozowy, myśliwski. Rozmiłowany w ideach i ideałach nie mających nic wspólnego ze światem starożytnym, poeta, mimo wyniesionéj ze szkół czci dla niego, nie zważa na jego wzory i przepisy, a w życiu codziennem w zajęciach, rozrywkach, pojęciach, ulubionych zwrotach i przysłowiach ziemianina polskiego czerpie materyały do wytworzenia formy niezdarnéj prawda, nienadającéj się do wyrażenia podniosłych uczuć i idei lecz nowéj, narodowéj i przy całéj nieudolności właściwszéj dla wybranego przedmiotu, niż pożyczone od Rzymian lub Greków szaty. Język, którym posługiwał się Potocki, już przestał być ludowym, stracił pierwotną obrazowość, barwność i poezyą, a nie dosięgnął jeszcze gięt-

kości i podniosłości języka wyższéj kultury; była to mowa życia na pół ucywilizowanego, interesów materyalnych przedewszystkiém, język spraw sądowych, dysput politycznych, religijnych, zajęć rolniczych, życia obozowego i sejmikowego. Pierwotna poezya przyrody zaginęła bezpowrotnie, nowa poezya serca i ducha przyjść miała znacznie późniéj dopiero. Jako płod epoki przejściowéj poezya ówczesna nie ma ani swéj właściwéj, odrębnéj treści ani téż nie znajduje materyałów dla wytworzenia narodowéj oryginalnéj formy. Gdy poeta ówczesny przestaje kopiować wiernie wzory starożytne lub włoskie wtedy wykazuje całe swe artystyczne niemowlęctwo, w owładnięciu i zużytkowaniu materyału. Układ „Wojny Chocimskiéj" ustosunkowanie podrzędnych szczegółów do głównéj rzeczy, przyczepienie wtrąconych licznie epizodów do właściwéj treści, przypomina nieudolne dziecięce rysunki, w których człowiek bywa wyższym od domu, przy którym stoi, a dym z komina pod nos mu podchodzi, w których wszystkie przedmioty mieszczą się na jednym planie a wymiary ich i ugrupowanie nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, lecz są wyrazem samowolnéj fantazyi rysownika znajdującego właśnie przyjemność w swobodnym rozmachu swego ołówka. Potocki i w tém jeszcze przypomina takiego młodego rysownika, iż z początku trzyma się wzorów, które zamierza starannie naśladować, lecz wkrótce zniecierpliwiony nie mogąc znosić przymusu, odrzuca wzory i puszcza wodze swemu pióru. Całe szczęście że idea przewodnia, któréj nigdy nie traci z oka, miarkuje te zapędy i nie pozwala zbyt daleko odbiegać od rzeczy. Dzisiejszy czytelnik zyskuje wprawdzie na tych zboczeniach, znajdując w poemacie to, czego się nigdy nie spodziewał tam napotkać, a mianowicie wierne i barwne obrazy obyczajów, epoki nie tyle téj, którą opisuje, ile téj, w któréj pisze, a przytém, obok zapowiedzianéj na tytule parafrazy wierszowanéj „Pamiętników" Sobieskiego, bogatą anegdotyczną kronikę wyprawy chocimskiéj z ustnych czerpaną tradycyi i ciekawe odbicie reformatorskich dążeń ówczesnéj szlachty małopolskiéj.

Ze względu na formę niepodobna podciągnąć „Wojny Chocimskiéj" pod żaden ze znanych w literaturze rodzajów. W ramach poważnego religijno-rycerskiego poematu mieści się olbrzymich rozmiarów gawęda przeplatana satyrycznemi obrazami, filozoficznemi rozumowaniami, panegirykami, kazaniami, mowami i modlitwami,—gawęda wznosząca się chwilami do podniosłości epopei a zniżająca często bardzo do trywialności anegdoty, facecyi. Usuńmy na chwilę podniosłe ideały ozłacające swym blaskiem oblicze osiwiałego poety, a stanie przed nami Jowialski upatrujący we wszystkiém sposobno-

ści do śmiechu, okazyi do wygłoszenia anegdoty lub przysłowia. Czytelnik, którego uczucie rozbudził i nastroił uroczyście poeta, w którego sercu rozniecił zapał dla wielkich celów—wybucha naraz śmiechem wywołanym przez rubaszny żart i zapał jego i podniosły nastrój ducha znika odrazu.

Nietylko to ciągłe przechodzenie „z hymnu do prostéj powieści," ale ta co krok napotykana dysharmonia między pojęciami i uczuciami poety, a powszednią, jowialną, realistyczną formą w jaką je przyobleka, zniechęca dzisiejszego czytelnika, rażąc jego estetyczne wymagania i nawyknienia.

Ulubioném źródłem porównań Potockiego jest życie podwórzowe i kuchnia folwarczna. Zniechęceni brakiem żywności, żołnierze mają miny takie jakby im „psi zjedli krupy;" gdy turcy dobrą otrzymali naukę, stali się ostrożni „jak pies bity, co drugi raz nie pójdzie do kuchni, choćby nań wołać: ciu, ciu," to znowu: „pies psa kąsa a iszcze." Osman po przegranéj wraca „pod się z chwostem." Kandydaci do opieki nad rzecząpospolitą w czasie bezkrólewia po abdykacyi Jana Kazimierza cisną się jak psy do kości. „Każdemu psu kość luba, każdemu łakoma, tym się kąskiem będzie-li chciał szczeknąć udławi." Kozacy znowu tak nawykli do nocnych napaści na obóz turecki, „jak gdy komu przez tajemne dziury kotowie się w mięso wnęcą albo tchórze w kury."

Muzyka turecka podobną jest do głosów „świń zamkniętych," król cudzoziemiec to „kaczka wodząca kurczęta," Polak wobec nieprzyjaźni sąsiadów musi spać czujnie „jak kur na grzędzie." Kule w czasie boju sypią się jak „groch z woru," wielkie czyny człowieka to „świece," których „knot z cnoty." Gdy człowiek z tych czynów daje Bogu „prezent," on mu nawzajem „z wierzchem łaskę swą sypie." Kłopotliwe położenie, to „rosół." Malując swą boleść po stracie ukochanego syna przyrównywa swe serce do kotła, cierpienie do ognia, pod którego działaniem łzy jako „likwor gotujący się w kotle, kipią przez oczy" i „mózg przeniknąwszy parą," znowu wracają „z pluskiem" do serca.

Jedyny sposób zaradzenia cierpieniom polega na tém, by jak to czyni „mądra kucharka" ująć likworu „warzęchą do poblizkiego garka.... jest i sposób iny przez szumowiny." Naśladując więc postępowanie swéj kuchmistrzyni „żeby się żałość na kupie nie gniotła," postanawia „ująć jéj z kotła i rozmazawszy piórkiem po papierze tym, którzy mu jéj dopomogą szczerze użyczyć" (*Peryody*, II, 389). Ten ostatni przykład, choć nie z „Wojny Chocimskiéj" wyjęty, dosadnie charakteryzuje jeden z najważniejszych niedostatków ówcze-

snéj poezyi szlacheckiéj, wynikający z braku wyrazów na oznaczenie stanów duchowych i pojęć oderwanych (1).

To ubóstwo języka, przy wykształceniu szkolném na łacinie opartém, wprowadziło do mowy i pisma mnogość łacińskich frazesów i cudzoziemskich wyrazów, cechującą tak zwany styl makaroniczny. Nizki stopień rozwinięcia umysłowego, lenistwo myśli podtrzymujące dotąd w naszém społeczeństwie francuszczyznę, któréj gotowe frazesy pokrywają nieudolność umysłową mówiącego, były również głównym powodem posługiwania się łacińskiemi zwrotami, włoskiemi i francuzkiemi i tatarskiemi nawet słowami, zamiast naginania własnéj mowy i urabiania z jéj pierwiastków nowych wyrazów za przykładem pisarzów wieku XVI. Choć utwory poetów wieku XVII są stosunkowo bez porównania mniéj zanieczyszczone makaronizmami niż dzieła prozą pisane, mimo to nie brak ich w poematach Twardowskiego, Kochowskiego i Potockiego. W „Wojnie Chocimskiéj“ na każdéj stronie spotykamy takie wyrazy jak: speza, reza, impreza, fant, randewu, fuga i t. p.; obszerny słowniczek zamieszczony przy końcu pierwszego wydania, a znacznie powiększony przy drugim, daje o tém wymowne świadectwo. Nie tyle ubóstwo języka ile nizki stopień wykształcenia i nieznajomość dobrych wzorów, są powodem rażącego nas niedołęstwa w malowaniu uczuć ludzkich. Osman np. „z jadu puka i omdlewa i naturę łamie w sobie tyran

---

(1) Źródłem, z którego Potocki czerpał wiele obrazów, porównań i wogóle poetycznych ozdób swéj opowieści jest „Jerozolima wyzwolona,“ nie w oryginale jednakże lecz w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Trzy wydania, których doczekał się przekład ten w ciągu XVII wieku świadczą, jak sam poemat przypadał do upodobań i pojęć ówczesnych polskich czytelników. Bliższe rozpatrzenie się w utworach Twardowskiego, Kochowskiego i Potockiego przekonywa, iż zarówno obrazy i postacie skreślone przez włoskiego mistrza, jako też i z polska przykrojona szata, w jaką je przyodział tłómacz, wywarły ogromny wpływ na poetów wieku XVII-go i na rycersko-religijny i sielankowo-romantyczny kierunek ich twórczości. Przedstawienie całéj rozległości i donosłości tego wpływu może być podjętém w osobnéj jedynie pracy, tu poprzestać muszę na zaznaczeniu samego faktu i poparciu go kilku przykładami. Nietylko pomysł zesłania Michała Archanioła na pomoc polskiemu rycerstwu wskutek modlitwy Lubomirskiego, która „niebo przebodła“ i obraz ów żalu po stracie syna nurtującego serce, jak ukrop gotujący się w garnku, są żywcem wzięte z „Jerozolimy“ (Pieśń XII, strof. 74 i IX, str. 58 i następne), ale charakterystyka wojsk tureckich, opisy przygotowań do każdéj ważniejszéj bitwy, przemowy wodzów, szykowanie wojsk, sama walka wreszcie, są mniéj lub więcéj wiernemi kopiami odpowiednich ustępów z poematu Tassa. Ostatnia pieśń Jerozolimy, a mianowicie obszerny opis bitwy z Solimanem, stanowiła dla Potockiego wzór nietylko naśladowany ale często dosłownie przezeń kopiowany.

zgryźny" (217). Chodkiewicz znowu „zbyć nie może z serca swego zgagi" (219). W drugiem miejscu Osman będąc świadkiem sromotnéj ucieczki swych wojsk, „w różne się przetwarzając kształty i figury, prosi, żebrze, przysięga" (237). Po innéj znowu porażce „trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlipał, a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał" (268).

Rzecz naturalna, iż niepodobna nam wymagać od Potockiego tych ozdób i efektów poetycznych, jakich dostarczyć winien trafny wybór epitetów, stopniowanie w opisach uczuć czy akcyi odpowiadające ich naturalnemu rozwojowi; spajanie organiczne pojedynczych epizodów z główną treścią, pomijanie mniéj ważnych lub wstrętnych szczegółów a uwydatnienie głównych momentów, wybitnych postaci, kontrasty osiągane przez umiejętne rozłożenie świateł i cieni i t. p., elementarne środki artystycznego tworzenia. Raz tylko jeden pozwala sobie Potocki przyozdobić swą opowieść zmyślonym szczegółem, lecz jednocześnie niszczy cały efekt swego pomysłu, ostrzegając z góry czytelnika, że „przerywa rzecz fabułą." Zmyśleniem tym jest sen, który jeden z wróżków tureckich opowiada Osmanowi („który choć mu lada co i psie prawi g.... wierzy jak aniołowi"). Treścią jego jest ciężka alegorya z jakiegoś sennika czy kalendarza ówczesnego zaczerpnięta. Drzewo, które widział we śnie Osman, miało oznaczać Dniestr, ponieważ zamiast ptaków „ryby się na nim lęgły oczywiście,"—„orzeł srogi," kóry przyleciał z zachodu i gniazdo na tém drzewie założył, to Polak. Tymczasem na niebie pojawia się „księżyc bez gwiazdy" i „w zielonéj sferze stanął nad onemi gniazdy, z którego zimna rosa tak rzęsisto leci, że i orła i jego potopiła dzieci." Wreszcie z drzewa wyrosło „grono jagód rumianych," które Osman zerwawszy „w ciasnéj prasy fugi, wrzucił i wycisnął krwie purpurowéj strugi" (str. 209). Niemożna na usprawiedliwienie tego niedorzecznego pomysłu uważać go za dodatek późniejszy w starości uczyniony, gdyż łączy się ona ściśle z poprzedzającym go i następującym po nim wstępem, a przytém słowa „księżyc bez gwiazdy," świadczą, iż pisząc to, miał na myśli świeżo obranego królem Wiśniowieckiego, w którego herbie był księżyc z gwiazdą.

Z rymowaniem, które z dziwną łatwością mu przychodzi, niewiele sobie robi zachodu Potocki, gdy mu brakuje końcówki, przestawia najdowolniéj wyrazy w zdaniu („który swoim do tego rozumem honoru") umieszcza w końcu wiersza cudzoziemskie wyrazy (spezy-imprezy fanty-elefanty, impetu-dekretu, kauzy-cekhauzy, gustem-inkaustem, bruder-pluder, echem-cechem, legarty-warty), nie waha się użyć niestosownego całkiem słowa (wojsk niebieskich *zgra-*

je i psie prawi g..... dla rymu do „nierówno“ — Chodkiewicz, z którego każdy niechaj bierze *wzorki*); wreszcie wstawia w końcu wiersza zupełnie zbyteczne w zdaniu wyrazy: (Nieszczęśliwa zaprawdę kondycya *i tu*, nie mieć u nieprzyjaciół i u swych kredytu — Na którego liście, ryby się lęgły *oczywiście*). Rzecz naturalna, że tak zwane częstochowskie rymy co wiersz napotykamy.

Ta nieudolność formy, obfitość przysłów i porównań z życia powszedniego branych, zbliża niezmiernie „Wojnę Chocimską“ do utworów poezyi ludowéj. Podobieństwo to występuje wybitniéj jeszcze w „Nowym zaciągu,“ przedstawiającym mękę Chrystusa z punktu widzenia naszego ludu, w obrazach przypominających zupełnie niedołężne malowidła zdobiące ołtarze wiejskich kościołków, i ściany chat wieśniaczych, tudzież i naiwny realizm kantyczek ludowych.

Jak szlachta ówczesna była jeszcze na pół ludem i na pół narodem, tak i wytworzona przez nią literatura nosić musiała znamiona ludowéj i narodowéj w części poezyi.

„Gdy w rycerskléj dłoni
Zajuszona w tatarskléj krwi szabla zadzwoni,
Lecą łby jak kapusta, szyje jako głąbie,
Pole jako purpura, ten kole ów rąbie.“

Obraz ten z „Nowego Merkuryusza“ wyjęty, charakteryzuje wybornie dwoistość szlacheckiego charakteru, łączącego dzielność rycerską z kmiecym prostactwem, dwoistość występującą w każdym niemal ustępie „Wojny Chocimskiéj.“ Na czemże więc polega ta wiecznotrwała piękność, która przy całéj nieudolności układu, niezdarnéj charakterystyce postaci, niedołężnym rysunku i jaskrawych barwach obrazów, przy całém niewyrobieniu stylu i zaniedbaném wierszowaniu—prześwieca jednak z takim blaskiem z tylu miejsc „Wojny Chocimskiéj?“

Piękno zjawia się zawsze tam, gdzie myśli i obrazy płyną bezpośrednio z ducha zostającego na tym stopniu podniesienia, przy którym drobiazgi życia powszedniego, nasze materyalne interesa i samolubne cele przestają dla nas istnieć, pod wpływem oddania się pewnéj idei i pogrążenia w pewném idealném uczuciu. Wprawdzie techniczne uzdolnienie jest koniecznėm dla nadania téj treści naszego ducha odpowiednich form, dla uzmysłowienia piękna i podzielenia się rozkoszą tego stanu natchnienia z drugimi, jednakże najdoskonalsza nawet forma nigdy nie odtworzy w całéj pełni piękna duchowego, a będzie tylko do pewnego stopnia jego znakiem, symbolem, zmieniającym się w różnych epokach i u różnych plemion,

coraz doskonalszym i wierniejszym niezawodnie, ale zawsze nieskończenie dalekim od wzrastającéj w potęgę i bogactwo myśli, w subtelność i szerokość uczucia treści ludzkiego ducha.

Otóż choć idee i uczucia poety nie znajdą odpowiedniéj dla siebie formy i przywdzieją niezdarnie skrajane i pozszywane szaty, nie tracą mimo to swéj podniosłości i piękności, i choć tłumy przekładać zawsze będą zgrabny i lśniący strój i rozkoszować się jego wdziękami, choćby pod nim znajdował się bezduszny tylko manekin, to dla głębszych umysłów duchowe piękno stanowić będzie zawsze źródło najwyższéj rozkoszy, a żebraczy płaszcz nie zasłoni przed nimi majestatu wielkiéj idei.

Na tém zasadza się cała piękność „Wojny Chocimskiéj.“ Gorące uczucie i myśli podniosłe nadają saméj formie nawet miejscami to uroczystą powagę, to wdzięk ujmujący, to znowu rycerski animusz lub satyryczną werwę. Idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnéj prostoty obyczajów piastowskiéj epoki, choć błędna, przedstawia przecie ścisłe pokrewieństwo z ideą odrodzenia społeczeństwa przez powrót do stanu natury, odgrywającą tak ważną rolę w życiu umysłowém i literaturze XVIII stulecia. Ideał rycerza obywatela broniącego krwią własną ojczyzny i cywilizacyi europejskiéj przed najazdem dziczy wschodniéj, świadczy o podniosłém pojmowaniu narodu jako całości żywéj, mającéj swe posłannictwo cywilizacyjne i obowiązanéj do jego spełniania pod groźbą utraty swego znaczenia i bytu. Wreszcie idea Opatrzności czuwającéj nad losami narodów i jednostek, służącéj za nieprzeparty puklerz tym, co idą wskazanemi przez nią drogami, a karcącéj bez miłosierdzia pysznych zbrodniarzy, gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości stanowi u Potockiego kamień węgielny jego poglądu na świat i życie, jego prostéj lecz podniosłéj historyozofii. Cały poemat jest tylko bogatą i różnobarwną illustracyą powyższych idei przypominającą, stosunkiem nieudolnéj lub sztywnéj formy do wspaniałéj treści, obrazy natchnionych mistrzów włoskich z przed rafaelowskiéj epoki.

To podniosłe stanowisko pozwoliło Potockiemu dojrzeć zarówno nędzę moralną, kryjącą się pod przepychem życia ówczesnych panów, butą i hałaśliwym patryotyzmem średniéj szlachty, jak i cierpienia milczącego choć odzieranego do koszuli prawie wieśniaka, umożebniło pogodzenie żarliwéj pobożności z nienależnym a niekorzystnym sądem o współczesném duchowieństwie, i patryotycznych uczuć z uwielbieniem dla męstwa kozaków, od których świeżo tak wiele ucierpiała Rzeczpospolita.

Jak naszéj sympatyi dla dzielnéj i szlachetnéj postaci cześnika z „Zemsty“ nie zmniejsza jego nieudolność w wypowiedzeniu swych uczuć, gdy nie mogąc znaleść właściwych słów, powtarza tylko swe „mocium panie,“ tak samo wykazane powyżéj liczne wady formy, nie powinny osłabiać naszego uwielbienia dla autora „Wojny Chocimskiéj.“ Choć świat przyrody i świat ducha nie odsłoniły mu swych tajników, ale za to życie współczesne obserwował i malował tak żywo i prawdziwie, pragnienia i dążenia swych współbraci wypowiadał z taką siłą zapału i przekonania, że pod tym względem przewyższył wszystkich przedstawicieli życia i pojęć szlacheckich od Kochowskiego aż do Pola.

Bronisław Chlebowski.

Wspomnienie o Janie Wilhelmie Draperze.

Od pierwszéj wieści o zejściu ze świata słynnego amerykańskiego przyrodnika i historyka, którego dzieła tłómaczone wzbogaciły niewątpliwie naszą literaturę, czekaliśmy po dziś dzień cierpliwie, ażali które z poważnych pism polskich omówi obszerniéj życie i prace Drapera. Jakto? czyżby z wyjątkiem jednego krytyka, który podał trafną ocenę najsławniejszéj z tych prac, wydanéj niedawno w pięknym przekładzie dr. Karłowicza, nikt u nas nie chciał lub nie umiał więcéj o tak popularnym myślicielu powiedziéć, okrom stereotypowéj wzmianki, wyjętéj z jakiejś małéj encyklopedyi i powtórzonéj we wszystkich gazetach?

Nadzieja, żeby się coś więcéj w tym przedmiocie usłyszéć udało już słabnie. O autorze *Historyi sporu religii z nauką* milczenie głuche. Owoc pracy dr. Karłowicza może się cieszyć sporym zastępem czytelników, ale recenzentów nie pobudził bodaj do wydania wyroku potępiającego. Żeby przerwać to milczenie i obojętność podejmujemy pióro, chociaż zaklęci jak skarb Boruty w nędznym partykularzu nie posiadamy ksiąg i źródeł do pracy życiopisowéj, albo krytycznéj. Pamięć osobistéj znajomości będzie jedyną podstawą naszego wspomnienia pośmiertnego. Z niéj spróbujemy rzucić światełko na mniéj znaną stronę charakteru Jana Wilhelma Drapera, pozostawiając ciekawemu czytelnikowi poznanie go jako autora, w dziełach jego najważniejszych, spolszczonych na szczęście, a tak jasnych i przyjemnych do czytania, że są przystępne dla wszystkich.

Nasza znajomość osobista z Draperem datuje się od czerwca r. 1880, gdyśmy skutkiem listu dr. Karłowicza poprosili autora *Historyi sporu religii z nauką* o wysłuchanie z naszych ust, z jakiemi trudnościami tłómacz tego dzieła się łamał, żeby je wydać po polsku w formie zgodnéj z oryginałem. Dziekan medycznego fakultetu wszechni-

cy w New Yorku odpisał na prożbę powyższą, że stan jego zdrowia zabraniał mu jeździć powozem, więc nie mógłby nam służyć na przedmieściu Jersey City, gdzieśmy mieszkali, ale byłoby mu miło przyjąć nas każdego dnia w swoim domu wiejskim w Hastings upon Hudson, albo téż co wtorek w bibliotece gmachu uniwersyteckiego przy Washington square, dokąd podczas feryj letnich raz na tydzień się udawał, dla załatwienia spraw administracyjnych.

We wtorek po odebraniu téj odpowiedzi stawiliśmy się w wielkiej sali bibliotecznéj i zastaliśmy w niéj samotnego, maleńkiego i zawiędłego staruszka, którego ledwie było widać w ogromnym fotelu, w którym tonął. Żeby się podnieść z tego siedzenia i rękę nam podać—kosztowało go cokolwiek cierpienia fizycznego. Boleść tocząca jego wnętrze wciąż się na jego twarzy drganiem pomarszczonych rysów odbijała. Tylko duże, bystre oko zachowywało ogień i humoru iskierkę, jakiemi niegdyś opływał charakter uczonego starca. W tém oku dostrzegliśmy radość z naszego przybycia, a w tonie serdeczność i poufałość, rzadką przy pierwszém spotkaniu u anglika —czém dr. Draper był z urodzenia — zwłaszcza z cudzoziemcem. Ta serdeczność dziwiła nas z początku, ale sam gospodarz ją wytłómaczył temi słowy, że wypływała z miłego wrażenia, jakie utkwiło w jego umyśle po złożonéj mu w roku wystawy filadejfijskiéj wizycie przez dr. Karłowicza. W pierwszym tym polaku, jakiego w życiu spotkał—ciągnął daléj Draper - znalazł umysł i przekonania tak bardzo niepodobne do obrazu, jaki sobie stworzył o polskiém wstecznictwie z opowiadań tendencyjnych—iż rad przyjmował drugiego człowieka tegoż narodu, a pragnąłby spotkać bodaj najwięcéj takich ludzi, żeby się przekonać, czy tamten był jednym rarogiem w swoim rodzaju, albo czy téż wyobrażenia jego (Drapera) o ogóle naszych ziomków nie powinny by być zmienione. Całą tę spowiedź zabawnie szczerą wygłosił z właściwym sobie, chłodnym humorem, świdrując nas okiem, jakby chciał z miny słuchacza odgadnąć, do jakiéj szkoły i obozu należy.

Rozmowa nasza stała się wkrótce bardzo ożywioną. Staruszek zachwycał nas erudycyą, skromnością, darem badania ludzkich charakterów i odgadywania pobudek, dyktujących nasze słowa. Dodajmy do tych przymiotów grzeczność prawdziwie amerykańską i ciepłą sympatyą dla niższego, ale chciwego światła gościa, a każden łatwo zrozumie, jak przyjemnie upłynęła godzinka z mędrcem. Jego wesołość miała w sobie kroplę bohatérskiéj stałości, albowiem nie zapominajmy, że gdy próbował bawić pokornego cudzoziemca, cały czas cierpiał—że boleść zginała we dwoje jego postać wątłą i kurczyła twarz pergaminową. Raz tylko wspomniał o niéj. Spoglądając

przez wielkie okno gotyckie na zielony, cienisty, sielankowo spokojny plac przed gmachem wyraził żal głęboki, że niedługo, a będzie musiał przestać wykładać i badać. Śmiertelna choroba nérkowa zabijała go powoli. Nie wierzył zapewnieniom lekarzy, że go uratują. Będąc sam lekarzem obliczał ze ścisłością matematyczną, jak długo jeszcze się pociągnie walka między organizmem starym i zużytym, a śmiertelną chorobą. Czas przed nim był krótki, a tyle jeszcze zostawało do wykonania! Tu oglądnął się ze słodką rezygnacyą po sali, pełnéj ksiąg i rozmaitych instrumentów tak porozkładanych, że łatwo się było domyśléć, że oczekując nas, pracował, a po naszém wyjściu pracować będzie. Z tego spojrzenia można było zgadnąć, iż przy całéj gotowości do opuszczenia téj widowni życia, dr. Draper pragnąłby pożyć jeszcze tak długo, aż spełni jakieś zadanie, sobie postawione. Późniéj dowiedzieliśmy się, że zupełne przekształcenie systemu nauczania w uniwersytecie nowojorskim było tém zadaniem.

Był on równie przyjemnym słuchaczem, jak gadułą. Nasze opowiadanie o tém przez jakie-to rogatki przeciskać się muszą tłómacze żeby polskie przekłady jego myśli nie poniosły uszczerbku, ubawiło go i zaciekawiło. Tak ono, jak list dr. Karłowicza przedstawiły mu w zupełnie nowém świetle stosunek wyrodzonego bizantynizmu do czystéj wiedzy,—bizantynizmu, o którym skutkiem błędnéj informacyi rzekł w swém ostatniem, sławném dziele, że tworzył chlubny wyjątek z tłumu prześladującego empiryczną naukę. Zastanowiwszy się dłużéj nad niezbitémi dowodami swego błędu rzekł w końcu energicznie, że jeśliby mu było pozwoloném dożyć jeszcze jednego wydania *Historyi sporu religii z nauką*, nie zapomniałby usunąć z niéj kilku ustępów, a dodać kilka.

I tak zbudował się pomost ściślejszéj znajomości pomiędzy skromnym polskim wędrowcem po amerykańskiéj ziemi, a sławnym profesorem amerykańskim. Powtarzając nasze odwiedziny przez kilka tygodni co wtorek, poiliśmy się często jego mądrością, która nie zapominając nigdy o abstrakcyach zawsze przecież, prawdziwie po anglosasku, miała na oku praktyczne zadania życia. Starzec np. wybierał z długiego swego doświadczenia najcenniejsze perły dobrych rad, dla młodszego zwolennika, aby mu oświecić ciernistą ścieżkę dziennikarskiéj pracy. I tak np. pamiętamy prawie dosłownie jego odpowiedź na uwagę o trudnościach takiego zawodu, w pewnych warunkach i okolicznościach:

Rozumiem powód pańskiéj zgryzliwości. Prawda, było by wygodniéj i bezpieczniéj człowiekowi z pewnémi przekonaniami pracować w pełnéj zabójczych wyziewów kopalni węgla angielskiego, niż w publicystyce, gdzie reputacya i byt zależą od sztuki ukrywania lub bardzo ostróżnego wyrażania myśli, do których ogół i za sto lat

nie dojrzeje. Stanowczo utyłby człek prędzéj przy warsztacie lub trzymając kram jakikolwiek, niż będąc dziennikarzem gdziekolwiek, gdzie ledwie cząstka inteligencyi swobodę myśli ścierpić umie. Wiem, że niejeden wolałby kamień młyński sobie u szyi powiesić i pójść prosto do rzeki i utopić się, niż znosić codzienną walkę między pokusą wypowiadania serdecznych przekonań, a koniecznością tłumienia ich w milczeniu, dla chleba. A jednakże to wszystko nie usprawiedliwiłoby zaprzańca, któryby wyrzekł się tego zawodu, gdy posiada odpowiedni talent i zamiłowanie w nim. Sumienny dziennikarz—to kaznodzieja cywilizacyi. Ostrożnie, pomału, kocią łapką, ukrywającą pazury nagina on do swych celów tak społeczność, jak każdą czytającą jednostkę. Pomyśl tylko coby za krzywda stała się światu, gdyby wszyscy reformatorowie uszli z pola znużeni i znudzeni walką, a zostali na niém jedynie wstecznicy?

W ogóle mówiąc miał on słabość do dziennikarzy, lubił otaczać się nimi, zagrzewać ich, zaznaczać drobnemi grzecznościami i usługami przychylność dla nich. Z początku podejrzywaliśmy, że czynił to dla zniewolenia sobie ludzi, którzy mogli mu kadzić w druku i pism jego rozgłos szerzyć. Gdyśmy się jednak przekonali, że nie robił różnicy między współpracownikiem „Heralda" z milionem czytelników, a pierwszego lepszego dzienniczka, nie rozchodzącego się po za rogatki lichéj mieściny—podejrzenie powyższe się rozwiało. Draper przyciągał do siebie dziennikarzy skutkiem całkowitego poświęcenia się misyonarstwu swych zasad religijno-filozoficznych. Żyjąc jedynie dla nich i dla ich krzewienia usiłował niewolić ludzi, których nazywał najlepszémi narzędziami do stworzenia szerokiego koła prozelitów.

Podczas owych wizyt wtorkowych zdarzył się wypadek rzucający promyk światła na brak taktu i mądrości w pewnych obozach. Wspomnieliśmy raz z niechcenia, że jedne pismo polskie umieściło przekład polemicznego artykułu z *Civiltà Cattolica*, przeciw dziełu słynnemu, nad którego tłómaczeniem dr. Karłowicz właśnie się mozolił. Draper tylko z trudnością nam dał wiarę. Nigdy nie słyszał o téj napaści w organie rzymskim—co nie dziw, gdyż ten omnibus scholastycznéj i duchownéj mądrości prawie nieznany w Ameryce. Jakto, pytał się, mogli byż się znaleźć ludzie tak bardzo nieostrożni, że zapominając dobre przysłowie o niebudzeniu śpiącego licha, podali tłómaczenie mdłéj filippiki przeciw książce, o któréj wydaniu w ich kraju nikomu się jeszcze wtenczas nie śniło? Przekonany w końcu o prawdzie tego faktu nieprawdopodobnego, jął szukać za rocznikiem dziennika, zawierającym oryginalną krytykę jego dzieła. Nie znalazłszy go w Stanach Zjednoczonych napisał do rzymskich przyja-

ciół, żeby go wyszukali i przysłali. Tymczasem dostaliśmy polski przekład z Warszawy, a dla zadowolenia niecierpliwego staruszka tłómaczyliśmy mu go ustnie. Draper słuchał cierpliwie. Żółć go nie gniewała, zarzuty niesprawiedliwe tylko bawiły. I tak uśmiechał się tylko, gdy mu krytyk zarzucał rzekomy brak znajomości łaciny, posunięty do niezrozumienia miernego języka i dziwnéj logiki Ojców, a poprzekręcania ustępów ze św. Augustyna. Otrzymawszy włoski oryginał wziął się skutkiem nalegań przyjaciół do napisania odpowiedzi. Ton przyjęty w niéj przez filozofa był grzeczniejszy i chłodniejszy od namiętnych zarzutów krytyka, głoszącego z zawodu miłość bliźniego. Wyjechawszy do Europy przed ukończeniem téj pracy dr. Drapera nie umiemy wymienić czasopisma, w którém ją umieścił, a szkoda, bo warto by wskazać własnoręczną obronę Drapera od zarzutów, które z powodu ogłoszenia przekładu dr. Karłowicza znów podobno jakieś pismo polskie pomimo ich wątpliwéj wartości powtórzyło.

W sierpniu wzmogła się choroba Drapera do tego stopnia, że zaprzestał przyjeżdżać do miasta. Odwiedzaliśmy go odtąd niekiedy w ślicznym domu wiejskim, położonym w jednèm z najpiękniejszych miejsc nad jedną z najpiękniejszych rzek świata. O wspaniałości tego domu i zamożności uczonego właściciela powiemy tylko tyle, że cesarz brazylijski Dom Pedro był gościem Drapera podczas swego pobytu w handlowéj stolicy Ameryki, chcąc być bliżéj swego przyjaciela i mistrza. Na werendzie swego pałacyku, z któréj można by rzucić kamyk do modrego, szumiącego Hudsonu, lubił schorzały starzec przyjmować gości, których nigdy nie było brak. W obcowaniu z nimi rozwijał rzadki dar dogodzenia wszystkim obecnym. Od prawnika, z którym układał z praktycznością biegłego w interesach kupca projekt ubezpieczenia dochodu z swéj spuścizny literackiéj dla spadkobierców, zwracał się do męża stanu, by omówić zajmującą wszystkich elekcyą prezydenta, a zaraz potém słuchał uważnie, co inny gość o naukowych, literackich, społecznych itp. opowiadał stosunkach w kraju dalekim—u nas i w ościennych narodach. O tych rzeczach nie wiedział wiele, często zdradzał mylne wyobrażenia, ale lubił słuchać, pragnął prawdy, zapytywał o tytuły poważnych książek, w których by mógł znaleźć potwierdzenie tak naszych słów, jak tłómaczonych sobie ustępów z listów dr. Karłowicza.

Tymczasem zdrowie jego podupadało coraz widoczniej. Pomimo dolegliwych cierpień przecież nigdy nie zapominał o wrzawie życia w świecie zdrowym, abstrakcyjnéj zadumie nieoddanym, a zmiennym losom niepewnéj elekcyi narodowéj przypatrywał się z natężoną uwagą, biorąc udział w walce według możności.

W polityce amerykańskiéj był Draper, jak większość tamtejszéj inteligencyi, zwolennikiem t. z. stronnictwa republikańskiego i polecał przyjaciołom kandydaturę Garfielda. To stało się powodem ściślejszych stosunków między nami, sięgających już po za granicę uczenia się i nauczania doktryn. Zdumiała go i ucieszyła wiadomość, że znaczna większość inteligentnych polaków tak w New Yorku jak w całym kraju łączyła się z republikanami, a wpływem swym przyciągała do tejże strony mniej inteligentnych rodaków, wywołując tym sposobem niezwykły w Ameryce widok żywiołu przeważnie katolickiego, a przecież oddającego swe kreski stronnictwu i kandydatom potępianym i wyklinanym z ambon irlandzkich. Zachwycony tą nowiną starał się zwrócić na nią uwagę prowodyrów swego stronnictwa. Pisał do wielu osób, ułatwił nam osobiste znoszenie się tak z centralnym komitetem republikańskim, jak z p. Arthurem, teraźniejszym prezydentem, a ówczesnym kierownikiem agitacyi wyborczéj w stolicy. Rada Drapera przyczyniła się głównie do postanowienia, ażeby wielkie stronnictwo amerykańskie przemówiło pierwszy raz do wyborców polskich w ich własnéj mowie, odezwami odbitemi w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. On także poparł wniosek, żeby wysłano do miejsc z liczniejszą polską ludnością mówców polaków, jak np. pana Kiolbassę z Chicago do Indyany, a autora niniejszych słów do Pensylwanii.

Przez cały czas naszéj kilkodniowéj wycieczki po mieścinach i koloniach węglodajnego kraju, w którym tysiące polskiego ludu pracuje, odbieraliśmy listy Drapera, zachęcające nas do gorliwości, lub wyrażające zadowolenie z każdego, bodaj najmniejszego powodzenia. Powróciwszy z téj podróży odwiedziliśmy go dopiero po dniu, w którym Garfield został wybrany, a przywitanie jakie nas spotkało, było tém cieplejsze i weselsze, im mniéj taki wypadek był spodziewany.

Teraz nadeszła zwyczajem amerykańskim pora, w któréj każden co przyłożył rękę do szczęśliwego wyniku wyborów, przedstawiał wybrańcowi narodu swój rachunek, mniéj może natarczywie, niż to czynił ohydny Giteau, ale niemniéj stanowczo. Ponieważ zaś mężowie stanu w owym kraju są zarówno skorzy do dawania przyrzeczeń i zapominania o nich, jak wszyscy polityczni intryganci w ogóle, więc téż okazała się potrzeba silnego orędzia, żeby przypominało możnym zrobioną nam, skromną obietnicę, iż dostaniemy w Castle Garden opiekuna, rozumiejącego język i potrzeby przybywających z pod berła pruskiego polskich prostaczków. Tym orędziem stał się Draper. Poznawszy przez nas kilku innych polaków podczas elekcyi i polubiwszy tak ich, jak narodowość naszą, porusza

on rozmaite sprężyny, celem zadość uczynienia gorącemu ich życzeniu. Nie zliczylibyśmy listów, jakiemi nas zaopatrzał do wpływowych osób. Najważniejszém z nich było pismo do jego przyjaciela, pana Cornell, gubernatora stanu New-York, w którym poświadczał, że liczba przybyszów polskiéj narodowości do Castle Garden wynosi rokrocznie przeszło 10,000 głów, że ci ludzie nie rozumieją zwykle żadnego języka krom własnego, a będąc poruczani opiece biura niemieckiego, istniejącego w tym głównym punkcie wysadzania przybyszów polskich na ląd amerykański, nietylko żadnéj pomocy w uzyskaniu zajęcia nie znajdują, ale nawet pogardę i obelgi cierpią.—Jeśliby—dodał—stronnictwo republikańskie, kierując się zdrową polityką, losem tych biedaków w pierwszych i najcięższych dniach ich pobytu w obcym kraju się zajęło, nietylko by spełniło godne swych humanitarnych zasad zadanie, ale by także powoli sobie jednało liczbą wzrastający żywioł narodowy, który dotychczas skutkiem uległości biskupom irlandzkim do demokratycznego stronnictwa bywał wciągany.

P. Cornell odpowiedział mu na to czarno na białém, że gdy sejm stanowy się zbierze na wiosnę, suma na utrzymanie pożądanego opiekuna potrzebna będzie wstawioną do budżetu.

Głucha wieść o tych wszystkich zabiegach nie pozwalała spać niektórym osobom ruchliwym, opartym o silne i energiczne plecy, a stawiającym sobie zadanie, żeby nieoświecone masy swego narodu w Stanach Zjednoczonych zmienić w zwarty, ofiarny i posłuszny zastęp polityki, zmierzającéj do owładnięcia rzeczypospolitéj, a mianowicie do przeobrażenia jéj czysto świeckiego systemu edukacyjnego na niezależne od państwa szkoły wyznaniowe. Nie szczędzili oni pracy, aby wymódz u osób wpływowych obietnicę, że wybór przyrzeczonego opiekuna im jedynie będzie poruczony. Gorliwość ta o zapewnienie sobie wysoko jeszcze w obłokach wiszącego daru miała swą stronę zabawną, ale także i mądrość węża, gdyż za pomocą swego wybrańca w Castle Garden, mogliby oni osiedlać zaraz na pierwszym kroku każdego przybysza, a po tym już nigdy go z oczu i z pod opieki nie wypuścić. Usłyszawszy o nich Draper zdobył się na dowód energii i przyjaźni, który się nigdy w naszéj pamięci nie zatrze. Pomimo cierpień jakie mu wszelki ruch sprawiał, spędził pół srogiego dnia styczniowego w mieście, żeby z ust decydujących odebrać zapewnienie, że wymienione żądanie nigdy nie będzie wysłuchane.

W tydzień późniéj pożegnaliśmy go, jak czas pokazał, na zawsze. Skutkiem naszego wyjazdu do Europy, ciężkiéj choroby Drapera i niedbalstwa osoby, któréj ukończenie szczęśliwie zaczętéj pra-

cy było poruczone, zniweczyły się wszystkie starania opisane powyżéj. Niepodniecany przez nikogo p. Cornell zapomniał w marcu o przyrzeczeniach danych w grudniu. Jednakże nie można rzec, żeby przychylna nam praca Drapera miała zginąć marnie. Teraz, gdy skutkiem związania się, tak inteligencyi naszéj w Stanach Zjednoczonych jak znacznéj części robotników, w ciało poważne, istnieje reprezentacya wybitna, silna i mogąca daleko skuteczniéj prowadzić pracę, dawniéj sporadycznie przez wątłe jednostki podejmowaną— teraz by można na podstawie wyrobionych z łaski sławnego profesora stosunków i obietnic to uzyskać, czego przed rokiem nie dano.

Wyjazdem przecięliśmy przyjemny stosunek z przychylnym autorem. Korespondencya między nami ustała prawie. Donosiliśmy mu o dokonaném po licznych trudnościach wydaniu przekładu *Historyi sporu religii z nauką*, wiedząc dobrze, jaką mu przyjemność ta nowina zrządzi. Zwykł był bowiem powtarzać, że choć tłómaczono jego dzieła na wszystkie prawie języki, przecież żadne tłómaczenia bardziéj go nie cieszyły, jak polskie, gdyż nikt się z nim tak grzecznie i sumiennie nie obchodził, jak p. Korzon i dr. Karłowicz. Inni tłómacze rzucali się najczęściéj do owéj pracy dla widoków materyalnych, zgoła nie prosząc autora o pozwolenie, a przekręcając jego myśli i wyrażenia jak najdowolniéj, podczas gdy od polaków doświadczał jedynie uszanowania, a nieprzyjemności znoszone przez naszych tłómaczy zdawały się wskazywać, iż wyższa idea kierowała ich pracą. Kilka tygodni potém wyczytaliśmy w gazetach podwójnie dla nas bolesną wiadomość o zgonie Drapera w New-Yorku. Nie wiedzieliśmy, czy posyłka nasza zastała go jeszcze przy życiu. Któż wysłowi nasze wzruszenie, gdy w parę miesięcy późniéj doniósł nam syn zgasłego historyka—astronom Henryk Draper, że przekład dr. Karłowicza i nasz list zostały doręczone jego ojcu kilka godzin przed śmiercią, sprawiając mu najżywsze zadowolenie, a pismo nasze było ostatniém, jakie czytał w życiu. Więc udało się spłacić staruszkowi cząstkę długu przynależnego, osładzając jego ostatnie chwile dowodami czci i przywiązania, ożywiającego niejedno serce w dalekim mu, obcym kraju! Więc jego ostatnie spojrzenie spoczęło na polskiéj książce, jego ostatni uśmiech i oka mgnienie wesela były owocem polskiéj troskliwości o sprawienie mu pociechy. Uśmiechem ust zawierających się na wieki zapieczętował on niejako traktat między sobą i *nami*—traktat, o którym już się nie mógł rozpisać zgrzybiałą ręką, ale który potwierdzał we wszystkich listach i rozmowach z przyjaciołmi lub z rodziną.

To jego współczucie dla naszego narodu nie poszło z nim do grobu. Ze sławą, z mieniem i nazwiskiem ojca odziedziczył je go-

dny syn, sławny astronom, Henryk Draper. Przed nami leżą książki i czasopisma, któremi nas często obdarza w nagrodę za to, żeśmy mieli szczęście pozyskać, przychylność ojca jego. Polecił nam zebrać wszystkie polskie przekłady dzieł starszego Drapera, oraz cokolwiek o nim prasa polska pisała, żeby uzupełnić temi rzeczami księgozbiór, stojący w jego bibliotece pod portretem Jana Wilhelma Drapera i będący ołtarzem z dzieł historyka, z przekładów i recenzyj tychże dzieł—ołtarzem zbudowanym ku czci znakomitego autora.

Nadto zawdzięczamy Henrykowi Draperowi szczegóły autentyczne o życiu jego ojca, z których wybieramy następujące:

Jan Wilhelm Draper urodził się w Anglii 5 maja 1811, przybył do Ameryki w 22 roku życia, otrzymał stopień doktora medycyny w Filadelfii, objął katedrę chemii przy wszechnicy w New Yorku w r. 1839. Zmarł w Hasting nad Hudsonem 5 stycznia 1882. Zostawił po sobie trzech synów i dwie córki. Z pierwszych zjednał sobie najszerszą sławę Henryk, astronom i fizyk, mieszkający w New Yorku, zkąd oznajmia światu swoje bystre i ciekawe spostrzeżenia. Drógi, Jan Draper, jest profesorem fizyologii przy uniwersytecie nowojorskim i posiada poważne imie w świecie naukowym. Trzeci, Daniel, jest dyrektorem głośnego obserwatoryum meteorologicznego stojącego w Central Parku w New Yorku i cieszy się sławą niepospolitą w Stanach Zjednoczonych, albowiem przyczynia się w wysokim stopniu do rozwoju meteorologii w Ameryce, gdzie jak wiadomo wzięto tę naukę pod opiekę rządową i doprowadzono do wysokiego stopnia.

Ojciec tylu znakomitych synów złożył wcześnie dowód zdolności niepospolitych. Jego rozprawa doktorska, ogłoszona z powodu swéj wartości przez senat wszechnicy, zwróciła uwagę wielu czytelników na siebie. Po objęciu katedry profesorskiéj pisał Draper niemało o chemiczném działaniu światła. Badając w r. 1840 odkrycie Daguerre'a był pierwszym, któremu się udało oddagerotypować żywą osobę—była nią jego siostra. W tymże roku odrykł także, że żółtym promieniom widma słonecznego należy przypisać wpływ światła na roślinność i rozkładanie kwasu węglowego w liściach. Poźniéj odkrył znaczną ilość ciemnych linij w fioletowéj części widma słonecznego. Wynalazł instrument do mierzenia chemicznéj siły światła. W r. 1847 wydał ważną pracę o „Wytwarzaniu się światła przez ciepło." Jego „Chemia", „Historya Naturalna" i „Rozprawa o fizyologii ludzkiéj" stały się podręcznikami w amerykańskich szkołach wyższych Ostatnie dzieło, przełożone na kilka języków, było podręcznikiem naukowym w Rosyi.

W r. 1863 wystąpił Draper niespodziewanie na nowém polu, pozornie nie mającém związku z naukami przyrodniczemi, ale w gruncie rzeczy z niemi spokrewnionėm. Jego „Historya rozwoju umysłowego Europy“ zrobiła go sławnym w całym świecie. Przełożono ją na wszystkie główniejsze języki ucywilizowanych narodów, nawet na arabski. Zaliczono jéj autora do niewielu uczonych, umiejących pisać prawdziwie naukowo, a popularnie. Myśl przewodnia téj zajmującéj książki daje się streścić w zdaniu, że rozwój społeczeństwa podlega tak samo prawom przyrodzonym, jak wzrost jednostki. Sam Draper rzekł o niéj: „Ta praca jest tylko uzupełnieniem mojéj Rozprawy o fizyologii, w któréj mówiłem o człowieku jako osobniku. Teraz traktuję go w jego społecznych stosunkach. Patrząc na historyą przez szkło fizyologii widzimy ją w nowéj postaci, zdobywamy sobie sprawiedliwsze i gruntowniejsze pojęcie tak myśli jak pobudek ludzkich w następujących po sobie wiekach.“

Powodzenie téj książki zachęciło Drapera do dalszych prac społeczno-historycznych. W r. 1865 napisał „Myśl o Przyszłéj Polityce Stanów Zjednoczonych“, a między 1867 i 70 trzytomową „Historyą domowéj wojny amerykańskiéj,“ która także w Europie wielu czytelników i tłómaczy znalazła. W niéj znajdziemy, obok żywych obrazów z olbrzymiéj walki filozoficzne wytłómaczenie jéj powodów, tkwiących w ustroju społecznym Południa i Północy.

We wszystkich wyliczonych dziełach daje się dostrzegać ciągłość i systematyczność, cechująca długą i niezmordowaną literacką działalność Drapera i nadająca jego pracom ten charkter, iż każda z nich jest uzupełnieniem swéj poprzedniczki, a przygotowuje umysł czytelnika do zrozumienia następnéj. Ostatniem słowem i wieńcem godnym téj działalności była głośna „Historya sporu religii z nauką,“ liczniéj czytana i tłómaczona od wszystkich dzieł poprzednich Drapera. Na nią pragniemy zwrócić uwagę czytającego ogółu. Posiadamy przekład jéj wykwintny. Jest ona najpoczytniejszą i najważniejszą z prac Drapera. Wady jéj i zalety były wskazane w „Prawdzie“ piórem bieglejszém od naszego, więc nie dodajemy nic do téj krytyki, krom uwagi, do jakiéj czujemy się upoważnieni skutkiem osobistych stosunków z autorem.

Powodzenie tego dzieła w ojczyźnie przybranéj Drapera było niezmierne, bo téż było głównie napisane dla jego ziomków, których umysł i upodobania autor znał gruntownie. Przez to samo jednak nie zadawala ono w niektórych punktach czytelników nieamerykańskich. Nadewszystko potrzeba pamiętać, że Draper starał się pisać dla przeciętnych głów narodu, w którym miliony czytają, krytykują, nawet rezonują pobieżnie — miliony stojące na niższym stopniu na

ukowego wykształcenia od garstek zajmujących się pytaniami filozoficzno-religijnemi. U nas, gdzie po za światem literackim nikt prawie nie dysputuje o teologii, jak to lubi czynić każdy chłop szkocki lub amerykański, trudno zrozumiéć, że Draper pisał nie dla gromadki wysoko ukształconéj, ani dla ogółu płytkich materyalistów i sceptyków, lecz dla kroci tysięcy ludzi, którzyby gruntownie walką między wiarą a rozumem się zajęli, gdyby tylko czas im pozwalał, a tymczasem lubią o niéj czytać. Jakiż pierwszy warunek powodzenia dzieła, starającego się przekonać takich czytelników? Czyż nie jest nim jasność, wykład popularny, myślenie myślami i wyrażenie się wyrażeniami ogółu, naginanie się do jego sposobu polemiki i rozumowania? Draper, pełen zdrowego instynktu, wskazującego drogę do poczytności, mniéj dbał o to, co uczeni krytycy o nim napiszą, więcéj zaś, by jego prace posiadały przymiot demokratyczny, rzadko spotykany w dziełach myślicieli z jego szkoły. Ogień i nienawiść Paine'a oblekał chłodną wymową Jerzego Elliota i zdradliwie popularyzował swoje nienawiści, uchylając maskę zupełnie dopiero w ostatniéj pracy, ale i tu licząc się z przesądami zakorzenionémi w ludzie protestanckim. Tym sposobem wycisnął ślady wieczne na niezliczonych umysłach, zwłaszcza młodych — ślady często nierównomierne z naukową wartością jego twierdzeń. Podczas gdy niejedno gruntowniejsze dzieło nie zmarszczyło nawet oceanu pospolitych przekonań, każdy podmuch Drapera spiętrzał na nim bałwany.

Parę razy udało się nam przekonać naocznie o magnetycznym wpływie tego autora na jego rodaków. Czytaliśmy na próbę piérwszą lepszą stronnicę jego pióra słuchaczowi, któryby w żaden sposób nie był chciał słuchać nas, gdyby był uprzedzony, że Drapera mamy w ręku. Słuchacz zaciekawiał się powoli, zdradzając miną zajęcie. W języku Drapera, w logice jego i sposobie polemicznym poznawał własne przymioty. Potakiwał w duszy autorowi, lub się z nim sprzeczał, a gdyśmy książkę odłożyli, podejmował ją i czytał daléj, żeby go pamięć jéj długo ścigała. Dzieła Drapera znaleźlibyście niespodziewanie w tysiącach domów, takich, których mieszkańcy ściśle zewnętrznych form swéj sekty przestrzegają, dla utrzymania swych handlów, kredytu i pozycyi społecznéj w kwitnącym stanie, ale przecież czytują pokryjomu potępionego autora.

I jeszcze jedno przekonanie powzięliśmy z doświadczenia, że Draper był głębszym i bezstronniejszym, niżby się spodziewał krytyk, co słusznie zarzucił jego dziełom formę panfletową, i stronniczość dla protestantyzmu. Ta forma, ta stronniczość były tylko podobno *fintami*, dla tém łatwiejszego podważenia zdań przeciwnych. Znając swój naród, Draper próbował skutecznie posiąść jego zaufa-

nie namiętnem uderzaniem na katolicyzm, a rzekomém wyciąganiem gałązki oliwnéj protestantyzmowi, bo wiedział, że dość byłoby zburzyć wielką, hardo sterczącą cytadelę, ażeby gruzy jéj zasypały wszystkie podparte o nią, w podwalinach zbutwiałe zameczki. W rozmowach poufnych wyrażał się jednak: o anglikanizmie, purytanizmie i wszystkich dowolnie Pismo św. tłómaczących sektach, z większém lekceważeniem, niż o silnych i tradycyjną karnością mocno spojonych, trudnych do zachwiania wyznaniach.

Zastosowana do umysłowości anglo-saskiéj zręczność polemiczna podsuwała mu nieraz oręż, wielostronnie krytykowany przez nieznających tego narodu, a jednakże jak najwłaściwszy dla jego celów. Pisząc dla ludzi czczących jak fetysza księgę zajmującą honorowe miejsce w ich domach i zamiłowanych w tworzeniu z jéj liter martwych wniosków bodaj najprzeciwniejszych jéj duchowi, Draper nie bez powodu kładł nacisk na walkę umysłową w dawnéj stolicy Ptolomeuszów w 2 i 3 wieku po nar. Chr. Dla tém silniejszego wrażenia zrobił z Aleksandryi kolebkę i ognisko helleńskiéj nauki, któréj spadkobiercami są empiryczni, napastowani przez dogmatyków uczeni dzisiejszego wieku. — W tejże Aleksandryi — powiadał — nie zaś w Judei, krystalizowało się to, co od założenia swego musiało z nauką o byt walczyć. Jak filozofia aleksandryjska była dziełem hellenów europejskich, tak nowa teologia była jedynie systematycznem przerobieniem wierzeń egipskich, ani zaś duch semicki, ani księga, którą słusznie poważacie, nie miała z nią nic a nic wspólnego. Więc nie szukajcie genezy systemu przeciw któremu występuję, nigdzie, jeno w napisach grobowych i na ścianach świątyń, odwiecznych, jak pierwsze piramidy. Jeśli Marriette Bey, Brugsch i t. p. nie kłamią, chciwe kapłaństwo egipskie znało wszystkie sposoby niewolenia umysłów. Życie pośmiertne, wieczne szczęście lub wieczne potępienie, wydobywanie cierpiącéj duszy z mąk czyszcowych przez modlącego się za wynagrodzeniem kapłana, szatanów w płomiennych otchłaniach, wesele nieszczęśliwych a cnotliwych w drugiem życiu, smutek zaś tutaj szczęśliwych i grzesznych, wodę święconą, ofiarę chléba, nawet coś nakształt *Logos* św. Jana i odkupienie ludzkości zmazanéj przez ofiarną śmierć Ozirisa—wszystko to wyznawał naród nad Nilem, a św. Augustyn mógł słusznie wygłosić swe śmiałe zdanie: „rzecz nazywana teraz religią chrześciańską była zaprawdę znana starożytnym, a od początku istnienia rodu ludzkiego nigdy mu nie zbywała.“ Mówiąc z Max Müllerem jest ona nową kombinacyą tychże samych, radykalnych pierwiastków religijnych.

W podobny, ale wymowniejszy sposób starał się on niejako zaszczepić w słuchaczach przychylność dla nauki pohelleńskiéj, któréj

był obrońcą, przeciw tradycyom poegipskim, wtłoczonym aryjskiéj Europie, których panowanie mogło się jedynie ustalić na gruzach heleńskiéj cywilizacyi i aryjskiego panteizmu, a wszechwładztwo pociągnęło by za sobą całkowite zaprzanie się rozumu. W obronie nowoczesnego agnostycyzmu angielskiego posługiwał się, wśród ludzi miernéj, anglosaskiéj inteligencyi, innym argumentem, który według nas mógł się tylko w głowie dobrze swój naród znającego anglika wyrobić. Mianowicie przyrównywał ten ruch i tworzoną na jego podstawie „Religią Ludzkości" do reformacyi, wywołanéj przez Mojżesza przeciw religii egipskiéj, wierzącéj w bezpośrednie i ciągłe mieszanie się Opatrzności w sprawy światowe, w nieśmiertelność, w kary i nagrody pozagrobowe itp. dogmaty jéj. Wartość etyczna była tego rodzaju, iż naród ją wyznający oddawał się wszelkim sprosnościom. Chcąc wydobyć swój lud z upadku moralnego reformator przemilczał o nieśmiertelności duszy i o sprawiedliwości pośmiertnéj, a natomiast przedstawił strasznego Jehowę, karzącego winowajców zaraz i w najbliższych pokoleniach. Według Drapera agnostycyzm był jedyną dźwignią, mogącą podnieść ludzkość dzisiejszą z upadku moralnego, srozszego od sromoty egipskiéj, a więc spełniłby główne i jedyne zadanie wszelkiéj religii.

Traktując przedmiot natury drażliwéj staraliśmy się usprawiedliwić taktykę Drapera, rażącą nieraz naszych myślicieli, co ją o głowę przerośli, warunkami jego położenia. Trudno nam mówić jaśniéj o tym przedmiocie, więc porzucamy go dodawszy zapewnienie, że jakkolwiek łatwo taką taktykę zganić, skutek jéj był przecież w warunkach i okolicznościach otaczających Drapera niewątpliwy, zadziwiający. Sam powiadał, że choć liczył wrogów swych dzieł na miliony, osobistych nie miał prawie zgoła, a nie było miasteczka i sioła w kraju, w którém by nie posiadał zwolenników.

Trudno by sobie wyobrazić autora w szczęśliwszém na pozór położeniu. Posiadał sławę, mnóstwo przyjaciół szlachetnych, mało nieprzyjaciół, fortunę rzadką u ludzi nauki, ułatwiającą jego prace i badania. Same tantiemy z raz wraz wydawanych przedruków jego dzieł przynosiły pański dochód. A jednakże, długo nawet przedtém, nim go poznaliśmy złamanego chorobą i boleścią niespoczywającą jak sępy co pożerały jelita Prometausza, Draper miał według zapewnień jego najstarszych przyjaciół podlegać często owéj melancholii, która podobno ukrywa się na dnie każdéj czynnéj i samodzielnéj duszy. Cnotliwy w życiu prywatném jak gdyby wiecznie pamiętał platońskie „żelazne poczucie prawdy i sprawiedliwości"—piórem, słowem i przykładem krzewiąc t. z. Religią Ludzkości (tj. polecając rozniecać płomień miłości bliźniego do tego stopnia, aby się stał dość

silną podnietą do zrobienią nas cnotliwymi, dla uszczęśliwienia rodu naszego, bez nadziei osobistéj pośmiertnéj nagrody)—pracowity jak stoiczny cesarz rzymski, którego ostatniém hasłem dla legyonów było słowo *Laboremus*!—słodki, łagodny, pozbawiony innéj ambicyi, krom żądzy szerzenia wiedzy—człowiek ten bywał często smutnym bo w duszy taił przekonanie, że każdy krok naprzód w rozwoju umysłowym ludzkości powiększa jéj niedolę, nie dla tego, by sumę ciążących na niéj cierpień o włos pomnażał, ale ponieważ czyni ją drażliwszą na braki i niedostatki, których natury nieokrzesane nie czują. Nie odważając się, z bezwzględną niemiecką logiką Schoppenhanera, polecić radykalnego lekarstwa na taki stan rzeczy w kształcie rady, aby całe plemie uwolniło się od klątwy przez dobrowolne unicestwienie, rzekł raz do nas, iż nie warto ani chwalić istniejącego porządku wszechrzeczy, ani napróżno przeciw niemu się buntować, lecz lepiéj by było wytężać wszystkie siły na to, by ulżyć naszém życiem ciężkie brzemie, tłoczące braci. Taka nauka wiodłaby w życiu praktyczném do cichéj filantropii i kwietyzmu, więc téż jéj nauczyciel był dobroczynnym przyjacielem ubogich i ucisnionych; ale nie ich trybunem, a w pismach traktował najzawziętszych przeciwników spokojnie i z umiarkowaniem w słowie.

Kto wie, czy ten spokój w polemice, te umiarkowanie w wyrażeniach nie zjednały jego pośmiertnéj pamięci, rzadko ludziom takich przekonań udzielanéj, tolerancyi. Wszak nigdzie się nie spotykamy z gromami na jego dobre imię, na jego naukowe prace i zasługi, jakie przecież z taką obfitością na mniéj niebezpieczne nazwiska i utwory spadają. Nikt nie plwa na jego pomniki.

A ma on pomniki. Jeden—w licznych, ciepłych sercach jego uczniów, i licznych przyjaciół i wszystkich tych, co go znali osobiście. Trudno było poznawszy go nie polubić mądrego starca, cierpiącego z bohaterskim stoicyzmem, a wśród cierpień służącego nauce i filantropii. Drugi, olbrzymi—w umysłach czytających milionów wszystkich narodów—bo na jakiż to język nie przełożono jego dzieł historyczno-polemicznych? Wszyscy ci, których choć nie przekonał, ale przecież nakłonił do czytania swych prac, zastanawiać się będą nad ich treścią i szczegółami, wspominać długo ich sens moralny, powtarzając bez goryczy imie śmiałego, szczerego, ale umiarkowanego myśliciela. W stu tysiącach domów są książki z pod jego pióra kryształowego, nie pyłem okryte, lecz czytywane tak często, jak owa wielka księga, którą „swobodnie“ tłómaczył.

Oprócz tych wspaniałych mauzoleów, uwieczniających jego nazwisko, piersi kilku ludzi obcéj mu narodowości zawierają kamyczek skromny, na którym słowo *Draper* wyryło się w sposób niestarty, od

pierwszego dnia prawie, w którym sędziwy, czcigodny, jedną nogą w grobie stojący autor z nimi się zetknął. Nie trwało długo, nim uprzedzony przeciw wszystkiemu co się z ich narodowością łączyło mąż postępowy, wpadł w przeciwną ostateczność żarliwéj przyjaźni dla ich charakteru, ich celów i rzekomo porywającego cały ich kraj prądu. Nie było czasu rozczarować go, że się mylił w niejednym z naprędce stworzonych poglądów. A potém, na co by się zdało go rozczarowywać? Wszak ten obłęd niewinny sprawiał mu uciechę, gdy nikt nam nie mógł był zarzucić, żeśmy nim samowiednie osidłali starca, którego nadwątlona wiekiem wyobraźnia budowała sobie wielki pałac karciany na podstawie kilku pobieżnych spostrzeżeń. Dość, że nas przyjął do serca—*nas*, w znaczeniu zbiorowem. Za to chowamy ów kamyczek z czcią przystojącą wdzięcznym dłużnikom, co inaczéj odwdzięczyć się wierzycielowi nie są w stanie.

Co się tyczy naszéj osoby winniśmy mu jeszcze wdzięczność za widok pouczający, jaki nam przedstawiał na słonecznéj werandzie chłodzonéj powiewem od fali rzecznéj i od wierzb pochylonych. Fotel w którym cierpiał, z którego się uśmiechał i lubił prawić, był jego pościelą śmiertelną. Wiedział o tém, ale konał na nim z hardą słodyczą dobrze zasłużonego rycerza, co ustępował z bojowiska życia bez trwogi, gdyż był przekonany, że bądź co bądź nic się nie stanie jego istocie myślącéj, która szczerze, sumiennie i dzielnie używała mocy wielkiego, danego jéj talentu. Choć żadna iskra nadziei szczęścia nie oświetlała zmroku jego dni ostatnich, oczekiwał rozwiązania dramatu z filozoficzną rezygnacyą. Jego istnienie kończyło się zgodnie z całym swym przebiegiem, zaokrąglało się, jak piękny poemat dydaktyczny...

Sygurd Wiśniowski.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

I.

JAN ŁASKI

Arcybiskup Gnieźnieński.

(*Dokończenie*).

Trzy, właściwiéj cztery, były wielkie sprawy polityki zewnętrznéj, które podówczas rząd polski zajmowały: sprawa pruska, węgiersko-czeska, wołoska i tatarsko-turecka. Piąta równéj co tamte wagi, sprawa stosunku do W. Ks. Moskiewskiego, była sprawą litewską, pośrednio tylko dotyczyła i Polski, jako jednego z Litwą mającéj władcę. Ta zrazu stała na pierwszym planie z powodu knowań Glińskiego; na nią wpływać mógł Łaski tylko pośrednio, a jak wpływał, o tém nic zgoła nie wiemy. Domyślać się tylko można, że przemawiał za jéj załatwieniem pokojowém, za dozwoleniem wolnego wyjścia do Moskwy przyjaciołom i stronnikom Glińskiego, żeby się pozbyć z Litwy tego żywiołu, z którym za Aleksandra już walczył. W taki istotnie sposób zakończono téż tymczasowo pierwszą Zygmunta wojnę z W. Ks. Wasilem.

Przyszła koléj na sprawę pruską. Wlokły się oddawna rokowania z W. Mistrzem krzyżackim o ów hołd, który według pokoju toruńskiego winien był królowi składać, który składało kilku już jego poprzedników, którego odmawiał wytrwale wielki mistrz Fryderyk Saski; w Niemczech i w Rzymie szukał przeciw Polsce obrony, kwestyonując prawność wieczystego pokoju. Spełzł na niczém kongres poznański, umarł ks. Fryderyk, Krzyżacy nowego mistrza w osobie siostrzana królewskiego, Albrechta Brandeburskiego, sobie obrali. Albrecht jeszcze się nie był udał na Prusy, chodziło o to, czy go tam

puścić, jakie wogóle w obec niego zająć stanowisko. Łaski, który już w Poznaniu stał na czele polskich komisarzy, który następnie, objąwszy swoję godność w Gnieźnie, udał się był na Prusy i tam się z wpływowymi rejentami pruskimi porozumiewał, odmawiał Zygmunta od prowadzenia wojny z Zakonem, do czego, jak się zdaje, inni senatorowie go wiedli. Za jego téż sprawą nowy zjazd i nowe układy naznaczono w Toruniu r. 1511; a tu Łaski wystąpił z całkiem nowym pomysłem. Żądał, aby nowy mistrz złożył swą godność, któréj jeszcze w istocie nie posiadł (dla wynagrodzenia go oświadczał prymas gotowość, że złoży na jego korzyść swoje dostojeństwo); proponował, że król polski przyjmie regułę zakonną i wielkim mistrzem zostanie; wszyscy biskupi polscy również członkami Zakonu się staną i odtąd Zakon z koroną polską jedno stanowić będzie ciało, a przez to znajdzie sposobność, jakiéj mu w Prusach braknie, walczyć wedle swéj reguły z niewiernymi.

Byłby to ni mniéj ni więcéj, jak pierwszy krok na drodze do zupełnéj Zakonu polonizacyi; o czémś podobném już przy wieczystym pokoju toruńskim myślano, zastrzegając podówczas, że i Polacy do Zakonu mają być przyjmowani. Z myślą tą widocznie Łaski się nosił już oddawna, może na dworze Aleksandra jeszcze powstała, bo dawny tam towarzysz a potém wróg Łaskiego, Erazm Ciołek, takąż samę w kilka lat późniéj jeszcze Zygmuntowi podawał radę. Sam zresztą Łaski w przedmowie do Statutu, w miejscu gdzieby się tego najmniéj spodziewano, wspomniawszy o sprowadzeniu Krzyżaków do Prus przez Konrada, nad zakonami rycerskiemi się rozwodzi, jakie istnieją wylicza, i swoim współobywatelom zaleca rozważyć należycie z takich zakonów pożytek. Wzrosły w pojęciach średniowiecznych prymas chciał więc tym śmiałym lecz i trudnym do wykonania pomysłem Zakon zakonserwować i zużytkować na korzyść Polski, odjąwszy mu tylko to, co właśnie krzyżaków nienawistnymi Polsce czyniło, ich czysto niemiecki charakter. W ten tylko sposób można było uniknąć z nimi wojny nowéj, któraby może Polskę w konflikt ze stolicą apostolską, Zakonu opiekunką i zwierzchniczką, przywieść mogła, a z tą Łaski chciał zawsze w najlepszéj żyć przyjaźni. Prawdopodobnie przyświecał mu przykład Hiszpanii, gdzie w samym końcu 15 wieku W. Mistrzostwo podobnych zakonów rycerskich Alcantara, Calatrava i S. Jago, Ferdynand katolicki połączył z koroną; te właśnie zakony w przedmowie do statutu wymienia, nie zapominając wyraźnie dodać, że do zakonu Calatrava należą także żonaci. Ten wzór pokazywał zarazem, że niepotrzeba się obawiać, aby takie połączenie mistrzowstwa z koroną polską miało przyszłość dynastyi na szwank narazić, że z Rzymu

uda się otrzymać stałą dla królów dyspensę od zakonnego bezżeństwa; bo trudno przypuścić, aby Łaski naprawdę o tém myślał, że królowie będą odtąd zupełnymi zakonnikami, a jeśli to w Toruniu przyrzekał, to zapewne aby tym łatwiéj reprezentantów Zakonu dla swojéj myśli pozyskać.

U Zygmunta znalazł zrazu ten projekt bardzo dobre przyjęcie; odtąd czas jakiś przy warunkach recesu toruńskiego obstaje i ich wykonania się dopomina. Wtedy téż, gdy sprawa pruska na drogę układów wstąpiła, w inną stronę, ku południu, zwraca się za sprawą Łaskiego uwaga króla. Tam na Węgrzech ważyły się od dłuższego już czasu w całym kraju i na dworze słabego Władysława, brata Zygmuntowego, dwa stronnictwa: austryackie, chylących się ku Habsburgom magnatów, i narodowe, szlacheckie, Niemców nienawidzące pod przewodnictwem Zapolyów. Władysław sam więcéj sprzyjał stronnictwu austryackiemu, które wpływ cesarza Maksymiliana popierało; Łaski zaś wiódł Zygmunta do sojuszu z narodową węgierską partyą. Łaskiego było dziełem ułożone właśnie teraz, jesienią 1511, małżeństwo Zygmunta z Barbarą Zapolyanką, co Polsce szerokie do wpływu na Węgry miało otworzyć wrota, a Habsburskie wpływy sparaliżować. Daremnie cesarz Maksymilian, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, w ostatniéj chwili żonę ze swéj poręki Zygmuntowi nastręczał; daremnie sam Władysław wzywał brata, aby odwlekł swoje małżeństwo, które sam poprzednio doradzał zręcznym podstępem stronników Zapolyi nakłoniony. Mimo to Barbara wnet została królową polską (w lutym 1512 r.), a z całą rodziną Zapolyów król Zygmunt zawarł potajemnie ścisły układ, że wzajemnie swoje interesa będą popierać (1). Twórca tego sojuszu, pierwszego samoistnego czynu polityki zewnętrznéj za Zygmunta, prymas Łaski gotował się do podróży do Rzymu, na sobór lateranski, aby w zgodzie z papieżem nowe Niemcom zgotować ciosy.

---

(1) Późniéj, kiedy Zapolya obrany królem węgierskim, musiał przed Ferdynandem austryackim uchodzić do Polski, wzywając nieustannie pomocy Zygmunta, odwoływał się na prywatne pakta, jakie pomiędzy nimi istnieją. Z polskiéj strony dawano na to odpowiedzi wymijające, ale że układ taki istniał, widzimy z listu Krzyckiego do Tomickiego (z 4 czerwca 1528, w Tomicyanach rękopiśmiennych), który powiada, że Rincon i poseł Zapolyi do Francyi ferunt secum exemplum litterarum foederis et coniunctionis inter Mtem. Regiam et domum Trencinensem (t. j. rodziną Zapolyów), de qua ego prius nunquam scivi miror que vehementer datas tales litteras absqe aliqua conditione, ut nihil videatur, quo iure excusari possit Mtas. sua, si non satisfecerit fidei suae; obawia się więc, że to zaszkodzi dobréj sławie króla Zygmunta. Otóż taki układ nigdy potém powstać nie mógł i musiał pochodzić z czasu, kiedy się Zygmunt żenił z siostrą Zapolyów.

Wiadomo, jak w walce o Medyolan król francuski Ludwik XII popadł w nieprzyjaźń z Juliuszem II, porozumiał się z cesarzem, pozyskał kilku kardynałów i przedsięwziął zwołać przeciwko papieżowi sobór powszechny do Pizy; wiadomo także, jak niebawem i papież ze swéj strony inny sobór do Lateranu w Rzymie rozpisał a kardynałów schyzmatyckich klątwą obłożył. Z obu stron czyniono w Polsce i w Węgrzech zabiegi: śląc kardynałów zaproszenie wzywał Maksymilian, aby z obu tych krajów wzięto udział w soborze pizańskim; niebawem zjechał nuncyusz papieski z zaproszeniem na sobór laterański. Zygmunt Stary myślał o pośrednictwie, o zgodzie między papieżem a cesarzem; nakłaniał się jednak ku Rzymowi, tam zapytywał, co z zaproszeniem do Pizy uczynić. Nie wahał się podobno prymas Łaski, zaraz do Rzymu na sobór sam pojechać umyślił łącząc z tém, jak się zdaje, jakieś bardzo rozległe plany.

Niepodobna rozpoznać, jakie właściwie to były plany; trudno nawet powiedzieć, czy się już w myśli Łaskiego dokładnie sformułowały; wyraźne jednak ślady pokazują, że miał jakąś wielką akcyą polityczną ku południo-wschodowi na oku, w któréj na pomoc Rzymu a nieprzyjaźń papieża z cesarzem rachował. Z soboru, jeszcze późniéj, kiedy się warunki na niekorzyść Polski zmieniły, podnosi Łaski myśl krucyaty na Turków, krucyaty, w którejby przewodnictwo przypadło Zygmuntowi. Myśl takiéj krucyaty pojawiała się w Polsce i przedtém, za Olbrachta, i późniéj jeszcze, kiedy do niéj inne kraje wzywano; a jeśli wezwaniom papieskim do krucyaty nie zawsze w Polsce dawano posłuch, to dla tego jedynie, że niezawsze wierzono, czy istotnie przyjdzie do skutku, a nie chciano się samym przy sąsiedztwie Tatarów na niebezpieczeństwo narazić. W chwili, kiedy się Łaski do Rzymu na sobór zaczął wybierać, o krucyacie przemyśliwano w Węgrzech, popierał ją Zapolya, sam nawet walki z Turkami próbował; prymas węgierski kardynał Bakacs po to jechał na sobór; a gdy dodamy do tego ów projekt Łaskiego, aby król Zygmunt został W. Mistrzem Zakonu, to prawie by się zdawało, że układał się w głowie Łaskiego wielki pomysł, dla którego jadąc do Rzymu papieża pozyskać się spodziewał. Zygmunt, za dyspensą papieską zostałby W. Mistrzem Zakonu; w ten sposób załatwionoby sprawę pruską ze szkodą Niemców; Zygmunt, nie zaś wróg papieża cesarz, zostałby naczelnikiem krucyaty głoszonéj w Polsce, Węgrzech i całém chrześcijaństwie, popartéj skarbami stolicy apostolskiéj; król polski rozporządzając siłami nietylko Polski lecz i Węgier, stałby się „opiekunem królestwa węgierskiego" a wpływ habsburski na wschodzie musiałby upaść zupełnie; niedogodna Wołosza musiałaby zupełnie Polsce uledz, a dawny między Polską a Węgrami spór

o zwierzchność nad nią z natury rzeczy załatwiłby się na korzyść Polski. Jeszcze potém chciał Łaski kraj ten wydaniem naturalnéj córki Zygmunta za wojewodę wołoskiego ściśléj z Polską związać i układał się o to podobno bez wiedzy króla.

Lecz obok wielkich i śmiałych planów, roiły się w głowie Łaskiego i bardzo dziwaczne pomysły. Oto słyszymy, jak radzi z Rzymu, aby zrobić próbę w Stambule, czy się nie uda nawrócić Sułtana na chrześcijaństwo; jeżeli zechce się o to układać ze stolicą apostolską, może zostać tak samo panem i zwierzchnikiem zachodu, jak jest nim już na wschodzie. Nieśmiało wprawdzie, z zastrzeżeniami, pisze o tém Łaski do króla; jedno w tym osobliwym projekcie uderza: widocznie godzi nim w cesarza zachodniego, rzymsko-niemieckiego, któregoby nawrócony sułtan zastąpił.

Jakkolwiekbądź, to pewna, że Łaski podówczas liczył na związek z papieżem Polski i Węgier i na nieprzyjaźń papieża z cesarzem. Obecność papieskiego nuncyusza przy tak wstrętném dla Maksymiliana małżeństwie Zygmunta z Barbarą była widomym znakiem, na co się zanosiło. Oczywiście i prymas sam osobiście spodziewał się nowych z Rzymu godności i zaszczytów; oświadczenie królewskie z tego czasu, że nikomu z biskupów polskich nie wolno się starać o kardynalstwo prócz arcybiskupa gnieźnieńskiego, zarówno przeciw zabiegom Ciołka biskupa płockiego było wymierzone, jak za przyszłem wyniesieniem Łaskiego miało przemawiać.

Na nieszczęście prymasa zwlókł się jego wyjazd do Rzymu, dokąd dopiero w początkach r. 1513 wyruszył. Jak się zdaje, Zygmunt to jeszcze się wahał i jeszcze na wiadomość o śmierci Juliusza II, zwracał już jadącego uwagę, iż może, jeżeli zechce, dalszéj podróży zaniechać. Prymas wprawdzie nie zawrócił, ale tymczasem zmieniły się i w Polsce i po za Polską te warunki, na których przedtem Łaski swoje plany opierał. Zachwiał się potężny w r. 1511 wpływ prymasa na króla. Gdy w Piotrkowie 1513 podczas sejmu przyszło do dalszych z Zakonem traktacyi, Zygmunt sam pierwszy oświadczył, że już nie chce układanych w Toruniu a tak niemiłych Niemcom środków, że odstępuje od nich, bo gdyby Mistrzem Zakonu został, naraziłby swą rodzinę na zagładę. Bardzo być może, iż Łaskiego przeciwnicy, których tak wielu miał wśród rady koronnéj, na niepewność dyspensy papieskiéj pokazując, króla do projektów prymasa i do jego osoby zniechęcili; zwłaszcza że projekt ten w istocie w wykonaniu na wielkie napotkaćby musiał trudności. Nieprzyjaźń téż papieża z cesarzem tymczasem się już skończyła; Maksymilian jeszcze z Juliuszem II się pogodził. Brakło gruntu, na który Łaski w Rzymie liczył, przyszło się łamać z trudnościami sprawy pruskiéj, którą

i krzyżaków ajenci i cesarz popierali i przed sobór wytoczyć pragnęli. Łaski starał się temu przedewszystkiem przeszkodzić i w końcu rzeczywiście przeszkodził; ale sprawa się przewlekła, w Polsce skarżono się na Łaskiego powolność, na mały skutek jego zabiegów; wpływ jego w nieobecności nieustannie podupadał i upadł w końcu zupełnie.

Podjęta bowiem (zapewne w myśl prymasa) reforma wojskowa, prowadzona bez energii, nie powiodła się ostatecznie; na zgromadzonym bez prymasa synodzie duchowieństwo zaczęła robić trudności w sprawie podatków, a w końcu wystąpiło nawet z głośnemi na Łaskiego skargami. Skargi te bynajmniéj nie były tak zgoła bez podstawy, jak to ks. Korytkowski wytłumaczyć czytelnikowi usiłuje. Owszem, widocznie prymas nie mogąc planów swych publicznych w Rzymie przeprowadzić, zaczął tém gorliwiéj się krzątać około korzyści osobistych, o których nigdy nie zwykł był zapominać. Wyjednał wprawdzie różne łaski kościelne, ale wyjednał także i przyzwolenie papieskie na długoletnią, po za czas życia jego mającą trwać dzierżawę dóbr arcybiskupich przez jego krewnych, aby ztąd mógł swe długi opłacić; wyjednał wreszcie, że cały szereg znacznych prelatur i kanonii wcielono do dochodów stołu arcybiskupiego, jak na to sam ks. Korytkowski z archiwum gnieźnieńskiego dostarcza nam dowodów. Było to i ze szkodą duchowieństwa i z uszczerbkiem królewskiego prawa nominacyi, na co Zygmunt Stary był bardzo drażliwy. W Węgrzech zaś, ogłoszona przez kardynała Bakacsa, kiedy z Rzymem powrócił, wojna krzyżowa na Turków, najsmutniejsze wydała owoce—straszny bunt chłopski, który ledwo z trudnością udało się Zapolyi uśmierzyć; w całym kraju panował tam zamęt i rozstrój, król Władysław więcéj niż kiedykolwiek w mocy był stronnictwa habsburskiego. Nakoniec cesarz Maksymilian oburzony na związki dworu polskiego z Zapolyą i narodowém w Węgrzech stronnictwem, utwierdzał W. Mistrza Albrechta w dotychczasowym oporze, a zbyt słaby, aby sam miał mu nieść pomoc, w tym celu pracował nad utworzeniem koalicyi z książąt północno-niemieckich i z Danii; wiązał się wreszcie przymierzem z W. Ks. Moskiewskim przeciwko Zygmuntowi. Bo tymczasem odnowiła się wojna moskiewska, stracono Smoleńsk; gorszych klęsk można się było lękać, gdyby istotnie zamierzona koalicya przyszła do skutku.

Wszystko to oddziaływało na Zygmunta wahającego się i niepewnego co czynić. Za kierunkiem Łaskiego nie miał kto teraz przemawiać, przeciwnicy prymasa z pewnością nie zasypiali sprawy, pokazując królowi, że prymasa polityka wewnętrzna jak zewnętrzna kraj prowadzi do zguby. W otoczeniu królewskim coraz więcéj

nabywał wpływu Piotr Tomicki, wiążący się ściśle z najmilszym Zygmuntowi, jeszcze z czasu jego na Szląsku rządów Krzysztofem Szydłowieckim. Tomicki dotąd szedł utartą przez Łaskiego koleją, do małżeństwa króla z Barbarą czynnie przykładał ręki. Ale pewno się nie omylim przypuszczając, że od początku Łaskiego kierunek mu się nie podobał, że mu tylko ulegał, dopóki podrzędniejsze zajmował stanowisko. Nieprzyjaciel szlachty, Tomicki pewno potępiał prymasa z nią sojusz; ostrożny i rozważny, przed zuchwałémi Łaskiego pomysłami niewątpliwie uczuwał trwogę. I Tomicki żywił wielką ambicyę, swem metodycznem wysokiem wykształceniem czuł się uprawniony do tego, aby ważną odegrać rolę; lecz dążąc do godności i zaszczytów chciał je regularniejszą niżli prymas osiągnąć drogą, stopniowo powoli; nie tyle téż co prymas o korzyści osobiste się troszczył, rodzinę swą wynieść i wzbogacić mniéj gorączkowo się starał. Brakło mu ducha inicyatywy, rzutności i energii, w których celował prymas; wynagradzać to starał się systematycznością, porządkiem, doskonałą formą wychodzących z pod jego ręki aktów, które się odznaczały i poprawnym językiem i piękném nawet pismem, o co Łaski dbał bardzo mało; mozolnie, sumiennie, pracowicie spełniał Tomicki swój urząd kanclerski i nie chciał się z nim nigdy rozstać.

Tomicki, jak się zdaje, zawsze kładł większy nacisk na sprawę pruską, kiedy Łaski sprawę węgierską na pierwszym stawiał planie. Od ostatniéj w Węgrzech Tomickiego legacyi zaniosło się téż na porozumienie z Maksymilianem, z którego posłami tam się zetknął, od których się przekonał, że cesarz gotów poświęcić W. Mistrza, jeśli Zygmunt jego na Węgrzech wrogów porzuci. Po chwilowém wahaniu poszedł król w tym nowym przez Tomickiego inaugurowanym kierunku: dowodem uznania królewskiego było biskupstwo przemyskie, a wnet i podkanclerstwo koronne, które jedno i drugie Tomicki teraz otrzymał. Równocześnie oświadczał się Zygmunt przeciw polityce i przeciw osobie prymasa: wbrew poprzedniemu przyzwoleniu teraz przeszkadzał w Rzymie, żeby Leon X godnością kardynalską prymasa nie ozdobił. Rozumiał Łaski dobrze, co się przeciwko niemu knuje; dlatego już zawczasu, nim król się ostatecznie zdecydował, szkodzić w Rzymie interesom Tomickiego probował. Takie niewątpliwie znaczenie miała sprawa kantoryi gnieźnieńskiéj, którą Tomicki, choć już biskup, zatrzymać nadal pragnął, a do któréj Łaski tymczasem u papieża Wapowskiemu dopomógł.

Nastąpił znany kongres wiedeński i znane na nim układy 1515 (1); nie stanął wprawdzie żaden nowy układ sukcesyjny, ale

---

(1) Liske, Kongres wiedeński 1515 roku, w Studyach z dziejów w. 16.

ułożone wtedy ostatecznie małżeństwo wnuków Maksymiliana z dziećmi Władysława Jagiellończyka więcéj niżli co bądź dotąd torowały sukcesyi habsburskiéj drogę i ułatwiając wpływ cesarzowi na Węgry i Czechy burzyły cały Łaskiego program. Kiedy zawiadomiony o wszystkiem, przyśpieszając swój do kraju po dwuletniéj nieobecności powrót, po drodze na Węgry zajechał, przekonać się tam musiał, że się nie da odrazu odrobić to, co się stało w Wiedniu. Giętkości niepospolitéj i rzutności naszego prymasa wymownym to dowodem, że natychmiast, nie mogąc już nic zmienić, wszystkie możliwe korzyści z nowego zwrotu politycznego osięgnąć postanowił. Do polonizacyi Zakonu zamknięta teraz była droga, bo zrzeczono się w Wiedniu tego warunku traktatu toruńskiego, który Polaków do Zakonu przyjmować przepisywał. Za to cesarz przyrzekł, że W. Mistrza opuści, obiecał pośrednictwo między Polską a W. Ks. Moskiewskim; wojna ta zresztą od zwycięztwa pod Orszą przestala być już groźną. Łaski więc ledwo stanął w Krakowie, w długich, tajemnych rozmowach z królem nakłaniał go, aby teraz natychmiast energicznie przeciwko mistrzowi i krzyżakom wystąpił. Czy radził orężem Zakon z Prus wyprzéć zupełnie, czy tylko do niezwłocznego hołdu mistrza przymusić—nie wiemy; dosyć że osobiste zetknięcie Łaskiego z królem wywarło dawne wrażenie, że król się na jego radę zgodził. Tylko że teraz wpływ ten szybko przeminął; ledwo się król z prymasem rozstał, ledwo nadeszły nowe od Maksymiliana przyrzeczenia, porzucił Zygmunt plany energiczne i ufny w skutek cesarskich oświadczeń na Litwę wyjechał (1).

Odtąd na jakiś czas działalność polityczna Łaskiego cichnie: sporadyczne tylko przez lat parę spotykamy jéj ślady. Jedzie w następnym roku 1516 prymas na Węgry, gdy król Władysław umarł i o rządy opiekuńcze nad małoletnim Ludwikiem chodziło, ale jako kolega towarzyszy mu kanclerz Szydłowiecki, jeden z głównych zwolenników porozumienia z cesarzem, a król niedozwala Łaskiemu wziąść ze sobą i pozostawić przy Ludwiku dwóch zaufanych stronników i przyjaciół. Potém zaprząta wszystkich sprawa powtórnego królewskiego małżeństwa. Tomicki, Szydłowiecki i inni przemawiają za małżonką z ręki cesarza, najchętniéj za wnuczką Maksymiliana; gdy téj zaś dostać nie można, zgadzają się na tę dalszą krewniaczkę,

---

(1) Zdaje mi się, że tylko w ten sposób można rozumieć słowa listu Zygmunta do Łaskiego, Acta Tom, III, 439: Caes. Mtas. petit a nobis, ut ob omni erga magistrum actione... nos... contineamus .. se magistrum cohortaturum fuisse, ut debitum nobis praestet.. His igitur placidis pollicitis retenti Ptis. V. cracoviense *de magistro consilium, cui plane acquieveramus*, distulimus exsequi.

Bonę, która istotnie żoną Zygmunta została. Łaski wszelkiemi sposobami stara się niedopuścić takich związków habsburskich; żeby włoską księżniczkę zohydzić, donosi królowi, jakie to ubliżające o nim krążą we Włoszech pogłoski, rai mu koniecznie na małżonkę księżniczkę Mazowiecką, nakłania go, aby sam jechał na Mazowsze godzić tam spory między księżną a poddanymi. Tomickiego te zabiegi tak dalece trwożyły, że nawet wtedy, gdy już prawie ukończono układy o Bonę z Maksymilianem, chce je trzymać przed Łaskim w tajemnicy, króla nieustannie strzeże, na Mazowsze mu jechać niedopuszcza, a Łaskiego obwinia, że się dał księżnie Mazowieckiej przekupić. Łaski uległ w walce z przeciwnikami; jakby przez ironią jego to wysyłano na Mazowsze w zastępstwie króla, aby księżnę z jéj stanami pojednał. Dotknięty do żywego—nie wypełnił téj misyi.

Przyjechała do Polski Bona; do Niemiec na sejm Augsburski wyruszył wróg Łaskiego Ciołek, aby wzywać Rzeszę do krucyaty na Turków i przyrzekać Maksymilianowi, że król polski w imieniu swego synowca króla czeskiego odda głos elektorski wnukowi cesarskiemu. Przymierze habsburskie trwało w pełnéj sile, Łaski nie miał na dworze co robić. W tym téż czasie zwraca się najgorliwiéj do spraw kościelnych, a równocześnie usilnie i skutecznie nad wyniesieniem swéj rodziny pracuje, przyczem nie zapomina przeciwników swych podkopywać.

Historya kościoła w Polsce tak bardzo leży dotąd odłogiem, że niełatwo nam znaczenie i doniosłość działalności Łaskiego na tém polu zrozumieć, nie łatwo zwłaszcza ocenić, w jakim stosunku zostawała do działalności jego poprzedników albo następców. Ze słów, jakiemi Zaborowski witał nowego prymasa, widoczna, że i dla kościoła w Polsce błogich oczekiwano skutków po jego zarządzie; testament Łaskiego, bibliografia dzieł jego, nakoniec skrzętnie zgromadzone z ksiąg kapituły gnieźnieńskiéj przez ks. Korytkowskiego świadectwa pokazują, że oczekiwania przynajmniéj w części usprawiedliwił. I tu cechuje go niezmierna ruchliwość i wielostronność. To zasiada na kapitułach, to gromadzi synody dyecezyalne lub prowincyonalne, to wreszcie w dalekie spieszy strony odbywać osobiście wizytacye kościelne. Podejmuje znaczne fundacye, o jeszcze liczniejszych zamyśla, które potém wcale do skutku nie przyszły. Każe ogłosić drukiem dawnych synodów ustawy, nowe w jedną całość zebrać poleca, wydaje mszały, brewiarze, agendy. Widocznie chodzi mu o to, aby wprowadzić w obrzędach kościelnych większy ład, porządek, jednostajność, szczególniéj od téj chwili, odkąd przywiózł z Rzymu dla siebie i swych następców godność urodzonego legata

niezbyt mile widzianą przez polskie duchowieństwo, które na synodzie prowincyonalnym granice władzy legata ściśle określić się starało. Godności téj z pewnością nie po to pragnął Łaski, żeby węzły łączące kościół polski z Rzymem obluźnić; widział w niéj tylko uświetnienie swojego stanowiska. Znamy już jego do Rzymu stosunek; kiedy nauka Lutra i w Polsce także zaczęła kiełkować, prymas nie mało się przyczynił do wydania ostrych edyktów królewskich. Z największą nienawiścią wyrażał się przed Erazmem z Rotterdamu synowiec prymasa o nauce i o osobie wittenberskiego reformatora (1).

Prawda, że nie sama gorliwość kościelna parła prymasa do ruchliwego działania na tém polu. Odepchnięty od rządu, na własną rękę krzątał się około celów politycznych i z kościelnémi je łączył. Kiedy śpieszył na Litwę wizytować tameczne dyecezye, ugruntować tam swoją prymasowską powagę, przynaglić do ogłoszenia jubileuszu, prowadzić śledztwo kanoniczne w celu kanonizacyi brata królewskiego św. Kazimierza, to zarazem chciał jednać panów litewskich dla ściślejszéj z Koroną unii. A gdy się wybrał na Prusy z pobożną pielgrzymką do miejsc męczeństwa św. patrona katedry gnieźnieńskiéj, to zarazem chciał się przypatrzéć sprawom W. Mistrza, z którym jeszcze podówczas nie załatwiono sporów, porozumiewać się z wysłańcem papieskim, który na Prusiech przebywał i Łaskiemu ukazywał znowu kapelusz kardynalski. Na to wszystko patrzy kapituła gnieźnieńska krzywém okiem, z wyraźną podejrzliwością; nieraz stawia Łaskiemu przeszkody, uskarża się na tę jego kosztowną ruchliwość, wzywa, aby dla oszczędności za przykładem innych biskupów na jedném osiadł miejscu i tylko na sejmy się udawał. W każdym kroku Łaskiego wietrzą niechętni mu jakąś myśl osobistéj korzyści, pewno nieraz i wtedy, kiedy takiéj myśli wcale nie było. Że jednak do tych podejrzeń były nieraz słuszne powody, daremnemby było temu zaprzeczać. I swoje opłacić długi i krewnych swych ubogacić majątkiem arcybiskupim, w sposób nie zawsze dosyć legalny, do tego nasz prymas aż nazbyt był skłonny.

Liczną miał prymas po swych siostrach rodzinę, a wzmianki w testamencie pokazują, że i o tych krewniakach pamiętał i nieraz im dobrodziejstwa wyświadczał. Przedewszystkiém jednak dbał o tych, którzyby świetność imienia utrzymać mogli, pomnożyć jeszcze ten blask, jakim przez niego nazwisko Łaskich zajaśniało. Brat prymasa, wojewoda sieradzki Jarosław, jak się zdaje, nie celował wielkiemi zdolnościami, skoro żadnéj głośniejszéj nie odegrał roli; nie miał też

(1) Ul. Hutteni Opera ed. Böcking II, 398—400.

i świetnych koligacyi, skoro wtedy, kiedy się żenił jeszcze Łascy niewiele znaczyli. Tego brata zasilał ciągle prymas, pomagał mu do skupowania nowych dóbr i posiadłości, wziął wreszcie całkowicie na siebie wychowanie synów i częściowe wyposażenie córek. Sam boleśnie czując brak wykształcenia naukowego, tém staranniejsze synowcom dać umyślił, do Rzymu zabrał dwóch starszych z sobą, potém pod staranną opieką na uniwersytet posłał do Bolonii. Jeszcze tam odbywali studya, a już prymas za powrotem do kraju świetną im przyszłość starał się przygotować. Kiedy najstarszy, Hieronim czyli Jarosław, śladem pradziada wędrował do Jerozolimy z Bolonii, prymas się krzątał, żeby mu wynaleźć świetną koligacyę, a równocześnie rozbić tem zastęp swoich w Polsce przeciwników. Nie bez trudu, jak się zdaje, przeszkodził Tomicki, że możny kasztelan poznański i starosta W. Polski Łukasz z Górki odmówił w końcu swéj córki, z którą zaślubić Jarosława Łaskiego prymas przedsięwziął, młodemu Górce ofiarując za to rękę bogatéj dziedziczki dwóch już wygasłych rodów, które między najmożniejsze w Polsce w 15 wieku liczono, Anny z Kurozwęk na Rytwianach, zostającéj pod opieką prymasa. Ją téż, gdy się pierwotny projekt nie udał, synowcowi swemu przeznaczył: (1) z nią posiadł wkrótce Jarosław Łaski ogromną fortunę, która odrazu postawiła Łaskich na równi z najmożniejszemi w Polsce rodzinami. Rozbudziło to więcéj jeszcze zawiści, narażało na mnóstwo procesów; i tu jednak umiał prymas poradzić i bogatym posagiem przynęcił synowicy, siostrze Jarosława, możnego małżonka Jana Tęczyńskiego, kojarząc Łaskich interesa z interesami téj znakomitéj Małopolskiéj rodziny (2).

---

(1) Żonę Jarosława młodszego nazwał Hubert, niewiedzieć dla czego, Anną Kościelecką (Hier Łaski w Bibl. Warszaw. 1861, tom III) i to niektórzy za nim do dziś dnia powtarzają, choć najmniejszéj nie podlega wątpliwości że była Kurozwęcką. Zapiski sądowe w Starodawnych prawa polskiego pomnikach, tom 2 i 6, pokazują że Mikołaj z Kurozwęk wojewoda lubelski (brat kanclerza Krzesława) zaślubił dziedziczkę Rytwiańskich, Ewę, która mu wniosła Rytwiany. Z tego małżeństwa było troje dzieci: Adam, Hieronim i Elżbieta wydana za Oleśnickiego. Obaj bracia umarli jak się zdaje młodo, po Adamie została jedynaczka, ta właśnie Anna któréj przypadły Rytwiany (ztąd bywa zwana także Rytwiańską choć jéj ojciec był Kurozwęcki) z szeregiem wsi, po Hieronimie zaś Kurozwęckim pozostały 2 córki, w r. 1521 jeszcze nieletnie, Anna i Barbara, na które przypadały Kurozwęki również z wielu wsiami. O opiekę nad niemi i zarząd ich majątkiem toczyły się wtedy (1521) procesy, a równocześnie Anna Łaskiego Jarosława żona procesowała się o swoje dobra z Przemysławem Lackorońskim i z Janem Pileckim.

(2) Katarzyna z Łaska, wydana za Tenczyńskiego, otrzymała 3000 zł. posagu, gdy inne jéj 2 siostry dostały tylko po 1000 zł. tj. po 500 od ojca a drugie tyle od stryja prymasa, Zeissberg, Testament, 179 (695).

Dla drugiego synowca i swego imiennika Jana przeznaczał prymas wysokie w przyszłości dostojeństwo w kościele. Jan jeszcze był bolońskim studentem, gdy mu stryj niemałym w Rzymie nakładem szereg dostatnich beneficyów duchownych już zapewnił. W ciągu jednego roku (1517) zostaje młody Jan kanonikiem i kustoszem łęczyckim, kanonikiem płockim, otrzymuje koadjutoryą kanonii krakowskiéj i dziekanii gnieźnieńskiéj, którą już w rok potém posiadł istotnie. Jemu téż wydzierżawia prymas dwa najważniejsze klucze swoich dóbr arcybiskupich; lecz niebawem właśnie ta sprawa sprowadza groźny konflikt z kapitułą gnieźnieńską. Bo gdy prymas chciał tę dzierżawę nie tylko na cały czas swego żywota rozciągnąć, ale nawet na kilka lat dłużéj jeszcze, to pomimo pozwolenia papieża oddzielną bullą i mimo zgody króla, kapituła wystąpiła z ostremi wyrzutami i tak silnym oporem, że się na zwykłéj dzierżawie dalszéj skończyło. Musiał prymas niemało gorzkiéj prawdy wysłuchać; nie posłuchał jednak rad, których nie szczędzono, nie zasiadł spokojnie na jedném miejscu: właśnie teraz mu do działania otwierało się pole.

Trwające od kongresu wiedeńskiego przymierze habsburskie nie przyniosło jeszcze Polsce żadnych korzyści. W. Mistrz Albrecht za przykładem poprzednim cesarza z Moskwą się wiązał i ani myślało hołdzie. Maksymilian zaś napotkał w zabiegach u Rzeszy o elekcyą wnuka potężnego rywala we Franciszku francuzkim, który także korony cesarskiéj zapragnął. Gdy tymczasem Maksymilian umarł, gdy się na walne starcie obu rywalów przy elekcyi, Karola i Franciszka, zaniosło, gdy i francuzcy posłowie do Polski zjechali, najgorliwsi dotąd przymierza austryackiego zwolennicy na dworze polskim nie mogli nie dostrzedz wyraźnie, że wybór króla francuzkiego pod każdym względem nierównie lepiéj interesom polskim dogadzał. Aniby król francuzki jako cesarz strzegł w Prusiech interesów niemieckich zbyt gorliwie, aniby popierał austryackich do Węgier i Czech pretensyi, których urzeczywistnienie w żadnym razie dla Polski nie było pożądaném. To téż poselstwo francuzkie znalazło w Polsce wcale przychylne przyjęcie, tylko stanowczo nie chciano się jeszcze związać, aby na wszelki wypadek nie zrażać sobie i Karola; zwłaszcza że tu wchodziła w rachubę sprawa o Bari neapolitańskie, podległe Karola zwierzchnictwu. I jemu czyniono obietnice, aby jakkolwiek elekcya w Rzeszy wypadnie mieć cesarza przyjacielem.

Wiadomo, że polscy posłowie wcale w wyborze cesarza nie wzięli udziału, że koronę posiadł król hiszpański, a skutkiem tego na wojnę jego z Francyą się zaniosło. Spodziewano się w Polsce, że zajęty walkami we Włoszech nie będzie mógł na wschód zwrócić uwa-

gi: tę właśnie chwilę, pod koniec 1519 r., wybrano do podjęcia nareszcie wojny przeciwko Zakonowi.

Skoro się przymierze z Habsburgami chociaż chwilowo tylko zachwiało, skoro się przecież w Polsce do energiczniejszych gotowano kroków, prymas Łaski nie mógł pozostać zdala. Posłyszawszy, że sejm na pograniczu Prus w Toruniu ma się zebrać dla narady o przyszłéj wojnie, zaraz śpieszy do króla ze stanowczą jak zawsze radą, aby natychmiast nie czekając sejmu wojnę rozpocząć, zanim się Zakon do niéj przysposobić potrafi. Ostrożny Tomicki z oburzeniem o tém wspomina; królowi widocznie projekt Łaskiego nie przypadł do smaku: ale prymasa nie zraża to bynajmniéj. Odtąd go przez czas jakiś przy boku Zygmunta nieustannie widzimy: i po sejmie, który wojnę uchwalił, przebywa z królem na Prusach, zajmuje się gorliwie uzyskaniem pożyczki od duchowieństwa na koszta wojny, obiecuje podatki, które przyszły synod uchwali, a wpływ jego powoli zaczyna się podnosić i równoważyć wpływ Tomickiego. Podkanclerzy chory właśnie, nie mogąc spełniać obowiązków swojego urzędu, z największą niechęcią musi na to patrzéć, że prymas go w przyjmowaniu posłów zastępuje, że synowiec prymasa, Jarosław, dostaje urząd na dworze, mianowany przez króla krajczym koronnym, wreszcie że ten sam młody Jarosław Łaski ma jechać jako poseł do cesarza, powitać go, asystować koronacyi w Akwizgranie, wytłómaczyć mu Polski do Prus prawa, odwieść go od wspierania Krzyżaków—a następnie ma udać się i do Francyi, by rozpoznać, czy Franciszek zechce z Polską wejść w ściślejsze stosunki.

Cóż to znaczyło że po raz pierwszy rząd Zygmunta Starego słał swego posła do Francyi? Dr. Hirschberg ma gotową na to odpowiedź. To król Zygmunt się przekonał, że przymierze habsburskie nie na wiele się przyda, to podkanclerzy Tomicki spełniając wolę króla z Francyą nawiązać stosunki przedsięwziął. Jarosław Łaski nazbyt był jeszcze młody, żeby mógł sam cośkolwiek na własną podjąć rękę; był on tym razem jedynie planów Tomickiego wykonawcą. Tylko zapomina dr. Hirschberg, że król Zygmunt „nic nie czynił sam u siebie,“ a przedewszystkiem wcale nie probuje wytłómaczyć, dla czegóż to dla tak ważnéj misyi nie umiał znaleźć Tomicki żadnego innego, doświadczonego dyplomaty, których przecież zdaniem dr. H. podówczas w Polsce nie brakło; dla czego wybrał właśnie tego, o którymby nigdy nie powinien pomyśléć, synowca swego zawziętego rywala, młodego i bez doświadczenia, o którego talentach dyplomatycznych nikt jeszcze nic nie wiedział. Już sama ta okoliczność każe nam tłómaczenie dr. H. uznać za bardzo nieprawdopodobne; a jeśli jeszcze widzimy w poufnych listach Tomickiego, z jaką to zazdrością i nie-

chęcią spogląda właśnie w téj chwili na zabiegi prymasa, jak to właśnie najbliżsi prymasowi otrzymują senatorskie godności (Miedzieleski biskupstwo kamienieckie), jeżeli właśnie teraz sypią się na prymasa zjadliwe Krzyckiego epigramata: to chyba już dowód nieomylny, że co czynił w téj chwili król, czynił pod wpływem prymasa Łaskiego. Jego to więc pomysły wykonać miał najbliższy mu, dwudziestokilkoletni krajczy koronny; za jego to, prymasa, sprawą Zygmunt nie zrywał wprawdzie z Karolem V, lecz się już gdzie indziéj oglądał, gdyby i nadal przymierze habsburskie większych niż dotąd nie przyniosło pożytków. Mógł z tém prymas łączyć nadzieję, że Tomickiego albo od boku króla całkiem usunąć albo zjednać sobie potrafi. Tomicki właśnie został biskupem poznańskim i król nie mogąc się rozstać z tak miłym sobie doradzcą, pieczęć mu nadal zatrzymać pozwalał: ale było to wbrew ustawom, a ztąd się podkanclerzy na wiele napaści narażał.

Tymczasem trwała daléj wojna w Prusiech jak najlepsze rokując zrazu nadzieje. I pruskie i polskie źródła stwierdzają najwyraźniéj, że jeśli kiedy, to teraz właśnie była chwila jedyna, żeby Zakon i Albrechta zupełnie z Prus wyrzucić. Położenie W. Mistrza było rozpaczliwe, w Prusiech grozili wszyscy, że wnet go opuszczą, już się wielu, jak biskup pomezański ze swą dyecezyą, Zygmuntowi poddało, już wojska królewskie stały pod murami Królewca; jeszcze chwilę, a Albrecht nie miałby żadnego ratunku. Nawet Tomicki, choć wyznaje, że pokoju pragnął najmocniéj, uważał przerwę działań wojennych w téj chwili za zgubną i haniebną. A jednak Zygmunt Stary na zawieszenie broni dla układów teraz pozwolił. Podjęto je z przybyłym do Torunia Albrechtem, przedłużono następnie rozejm, aż się Albrecht posiłków z Niemiec doczekał i z Torunia natychmiast zrywając rokowania oddalił. Przeminęło wprawdzie szczęśliwie niebezpieczeństwo od landsknechtów, którzy oblegać Gdańsk poczęli; Albrecht się z nimi połączyć nie zdołał i znów z całą siłą polską niebawem musiał walczyć; ale chwila pomyślna minęła niepowrotnie; wdali się pośrednicy: papiescy, cesarscy, węgierscy, różnych książąt niemieckich i stanął rozejm czteroletni, który całą tę sprawę pruską pod sąd arbitrów poddawał, to jest cofał znów na to stanowisko, na którém się przed wojną znajdowała.

Nikt wytłómaczyć nie umie, jakim sposobem to się stać mogło, kto winien, że bez skutku zmarnowano całoroczne wysiłki wojenne, kto z radzców koronnych przywiódł króla do tak zgubnéj decyzyi. Niewątpliwie wiadomości z południa o groźnem wystąpieniu Turków, którzy niebawem potém klucz do Węgier, Belgrad, zdobyli, nie były bez wpływu na króla; może i sejm toruński odegrał tu jakąś rolę:

bądźcobądź, to co się w Prusiech ze strony polskiéj w r. 1521 stało, jest dowodem takiego niedołęztwa, jakie się nader rzadko spotyka: odtąd już było niemożebném pomyślne rozwiązanie sprawy pruskiéj.

Jaką w tém wszystkim odegrał prymas rolę? nie wiemy wcale. Znając dawniejsze jego rady zawsze do energicznych kroków wiodące, trudno przypuszczać, żeby na niego także część winy tego niedołęztwa miała spadać. Wpływem zresztą na króla, który w początkach wojny zaczynał znów wywierać, nie cieszył się widocznie zbyt długo ani niepodzielnie; bo właśnie teraz mocno się stara, aby się z Tomickim mógł pojednać w taki sposób, któryby i rodzinie prymasa nowe przyniósł korzyści. Nęci prymas swego rywala widokami następstwa po sobie; ofiaruje mu koadjutoryą arcybiskupstwa, byleby zato i Tomicki już teraz przybrał sobie koadjutora w biskupstwie poznańskiem (Latalskiego), który znów swoich dostatnich prebend na rzecz młodego Jana Łaskiego się zrzecze. Lecz chociaż prymas do tego planu i potém wytrwale wracał, Tomicki nie chciał się w żadną od niego podać zawisłość, a pieczęć, któréj będąc prymasem nie mógłby żadną miarą zatrzymać, cenił sobie nierównie wyżéj niż naczelne wśród duchowieństwa stanowisko. On pewno sprawił, że i kanclerz Szydłowiecki odstąpił całkiem prymasa, że nawet wroga prymasowego Ciołka wziął w swą opiekę, chociaż dla zamysłów prymasa przyrzeczoną dzierżawą dóbr arcybiskupich już był zjednany. Odtrącony przez przeciwników, musiał prymas z głównym z nich, Tomickim, prowadzić walkę; zrazu udało mu się odnieść w niéj powodzenie.

O pierwszém Hieromina Łaskiego do Francyi poselstwie nic zgoła niewiadomo, ani kiedy je u Franciszka I odprawił, ani jakie były najbliższe tego skutki. Może brak aktów do téj sprawy w Tomicyanach wskazuje, że nie przez Tomickiego szła ona ręce; może we Francyi w pierwszéj chwili nie zbyt skwapliwie pochwycono dłoń dość nieśmiało wyciąganą z Polski. Ale odkąd cesarz Karol rozpoczął walkę o Medyolan, odkąd zwłaszcza jego we Włoszech armie zaczęły pierwsze odnosić powodzenia, odtąd i na wschód, na nieprzyjaciół tam habsburskich, zwrócono we Francyi uwagę, a poseł francuzki Rincon zjechał na dwór krakowski i do Węgier się udał. Nie z królem Ludwikiem jednak, opanowanym zupełnie przez stronników austryackich, miał traktować, lecz dążył do Zapolyi, na którego, bardzo być może, Łaski to Franciszkowi ukazał. Groźne Zapolyi ze stronnictwem narodowém wystąpienie przeciwko dworsko-austryackiéj partyi w tym właśnie czasie, 1523 r., pewno w związku z tém poselstwem zostaje; a to znów i podobne objawy w Czechach

niewątpliwie na stanowisko rządu polskiego wpłynęło. Były ważne powody, które od przymierza austryackiego mogły Zygmunta odstręczać: w Czechach a zwłaszcza w Węgrzech wpływ austryacki wzrastał nieustannie, odkąd małżeństwa w Wiedniu ułożone przyszły do skutku; dla Polski nic dotąd téj szkody nie nagradzało. Cesarz nawet w sprawie sukcesyi barskiéj robił jeszcze trudności, za W. Mistrzem wśród wojny pruskiéj się oświadczył, co najgorsza, znowu przymierze z W. Ks. Moskiewskim odnowić pragnął i pewne w tym celu już czynił kroki. To wszystko każdy mąż stanu polski musiał uznać szkodliwém i szukać sposobu odparcia. Ale skoro widzimy, że właśnie w tym samym czasie, gdy się w Polsce na bliższe z Francyą porozumienie zaniosło, prymas Łaski gorąco przeciw Tomickiemu w sprawie pieczęci pomiędzy szlachtą agituje, że długie potajemne miewa u króla posłuchania, że Jarosław Łaski w szybkiem po sobie następstwie raz po raz nowe bierze wysokie dostojeństwa, a wreszcie on to powtórnie do Francyi jedzie jako poseł: to trudno w tém nie uznać wskazówki, z któréj strony popęd do francuzkiego przymierza pochodził, trudno przypuścić, żeby to wszystko przypadkowym tylko miało być zbiegiem okoliczności. Łascy to niewątpliwie pchali króla w objęcia Francyi, a Tomicki i inni ich przeciwnicy nie mieli dostatecznego powodu, żeby się temu opierać. Króla nęciła najbardziéj świetna z możnym dworem francuzkim koligacya; żeby ją ułatwić wynaleziono dla królewskiéj córki pokaźny bardzo, chociaż problematyczny dosyć, posag: pretensye Bony do Medyolanu, oparte wprawdzie na kruchych nader podstawach, o których za to tém głośniéj zaczęła dyplomacya polska rozprawiać.

Na tym gruncie Jarosław Łaski doprowadził teraz do skutku ścisłe z Francyą przymierze (1) i ułożył podwójne dzieci królewskich małżeństwo, właśnie w téj chwili, gdy Franciszek na nowo najechać Włochy ze świetną armią i wydrzeć Karolowi Medyolan się gotował. Liczono na to, że i papież się przeciw cesarzowi oświadczy; Jarosław Łaski miał po to jechać do Rzymu (czy pojechał—nie wiadomo zgoła); prymas Łaski zawsze dbały o dobre z Rzymem stosunki, ofia-

(1) W ostatniéj swéj pracy: Przymierze z Francyą z r. 1524 dr. Hirschberg bardzo starannie zebrał wszystko, co się do tego przymierza odnosi i bardzo trafny wydał sąd, (szkoda że ukryty w przypisku) o polskiéj dyplomacyi ówczesnéj i o zachowaniu się Zygmunta I. Tylko mojem zdaniem do mniemanych praw Bony do Medyolanu nazbyt wielką przywiązuje wagę, a za to nie dosyć podnosi tę okoliczność, że wydanie córki za mąż za francuzkiego księcia było dla Zygmunta nader ważném i pożądaném. Zbyteczna wreszcie dodawać, że przecząc istnieniu stronnictw za Zygmunta, nie rozróżnia dr. H. wcale że to z różnych stron działały na króla różne wpływy. Zob. jednak Łukasa recenzyą w Ateneum z Marca b. r.

rowywał Klemensowi VII, że i jego, rozejm świeżo między Polską a Turcyą zawarty, może objąć. Bo myśli o krucyacie nie zrzekano się wprawdzie, ale ją aż do czasu odłożyć należało, kiedy włoskie wojny się skończą. Wtedy i król francuzki dałby Polsce i Węgrom pomoc przeciw Turkom; to także ułożone przymierze zastrzegało.

Twórcy traktatów z Francyą z pewnością mieli zamiar, żeby ze strony polskiéj czynniéj niż dotąd w Węgrzech i Czechach wystąpić przeciw wpływom austryackim. W jaki sposób—to najlepiéj pokazują groźne zajścia węgierskie w roku następnym (w lecie 1525), oddalenie wszystkich dotychczasowych urzędników, których miejsce reprezentanci stronnictwa narodowego zajęli. Prymas Łaski naglił wtedy usilnie Zygmunta, aby się sam osobiście udał na Węgry i tam jako rozjemca wśród różnych partyi wystąpił; Tomicki bawił zdala od dworu, gniewny, że wbrew jego życzeniom król biskupstwem poznańskim rozporządził:—to także za wskazówkę może posłużyć. Ale Zygmunt już ochłódł znacznie: klęska pod Pawią Franciszka, przy którego boku walczył najmłodszy z Łaskich Stanisław, wtrąciła go napowrót w zwykłe wahanie.

Wprzód jednak zdobył się rząd polski na krok wymagający do pewnego stopnia energii, na rozwiązanie ostateczne sprawy pruskiéj. Sprawa sekularyzacyi Prus jest dotąd niewyjaśnioną zagadką pod tym względem, że zgoła nic nie wiemy, co rząd polski do tego kroku w następstwach swoich tak szkodliwego mogło popchnąć. Nie miejsce tu nad tą sprawą zastanawiać się bliżéj, zwłaszcza, że niewiadomo nic, czy i jaki w niéj brał prymas Łaski udział. Mimochodem więc chyba wspomnieć należy, że wiele prawdopodobieństwa ma to, co dr. Hirschberg powiada, jakoby sekularyzacya Prus pozostawała w związku z przymierzem francuzkiem Zygmunta. A przytém trzeba pamiętać, że w Polsce nikt już w téj chwili, jak się zdaje, wcale nie przypuszczał możności wcielenia Prus Zakonnych do Polski bezpośrednio. Trudniejszém to z pewnością było obecnie o wiele, niż przed czterema laty, kiedy przecież Albrechta, choć można było, nie wyparto. Pamiętać trzeba także, że sekularyzacya Prus zwracała się przedewszystkiém przeciwko cesarzowi i Rzeszy. Zakon był stanem Rzeszy i dotąd, w ostatnich czasach, jednym ze stanów bardzo gorliwych. Zakonu zniszczyć Polska niemiała sposobu, bo chociaż Prusy były najważniejszą Zakonu posiadłością, nie były jednak wcale jedyną; w Niemczech miał ich, choć rozrzuconych, tyle, że razem pewno się Prusom równały. Zakon téż, jak wiadomo, pomimo sekularyzacyi Prus nie przestał istnieć tak długo, jak długo dawna Rzesza niemiecka istniała, do 19 wieku, imiennie dziś jeszcze istnieje. Tę

łączność Prus przez Zakon z Rzeszą sekularyzacya przecinała zupełnie; lenny w Prusach książę nietylko członkiem Rzeszy być przestał, ale stawał i z Rzeszą i z cesarzem w konflikcie, na swego nowego zwierzchnika wyłącznie się musiał oglądać i ulegać mu nieustannie we wszystkiém. Dalszego postępowania już było rzeczą, żeby powolne wcielenie Prus do Polski bez wstrząśnień przygotować i w stosownéj chwili go dokonać. A nakoniec pamiętać trzeba także, iż uznanie w Prusiech zlutrzonego księcia, współczesnym nie zdawało się religii katolickiéj i kościołowi tam zagrażać. Wśród współczesnych, w obu obozach religijnych, nikt jeszcze wtedy nie wątpił, że rozdział kościelny jest chwilowy, że go najbliższy sobór, dokonawszy reformy, usunie, że jedność religijna znów powróci. Dla współczesnych było to tylko kwestyą czasu, prawdopodobnie nie zbyt odległego. Tak téż Prus sekularyzacyą wszyscy współcześni pojmowali: na dworze cesarskim panowało najwyższe oburzenie, udawano, że taki skandal, króla Zygmunta jako opiekuna herezyi niesławą okryje u wszystkich katolickich monarchów. W Rzymie natomiast Klemens VII, cesarzowi niechętny, przyjął wiadomość o tém dość chłodno i z uśmiechem powiadał, że widocznie król polski, jak to i inni czynią, woli prosić papieża o zatwierdzenie już spełnionego czynu niż naprzód o pozwolenie się starać. Niebawem nawet przysłał papież królowi poświęcony miecz i kapelusz, coby nastąpić nie mogło, gdyby tam za skandal sekularyzacyą Prus uważano.

W taki sposób wypadek ten pojmując mógł i prymas Łaski do sprowadzenia go się przyczyniać, aby rozwiązać ręce królowi dla działania na południu; prawdopodobniejszem jednak się wydaje, że to ostrożniejsi mężowie stanu polscy, nie tak jak prymas ryzykowni, chcieli przynajmniéj na północy mieć spokój. W każdym razie na szkodę kościoła katolickiego Łaski nie myślał działać: był jednym z pierwszych, którzy wobec zaburzeń gdańskich królowi ostre kroki radzili, a za gorliwe herezyi tępienie od papieża odbierał pochwały. A gdy się Zygmunt wedle rady prymasa do Gdańska wybrał, Hieronim Łaski mu towarzyszył: otrzymawszy już przedtém ekspektatywę na starostwo malborskie, może w nagrodę za swe poselstwo do Francyi, teraz nalegał na króla, aby je obecnemu staroście odebrano i zaraz jemu oddano w zarząd.

Dla czego pragnął właśnie tego starostwa, które trzymał Stanisław Kościelecki, wojewoda poznański, trudno zrozumieć; Kościeleccy byli przecież z Łaskimi w powinowactwie. Może więc tu jakieś waśni rodzinne w grę wchodziły. To pewna, że takiem żądaniem, koalicyą wszystkich przeciwników rodziny Łaskich wywołano. Bo do-

żywotność starostw, to jeden z punktów kardynalnych, którego strzegli senatorowie jak oka w głowie. Cały więc długi szereg najznakomitszych panów rady z obu kanclerzami na czele wystosował petycyą do królowéj Bony, która właśnie teraz wpływ znaczny na Zygmunta zaczynała wywierać. Przedstawiano jéj, jaką to byłoby dla wojewody poznańskiego hańbą, gdyby go bez przyczyny starostwa pozbawiono, jak to jest rzeczą niestosowną, aby najważniejszą na Prusach twierdzę powierzano niedoświadczonemu młodzikowi. Błagano więc królowéj, aby takiéj niesprawiedliwości niedopuściła (1) — wiedziano dobrze, że osobiście Bona Łaskich niecierpi.

To wystąpienie okazuje, że wpływ Łaskich na króla musiał być wtedy jeszcze bardzo wielkim, skoro aż tak poważnych chwytano się przeciw niemu sposobów. Istotnie nie zbyt dawno Zygmunt dał prymasowi nowe swéj przychylności dowody, jakich teraz pożądał on najbardziéj: nowe dostatnie prebendy duchowne dla młodszego synowca Jana. Ale to wystąpienie całego szeregu najpoważniejszych senatorów nie moglo pozostać bez wrażenia na Zygmunta, który zwykł „czynić wszystko, czego zechcą ważni senatorowie." Zresztą reakcya, która w Węgrzech rychło po przeszłorocznych zajściach nastąpiła przeciw Zapolyi, prymasa sprzymierzeńcowi, musiała znowu wpływ jego podkopać; a pogrom turecki pod Mochaczem zadał mu cios ostateczny. Nie tylko Jarosław Łaski nie otrzymał starostwa malborskiego, o co odtąd najgłębszą do Tomickiego chował urazę, ale i stryja rady król zaprzestał zupełnie słuchać, ani nawet nie zasięgał już odtąd jego zdania (2). Odtąd czego chciał prymas, na własną musiał tego probować rękę.

Przerażająca pod Mochaczem klęska, a więcéj jeszcze śmierć w niéj króla Ludwika, sprowadzała dla Polski i wielkie niebezpie-

---

(1) Oryginał tego aktu (drukowanego w Act. Tom. VIII, 69) z podpisami i pieczęciami 17 senatorów duchownych i świeckich znajduje się w Bibliotece XX. Czartoryskich Ms. 262, bez daty jednak dnia, na któréj wpisanie zostawiono okienko, a to podaje w wątpliwość, czy akt został istotnie Bonie doręczony. Może osiągnąwszy bez interwencyi królowéj to, czego żądano od króla, nie złożono już jéj téj petycyi; bo myli się Dr. Hirschberg mniemając, że skoro król expektatywy starostwa Łaskiemu nie odebrał, to widocznie wystąpienie owo senatorów pozostało bez skutku; w tym wypadku chodziło o wypełnienie expektatywy, tego dopominał się Łaski a temu skutecznie przeszkodzono.

(2) Uskarżał się potém prymas, że już oddawna nie pyta go król o zdanie oprócz na sejmie (w liście do Zygmunta z 20 kwietnia 1528 r.). Korzystając w dalszym ciągu z niewydanych Tomicyanów rękopiśmiennych, nie robię szczegółowych cytatów, bo jak wiadomo, istnieją różne redakcye i różne odpisy Tomicyanów, w których pojedyncze akta w różnych téż stoją miejscach.

czeństwo i kłopot ogromny. Że po jedynéj bitwie całe Węgry bezbronne stanęły Turkom otworem, to najwyższą na wszystkie strony roznieść musiało trwogę. Ale kłopot prawdziwy ztąd dla rządu polskiego nastał, że obie zawakowały przez Jagiellonów dzierżone dotąd korony, w Czechach i w Węgrzech. Wiedziano w Polsce doskonale, że po obie korony sięgnie teraz Ferdynand austryacki; lecz każdy w Polsce rozumiał, od króla do ostatniego szlachcica, że takie usadowienie się pod bokiem Polski Habsburgów i to w téj chwili, kiedy potęga cesarza wszędzie dotąd okazywała się zwycięzką, najgroźniejsze na przyszłość stworzyłoby położenie. Jak temu jednak zapobiedz? Mogli w poprzedniem pokoleniu Jagiellonowie sięgnąć sami po spadek Podjebrada i Korwina, bo Kazimierza otaczało grono dorosłych synów, którychby na więcéj jeszcze tronów starczyło. Teraz ród cały składał tylko jeden starzec i jedno dziecię; starzec ledwo mógł rządom trzech swoich państw wydołać (prócz Litwy jeszcze i Prus ściślejsza z Polską unia nie łączyła), dziecięciu przedewszystkiem następstwo po ojcu należało zapewnić. Dziwić się zatém nie wypada, że król Zygmunt nie pragnął węgierskiéj ani czeskiéj korony. W danych warunkach jedną tylko miał rząd polski, jedyną drogę, jeśli nie chciał dopuścić w Węgrzech i Czechach sukcesyi habsburskiéj: musiałby oświadczyć się odrazu i stanowczo za Ferdynanda rywalami, o ile który tu lub tam miał najwięcéj widoków powodzenia. Byli tacy rywale: w Czechach książęta bawarscy, w Węgrzech ten magnat, który oddawna bożyszczem był partyi narodowéj, a sam tylko marzył o koronie królewskiéj. Można było się z nimi połączyć ściśle: za pomoc choćby dyplomatyczną każdy z nich był gotów poddać się Polski przewodnictwu; związać ich powinowactwem żadnéj nie przedstawiało trudności, nawet zapewnić sobie mogli polscy Jagiellonowie w którym z tych krajów następstwo na lepsze czasy, gdyby król Zygmunt jeszcze się miał doczekać drugiego syna. Tylko trzebaby działać szybko i energicznie; tego obecne otoczenie Zygmunta nie umiało; tylko trzeba było na możliwe niebezpieczeństwo gniewu i nieprzyjaźni habsburskiéj się narazić: na to nikt z panów rady na dworze, odkąd Łaskich od króla odsunięto, nie miał dosyć odwagi.

Chwycono się więc półśrodków nie prowadzących do żadnego zgoła celu. Tradycya dynastycznéj dawniejszéj polityki była jeszcze tak silną, że podjęto zamiar starania się dla Zygmunta, przynajmniéj o koronę węgierską, czy to żywiąc nadzieję, że Ferdynand na koronie czeskiéj poprzestanie, gdy mu się tu nie będzie żadnéj stawiać przeszkody, czy téż żeby przecież cośkolwiek uczynić, nie licząc na skutek szczęśliwy. Takby się prawie zdawało; działano niezręcznie

i nieśmiało, o powodzeniu kandydatury polskiéj w Węgrzech nie mogło być teraz wcale mowy. Ferdynand został królem czeskim bez wielkich trudności, ale Węgrzy żadnego nie chcieli cudzoziemca: zanim posłowie polscy zjechać tam zdążyli, już Zapolyę z zapałem okrzyknięto królem i koronowano niezwłocznie. Jak wiadomo, niepowstrzymało to stronników, chociaż nielicznych, Ferdynanda: niebawem i jego téż królem węgierskim obwołano, lecz królestwo musiałby sobie dopiero zdobywać.

Z obu stron słano do Polski, z obu stron żądano praw swych uznania, pomocy, gdy się na walkę zaniosło. Rząd polski postanowił najściślejszą zachować neutralność. Przyjmowano posłów od obu królów węgierskich, żadnemu tego tytułu nie odmawiano, każdego zapewniano, że Zygmunt mu sprzyja szczerze, z całego serca, ale po za to ani na jeden krok nie chciano postąpić. Powołując się na przymierza, które Polskę z obu państwami wiążą, na powinowactwo, które łączy Zygmunta z obydwoma rywalami, odmawiano wytrwale wszelkiéj czynnéj pieniędzmi lub zbrojnymi pomocy. Odkąd wojna w Węgrzech zawrzała, ogłoszono edykt królewski, którym wzbroniono komubądź z kraju za granicę się dla walki udawać. O jedno tylko starano się nieustannie i wytrwale, przed wojną i wśród wojny: o zgodę pomiędzy obu współzawodnikami. Bezustannie podejmował się dwór polski pośrednictwa; bezustannie szły z kancelaryi koronnéj odezwy, w których wymownémi słowy wychwalano dobrodziejstwa pokoju; raz po raz jeździli posłowie polscy dobro chrześciaństwa, niebezpieczeństwo od Turków, walczącym stawiać przed oczy.

Był niejeden powód i słuszny, który do takiego stanowiska zachęcał. Wdzięczności Zygmunt sobie tém nie zjednał u żadnéj strony. Zapolya, król Jan—jak go w Polsce zwano powszechnie—uskarżał się z goryczą, że go szwagier opuszcza i najsłuszniejszą jego sprawę tém gubi, że łamie dawne układy familijne, które wspierać we wszystkiem przyrzekł mu uroczyście. Oddawał to pod sąd swych sprzymierzeńców i dyplomy układów słał do Francyi. A gdy opuszczony przez swoich i rozbity, do Polski z garstką wiernych musiał się schronić, żalił się z oburzeniem, że go nawet król w nieszczęściu przez posła żadnego nie nawiedzi, że mu w ciężkiem strapieniu żadnego nie okazuje współczucia. Ferdynand ze swéj strony nieustanne czynił wyrzuty, że z Polski mimo zakazów królewskich dla Zapolyi idą posiłki; nastawał na to, że z Tarnowa Zapolya szerzy na Węgrzech agitacye, że go panowie polscy w tém wspierają; żądał przez posłów i listownie, aby mu pobytu w Polsce wzbroniono.

Król i podkanclerzy nie dali się niczem zbić z raz obranéj drogi Tomicki wymówił się chorobą, gdy Zapolya jego i innych panów polskich na zjazd osobisty zapraszał; starał się odwieść innych, żeby nie brali w tym zjeździe udziału. Ale Ferdynandowi odpowiadano równocześnie, że lepiéj o wiele dla niego, aby Zapolya przebywał w Polsce, niż by ztąd wydalony miał u Turków lub innych wrogów habsburskich szukać przytułku. Ztąd na dworze i Ferdynanda i cesarskim miano rząd polski wciąż w podejrzeniu i w szczerość oświadczeń neutralności nie chciano wierzyć.

Bo istotnie urzędową politykę polską mało kto w kraju pochwalał. Spieszono zewsząd pod chorągwie Zapolyi, dopóki walczył w Węgrzech; król patrzał na to przez szpary, nawet poufnie, w tajemnicy, udzielał pozwolenia, byleby tylko neutralność nie była naruszoną. Lecz kto tę neutralność potępiał, ten bynajmniéj nie trwożył się o to, czy jéj przypadkiem nie skompromituje, owszem skompromitować ją pragnął, przywieść króla koniecznie, żeby z neutralności wyszedł, wciągnąć go w antihabsburskie przymierze. Tego pragnęli Łascy i na własną téż rękę odmienną od urzędowéj zaczęli prowadzić politykę. Jarosław Łaski był jednym z pierwszych, którzy do Zapolyi na Węgry pośpieszyli i niebawem rozgłośną począł odgrywać rolę w króla Jana usługach. Zręcznie potrafił on omylić czujność straży austryackich i uniknąć zasadzek, przedarł się na zachód: we Francyi i w Anglii, w Danii i u wszystkich domu Habsburskiego wrogów znalazł chętne przyjęcie. Wszędzie zjednał dla króla węgierskiego przymierza, z Francyi nawet pomoc pieniężną uzyskał i napowrót do swego pana potrafił wrócić. A gdy Zapolya przed Ferdynandem musiał uchodzić, Łaski poważył się na krok stanowczy. Wysłany do Stambułu, tu dopiero całą swą zręczność dyplomatyczną rozwinął. Bez haraczu, bez jakichbądź warunków upokarzających, pozyskał dla Zapolyi uznanie przez Sułtana i sułtańską opiekę, w potrzebie pomoc przeciw Ferdynandowi. Dumny z takich powodzeń wracał do Polski: przodem słał wypowiedzenie wojny (t. zw. dyffidacyą) Ferdynandowi i jego w Węgrzech stronnikom, na swych w Polsce przeciwników otwarcie się odgrażał. „Już mi zęby wyrosły, nie tylko szczekać, ale i kąsać potrafię,“ pisał przypominając, jak go Tomicki „niby młodego psa od misy“ odegnał od starostwa malborskiego, że jeszcze z niego młodzieniaszek. Podkanclerzy obawiał się nawet jakiego na swą osobę zamachu, i ze skargą się zwracał do króla, z prośbą, aby go swą opieką zasłonił.

I Ferdynand skarżył się znowu przed Zygmuntem, że Jarosław Łaski jego nadużył imienia, że mianując się posłem polskim przez kraje Ferdynanda się przedostał; skarżył się szczególniéj na ową

dyfidacyą i pogróżki Turkami. Król się też mocno obruszył, o ostrych zamyślał środkach, chciał Łaskiego zapozwać i urzędu pozbawić, że przekroczył królewskie zakazy. Najbardziéj gniewało króla, że Łaski sam od siebie zawarł także 10-letni rozejm z sułtanem w imieniu Polski, pod warunkiem, że Zygmunt będzie wspierał Zapolyę. Tomicki podzielał oburzenie królewskie, lecz doradzał cierpliwość i odwłokę: odkąd Zapolya ufny w przymierze tureckie na Węgry znowu się wracał, trzeba się było i z Łaskimi bardziéj liczyć. Rozejmu, który przywiózł Łaski, nie przyjęto, ale przed niebezpieczeństwem od Turków strzeżono się bardzo; oddzielny poseł polski do Stambułu przywiózł ztamtąd 5-letnie zawieszenie broni bez wszelkich neutralność naruszających zastrzeżeń. Dla tego odmówiono i Ferdynandowi, gdy niebawem dla walki z Turkami prosił Zygmunta o pożyczkę. Dla tego nawet się napozór z Jarosławem Łaskim, gdy ten na chwilę do Polski przybył, podkanclerzy pogodził i przyrzekł gniew króla ostudzić, a Łaskich sprawy popierać.

A prymas Łaski, wypada nam zapytać, cóż czynił przez ten czas cały? czy brał jaki udział w synowca zabiegach? czy je pochwalał i zachęcał? Nieliczne istnieją działalności prymasa ślady i ztąd to mogła powstać w tym względzie wątpliwość, a nawet całkiem sprzeczne zdania. Dr Hirschberg identyfikuje prymasa zupełnie z Jarosławem i wszystkie w monitorium papieskiem z r. 1530 zawarte przeciw niemu zarzuty przyjmuje jako prawdziwe. Ks. Korytkowski za to we wszystkiem widzi tylko proste oszczerstwo, przeczy, żeby między prymasem a synowcem jego, odkąd Polskę opuścił, jaki bądź zachodził związek a nawet zapewnia, że żadnego nie znajdzie się dowodu jakiegokolwiek pomiędzy nimi w sprawach politycznych porozumienia i stosunku. Na to się żadną miarą zgodzić nie można: ogółem biorąc dr. H., choć nie we wszystkiem, nierównie bliższym jest prawdy niźli ks. K.

Dawne stanowisko prymasa kazałoby się z góry domyślać, że i teraz do walki z Habsburgami on nakłaniał i prowadził. Teraz istniała przecież potężna przeciw Habsburgom liga, a na jéj czele stał papież, jak tego zawsze prymas pragnął. Świeżo jeszcze jakieś z Rzymu otrzymał prymas przywileje, na które się Tomicki mocno uskarżał. Porozumienia zresztą prymasa z synowcem są wyraźne dowody. Kiedy Jarosław Łaski nibyto z pielgrzymką do Loretu z Polski się oddalał, na dworze polskim lękano się jego w Rzymie zabiegów i zawczasu przeciw temu starano się tam zastrzedz. Ale prymas wiedział o tém, że synowiec jego pojedzie od Zapolyi do Francyi; przez niego podawał Franciszkowi wskazówki, jakby, obietnicą pomocy pieniężnéj na obronę od Tatarów, należało Zygmunta do przymierza

francuzkiego nakłonić. Potępiał prymas ścisłą neutralność rządu polskiego, głośno oświadczał, że „przez obecne rady i obecnych urzędników ginie rzeczpospolita“, nieprzestawał gorliwych czynić zabiegów, aby Tomickiego przecież pieczęci pozbawić i od osoby króla oddalić. Po za agitacye, co prawda, nie mógł się posunąć, skoro wpływ wszelki na króla utracił; bezpośrednie przeprowadzenie swych planów musiał zdać na synowca, boć i wyjechać z kraju nie mógł zgrzybiały starzec.

Drugi synowiec, Jan młodszy, wspierał go znów w walce innego rodzaju, literackiéj, która teraz nie mniéj wrzała zawzięcie. Dawno już trapił Krzycki swych nieprzyjaciół (a nawet nieraz i przyjaciół także) złośliwémi epigramatami, a prymas Łaski przed innymi był ulubionym celem tych pocisków. Długo nikt z otoczenia prymasa nie umiał na nie odpowiedziéć. Aż dopiero Jan Łaski młodszy powracając z Francyi przywiózł także, może umyślnie w tym celu, młodego poetę humanistę Burgundczyka Aniana. Wyszydzanie w epigramatach herbów jednych osób, a wynoszenie innych musiało wtedy bardzo popłacać. Więc w odpowiedzi Krzyckiemu naśmiewać się Anian począł z wysławianéj przez niego Łodzi Tomickiego a natomiast zachwalać Korab Łaskich. Naturalnie pełno w tém osobistych przymówek i politycznych aluzyi. Wielbił Krzycki Łódź, że choć mała bezpiecznie mknie środkiem morza niby łódka Piotrowa (Piotr, jak wiadomo, miał na imię podkanclerzy) co to Rzymem zawładła (1). Odpowiadał mu Anian: bezpiecznie płyniesz to prawda, kiedy morze spokojne, lecz gdy wichry rozburzą fale, na łańcuchach mozolnie trzeba tę Łódź holować; ani jéj równać z Korabiem, z którego cały ród ludzki wyszedł. Dziś nam się to wydaje błahe i prawie śmieszne; wtedy robiło takie wrażenie, że Krzycki nie chciał udzielić wujowi tych wierszy, dopóki na nie coś nie odpowie, żeby się nazbyt nie zirytował. „Wiem—powiadał (27 lipca 1528)—z jakiéj te wiersze kuźni; czuć w nich chłopaka francuzkiego lub jego pana, który je wielu ludziom zwykł czytywać z wielką uciechą; trzeba więc im jeszcze lepiéj odpowiedziéć, żeby wiedzieli, co to znaczy zaczepiać tych, co i odpisać i odpłacić potrafią.“ Cała też młodzież kosztem Tomickiego kształcona rzuciła się na Korab Łaskich: Hozyusz, Konarski i inni. Ale tę wrzawę epigramatów przygłuszył głos całkiem inaczéj doniosły. Jan Łaski młodszy niedarmo był ulubieńcem Erazma z Rotterdamu; wydając pisma św. Ambrożego dedykował je Erazm prymasowi

(1) Przez omyłkę ten epigramat Krzyckiego pomieszczono między wierszami Hozyusza a pominięto i Hozyusza odpowiedź na Korab i pochwalny wiersz na cześć prymasa, o walce téj zob. Hosii epistolae I, 36 nota 7.

listem, w którym nieszczędził mu kadzidła. Brał Erazm więc, bezwiednie pewno, udział w téj walce literackiéj, a przed powagą „najuczeńszego z ludzi“ padał kornie na twarz cały polski świat humanistyczny; cichły przynajmniéj na czas głośne przed chwilą waśni: Hozyusz, który dopiero co dogryzał Korabiowi, dosiadał nieco chromającego pegaza, żeby obok Aniana chwalić znów cnoty prymasa na czele wydanych przez niego ustaw synodalnych; sam Krzycki do młodszego Jana Łaskiego się garnął, żeby liścik dostać od Erazma i módz się nim poszczycić przed wszystkimi.

Ten grunt humanistyczny stanowił pewien łącznik pomiędzy Krzyckim a prymasowym synowcem; ku Krzyckiemu zwracał się teraz prymas, żeby osięgnąć, co się z Tomickim nie powiodło: koadjutoryą, obietnicą następstwa po sobie na stolicy arcybiskupiéj, nakłaniał go do przyjęcia sobie za koadjutora w biskupstwie płockim Jana Łaskiego młodszego. A gdy słyszym, jak usilnie przestrzega podkanclerzy swego siostrzeńca, aby broń Boże nie wdał się z prymasem w żadne układy, to zdawałoby się, że ambicya Krzyckiego skłonną była uledz takiéj pokusie. Nie stało się to jednak, prymas namiętnie goniąc za ubezpieczeniem przyszłości swéj rodziny, musiał do innych (jak Drzewiecki, Latalski) kołatać, zawsze daremnie. Polityczne jego stanowisko wrogie urzędowéj polityce zrażało od bliższych z nim związków.

I o trzecim synowcu, Stanisławie, rycerzu z pod Pawii, który znów teraz z wyprawą francuzką Lautrec‘a aż pod Neapol się zapędził, pamiętał stryj o rodzinę dbały: zaswatać mu chciał księżniczkę mazowiecką teraz sierotę, że aż Krzycki z rozkazu Tomickiego musiał ją od tego odwodzić. Wdzięcznie przyjęła przestrogę, że król tego sobie nie życzy, że to ujma dostojeństwa książęcego; nie mniéj jednak i księżniczka i Mazowszanie woleli nad księcia zagranicznego widzićć księżniczki oblubieńcem krajowca w przewidywaniu zmian w Polsce może niedalekich. Snać liczono, że w razie śmierci starego króla, przy dziecinnym wieku Zygmunta Augusta, małżonek księżniczki mazowieckiéj może miałby tronu nadzieję, w każdym razie jakieś naczelne stanowisko wśród rządów opiekuńczych musiałby zająć.

Najmniejszéj więc nie może podlegać wątpliwości, że prymas, krzątający się tak gorliwie około zwalenia obecnie rządzących radców królewskich, był ciągle gorącym przymierza francuzkiego zwolennikiem, jak na to prof. Liske wskazał. Nie o samo tylko synowców wyniesienie mu chodziło, jak mniema dr. Hirschberg; włoskie wyprawy Stanisława Łaskiego w służbie francuzkiéj nie były drogą do wyniesienia. O wyniesienie rodziny chodziło mu jak zawsze tak

i teraz bardzo, ale mimo niechęci dworu nie poświęcał swego politycznego stanowiska, aby dostęp do godności synowcom swym ułatwić. Toć gdy poseł francuzki przy Zapolyi Rincon powracał (w lipcu 1529) przez Gdańsk od Franciszka, w Łowiczu w rezydencyi prymasa, opatrzył go młodszy Jan Łaski w wóz i konie na dalszą do Krakowa i do Węgier drogę; a że Rincon przywoził teraz Zygmuntowi obietnicę subsydyów pieniężnych z Francyi, gdyby z nią zawarł przymierze, to było wypełnieniem dawnéj prymasa rady. Lecz czyż prymas pochwalał i przymierze Zapolyi z sułtanem i udział, jaki w tém wziął Jarosław Łaski? Mamy własne prymasa świadectwo, które uszło uwagi jego biografów; szkoda tylko, że to urzędowy list do króla, w którym zapewne liczył się z króla nieprzyjaznêm usposobieniem.

Kiedy na wiadomość o dyfidacyi Jarosława Łaskiego Ferdynandowi, o zawarciu przez niego z Turkami rozejmu, który Polskę do pomocy dla Zapolyi zobowiązywał, król w gniewie chciał sądu na wojewodę sieradzkiego i pytał panów rady listownie o ich zdanie, wtedy i do prymasa napisał. W odpowiedzi, która się przechowała (1), niezmiernie długiéj i często zawiłéj (Krzycki się nieraz z nieudolnego stylu i wysłowienia prymasa natrząsał), co zrozumienie jéj utrudnia niekiedy, wykłada prymas całe swe na stosunek Polski do Węgier, Turków i Ferdynanda zapatrywanie. Nie chce usprawiedliwiać synowca, bo to on sam, wezwany uczynić potrafi a „cokolwiek teraz czyni, czyni to bez mojéj rady.“ „Nigdym nie chwalił ani dotąd pochwalić nie mogę tego jego przedsięwzięcia“, powiada o przymierzu z Turkami, dodając zaraz: „zaprawdę za moją radą nigdy by tego nie podjął, chyba żeby ztąd jaki pożytek dla w. k. mości i dla państw w. k. m. miał wyniknąć.“ A jeśli to zastrzeżenie zostawia pewną wątpliwość, czy przymierza z Turkami nie pochwala w ogóle, czy téż gotów je chwalić, o ile by korzyść przyniosło, to wątpliwość ta znika zupełnie w dalszym ciągu. Bo prymas zapewnia, że układem z Turkami ubezpieczył Jarosław Polsce spokój od Tatarów, a rozwijając daléj swój pogląd mniema: „mojem zdaniem nie potępiać należy mego synowca Jarosława za jego sławne czyny, w których się okazał i okazuje prawym i wiernym senatorem w. k. m. i jego państw... lecz raczéj wypada zachować te jego dzieła w sercu w. k.

(1) Z 11 lipca 1528; znał ten list Bużeński, cytujący 7 tom Tomicyanów (II, 198), którego tu w Krakowie nie ma; znalazłem list ten w Tekach Naruszewicza T. 42 N. 9 (w Bibl. XX. Czartoryskich), pełniejszych niż Tomicyana, bo zawierających odpisy z różnych redakcyi Tom., ale mających teksty nieraz bardzo popsute przez kopistów.

m. i rad koronnych, tych przynajmniéj, którzy dla szczęścia w. k. m. należycie rozumieją, że przez wytrwałą chociaż niedostateczną obronę króla Jana“ (naturalnie przeciw Ferdynandowi) „wszystko jeszcze z czasem na pożytek w. k. m. będzie się mogło obrócić.“ Dalszy ów wywód, rady praktyczne, które daje królowi, pokazują, że prymas nie szedł tak daleko jak Jarosław, lecz na wspólnym z nim stał gruncie. Wobec groźnéj potęgi Turków porzucał dawniejsze zamysły krucyaty, nawet ją za szkodliwą uważał, zwłaszcza że teraz tylko pod przewodnictwem cesarza i Habsburgów mogłaby się odbyć, na ich oczywiście korzyść. Opanowanie całych Węgier przez Ferdynanda zawsze się prymasowi największém dla Polski złem wydaje, gorszém niż przymierze z Turkami. Każe zważyć królowi, że gdyby się z Ferdynandem połączył, Turcy się na niego obrócą całą siłą, a Habsburgowie go z pewnością opuszczą: dosyć przecież usposobienia swego względem Polski dali dowodów wspierając Albrechta i łącząc się z W. Ks. Moskiewskim. Uwzględniając widocznie to tylko, co teraz u króla można by istotnie osięgnąć, nie staje w zasadniczéj sprzeczności z urzędową Tomickiego polityką, nie radzi teraz porzucić neutralności, lecz zaleca więcéj energii i śmiałości. Niechaj król Zygmunt znowu śle do Ferdynanda i, wskazując na niebezpieczeństwo od Turków, do układów z Zapolyą go nakłoni, żeby chociaż część Węgier mu pozostawił (Zapolya bawił jeszcze podówczas w Polsce). Zapolyę niech także do układów przywiedzie i przestrzeże, aby ani Węgrom, ani Turkom nazbyt nie ufał. Zakaz publiczny wojowania za granicą utrzymać należy, to Ferdynada powinno zadowolnić, ale niech król Zapolyę zawiadomi, że może z Polski żołnierzy werbować, a nawet rotmistrzów polskich niech król potajemnie zachęca, aby w służbę Zapolyi wstępowali. Otwarcie Zapolyi wspierać nie można, tę pomoc bowiem swojemu sprzymierzeńcowi uważałby sułtan jak gdyby daną sobie, a to hańba dla króla polskiego; lecz trzeba słać do sułtana, podziękować mu za przyjaźń, którą okazał Zapolyi, wezwać go, aby zaniechał wojny, bo król rezultat dla Turków pożądany, pozostawienie całych Węgier Zapolyi, u Ferdynanda układami bez krwi rozlewu spodziewa się osięgnąć. Wyraźnie wskazywał prymas swego synowca Jarosława, że on mógłby jako poseł królewski u Turków zaniechanie wyprawy wyjednać i kończył swój list słowami: „bierzmy przykład z Wenecyan; oni sądzą, że jeśli wszystko już ma zginąć, niechajże oni sami zginą przynajmniéj ostatni“.

Z całego wywodu prymasowego pokazuje się ogromna, po doświadczeniach w Węgrzech, przed Turkami trwoga, najwyższy strach, żeby się tam nie usadowili, przekonanie, że tylko przez Zapolyę można tego uniknąć. I Jarosław Łaski w Stambule zawierając

przymierze nie pragnął Turków do Węgier sprowadzić, zastrzegał się u W. Wezyra, żeby dopiero przybyli, gdy Zapolya tego zażąda, żeby tylko hospodarowi wołoskiemu nieść pomoc przeciw Ferdynandowi nakazali. Poselstwo jego do Turków miało na celu głównie tyły sobie ubezpieczyć: innemi siłami zamierzano walczyć z Ferdynandem. Że Turcy w żadnym razie nie ścierpią, aby Węgry dostały się całe w moc Habsburgów, to było dla każdego jasném; w takim razie nowa wyprawa turecka, któréj Węgry stałyby się teatrem, była więc nieunikniona, a wobec tego, co się działo na zachodzie, było téż prawie pewnem, że Ferdynand utrzymać całych Węgier nie zdoła, że nowe Węgier części w moc Turków się dostaną. Natomiast było możliwem, że słabego Zapolyę Turcy w posiadaniu Węgier bez wojny pozostawić się zgodzą, gdy się z nimi sprzymierzy, że w inną może się zwrócą stronę. W ten sposób możnaby i od Ferdynanda ocalić Węgry i od tureckiego panowania zasłonić; to prymas pochwalał najzupełniéj, tem usprawiedliwiał wiązanie się z Turkami.

Tylko nieprzewidywał, jak się zdaje, co to będzie, jeśli Turcy przecież wyprawę przeciw Ferdynandowi i to przez Węgry przedsięwezmą. Wtedy Zapolya stawał się lennikiem tureckim, choćby nie płacił haraczu, do którego opłaty gotów był Ferdynand, byle jemu Węgry zostawić Turcy by się zgodzili. Bądź co bądź uniknąć wyprawy tureckiéj można było najprędzéj, jeśli wogóle jéj uniknąć było podobna, gdyby innemi siłami udało się Zapolyi Ferdynanda z całego wyprzeć kraju. O to się więc starać należało, o to się starał Jarosław Łaski i ani wątpić, że mu w tém prymas wedle sił dopomagał. Czy obracał na ten cel dobra swe arcybiskupie, czy zastawiał swoje kościelne włości? Zarzucano mu to potem w pozwie papieskim, Dr. Hirschberg rzecz jako fakt przyjmuje, z oburzeniem ks. Korytkowski odpiera; ale w zapale polemiki zapędza się nazbyt daleko, twierdząc, że prymas nic nigdy nie zastawiał; bo przecież sam w aktach kapituły gnieźnieńskiéj znalazł jakieś ślady zastawu dóbr arcybiskupich, a może było ich dawniéj więcéj (1). Bądź co bądź rzecz to niejasna dotąd bardzo.

---

(1) W r. 1529 wzywała prymasa kapituła, ut arces archiepiscopales essent eliberandae et *redimendae* de manibus saecularium personarum et quod saeculares non gubernent neque *per obligationem* aliquam bona mensae archiepiscopalis teneant, Korytkowski. str. 73, nota 1. Słowa podkreślone wyraźnie mówią, o wykupie i o zastawie, choć ks. K. tłomaczy to (w tekście) wyrazem: zobowiązania; trudno zaś przypuszczać, że kapituła zastrzegała się przeciw temu, coby się stać dopiero mogło, raczéj trzeba mniemać, że skarżyła się na to, co się już stało. A czy w księgach kapitulnych są istotnie w tém miejscu jakie karty wydarte? twierdził to dr. Hirschberg wedle udzielonéj mu wiadomości; ks. K. tak ważnéj wskazówki wcale nie podnosi. ale téż jéj i nie zaprzeczył wyraźnie.

Krzątał się Jarosław bardzo gorliwie, prawdopodobnie zasilony przez stryja, aby na rzecz Zapolyi w Niemczech wojsko zwerbować. O te zaciągi wojskowe z Niemiec starał się już oddawna Zapolya: jeszcze przed powrotem Łaskiego upraszał króla Zygmunta, aby je wolno było robić w Poznaniu. Teraz Jarosław Łaski sam pośpieszył do Niemiec w tym celu. Co tam sprawił? znowu rzecz niejasna niezmiernie. Jarosław Łaski donosił wprawdzie niebawem, że już 15000 zbrojnych w Niemczech zwerbował i wymieniał sumę żołdu, jaką im przyobiecał; ale mogły to być tylko z jego strony przechwałki przedwczesne. I sam Zapolya skarżył się potém, przed Zygmuntem, że jego namiestnicy Tomicki i Szydłowiecki (król wtedy na Litwie przebywał, 1529 r.) „wielkie krzywdy wyrządzili i do domu odesłali" śpieszących mu przez Polskę na pomoc żołnierzy, których z wielkim kosztem z dalekich krajów zaciągnął. Ale Tomicki powiada, pisząc o tych skargach do Zygmunta, że fałszywie widać Zapolyi o takich posiłkach doniesiono, bo nikt ich w Polsce nie widział, ani nic o nich nie wie; przed królem zaś nie potrzebował Tomicki kłamać dla usprawiedliwienia się, bo Zygmunt jeszcze przed rokiem wyraźny wydał rozkaz, aby posiłków z Niemiec do Zapolyi nieprzepuszczono. I Krzycki także w poufnym do wuja liście z powodu tych zaciągów powiada, że Łaski w Niemczech posiłków nie otrzymał, że umyślnie się uskarża na więzienie i odsyłanie żołnierzy jakoby przez Polskę ciągnących, żeby na Tomickiego powszechne oburzenie wywołać. A jednak kiedy Łaski z pogróżką i wyrzutem sam do Tomickiego o to się zwrócił, to podkanclerzy usprawiedliwiał się przed nim i przyznawał, że zmuszony naleganiem posła Ferdynandowego istotnie wspólnie z Szydłowieckim zakaz jakiś na piśmie wydał. Byliż więc ci żołnierze czy nie byli? Trudno coś pewnego powiedzieć; ze słów Tomickiego (1)—zdaje mi się— wnosić należy, że to nie o armią choćby podzieloną na części chodziło, jak mniema Dr. Hirschberg, nie o zagraniczne zaciągi, lecz o jakąś niewielką prawdopodobnie garstkę w Polsce zwerbowanych dla Zapolyi żołnierzy. Bądź co bądź rzecz wymagałaby dokładniejszego wyjaśnienia.

Zgoła zaś wierzyć w to nie mogę, żeby w dobrach arcybiskupich żołnierzy zagranicznych, i do tego heretyków t. j. luteranów zbrojono, zaopatrywano w wojenny rynsztunek i wyprawiano ztamtąd do obozu Zapolyi, chociaż dr. H. zdaje się i te zarzuty czynione

---

(1) Raz powiada (w liście z 3 października 1529) że Ł. skarżył się propter dehortationem profectionis *e Regno* apud milites V. Mag. (Łaskiego) litteris et nuntio communi meo ac Dni. Cracoviensis nomine factam; drugi raz (19 paździer.): propter litteras, quas ad *comites* eius sub meo nomine ac sigillo datas sive vidit sive intellexit.

prymasowi za prawdę uznawać. W tym jednym punkcie słuszność jest mojém zdaniem niewątpliwie po stronie ks. K., który powiada, że przeciwnicy polscy prymasa nieomieszkaliby tego zaznaczyć i przeciwko niemu wyzyskać. W chwili, kiedy się urzeczywistniało to, czego prymas obawiał się najbardziéj i czego pragnął koniecznie uniknąć, kiedy Turcy ciągnąc przeciw Ferdynandowi wkraczali do Węgier, prymasowi nie pozostawało nic innego, jak czekać bezczynnie, co z tureckiéj wyprawy wyniknie.

Wyniknęły skutki dla prymasa osobiście jak najsmutniejsze; nie bez pozorów słuszności można go było nazywać sprzymierzeńcem Sułtana i przed papieżem o to skarżyć. Zwycięstwa włoskie Karola V kazały Rzymowi wierzyć temu, co cesarz powie. W Cambray uznał już król francuzki przewagę cesarza, już przedtém w Barcellonie ugiął się papież przed hiszpańską we Włoszech potęgą. Kiedy w Bolonii wieńczył Klemens VII Karola koroną cesarską, rozlegały się gromy kościelne przeciwko tym wrogom Ferdynanda, których oręż Habsburgów mniéj łatwo mógł dosięgnąć. Jeszcze świeżo Ferdynand wielkim haraczem chciał u Turków posiadanie Węgier okupić,—teraz zamieniał się w obrońcę chrześciaństwa; Zapolyi słał dotąd papież zachętę i błogosławieństwo, nawet wtedy, gdy już z sułtanem się sprzymierzył,—teraz wyklinał w nim wroga chrześciaństwa i sługę tureckiego (1). Należało ubezwładnić i w Polsce Zapolyi przyjaciół, żeby mu nie dawali pomocy: papież pozywał prymasa Łaskiego, że Turkom dopomaga.

Nie pierwszy to raz i nie ostatni użyto broni duchownéj dla celów czysto politycznych; brudną i niecną intrygą tego nazywać się więc nie godzi. Kanclerz cesarski, kardynał Gattinara, czynił co każdy na jego miejscu podówczas by uczynił, gdy się chwytał sposobu, który mógł dobrze posłużyć. Zresztą niekoniecznie działał całkiem w złéj wierze. Poseł cesarski Korneliusz Schepper był w Polsce, kiedy o zabiegach rodziny Łaskich dla Zapolyi było niezmiernie głośno, kiedy Jarosław Łaski powracał z Turcyi, kiedy oczekiwano zaciągów z Niemiec. Gdy się Schepper skarżył, że z Polski Zapolyi niesiono pomoc, odpowiadano mu na dworze usprawiedliwiając neutralność: to nie król, to stronnicy Zapolyi, których ma w Polsce wielu, na czele których stoi prymas. Jarosławowi prymas

---

(1) Zapolya apelował do papieża wolnego od namiętności i do soboru powszechnego, a w Węgrzech odzywały się głosy (według listu Frangepanego, arcybiskupa Koloczańskiego, do Tomickiego z wiosny 1530): papież umyślnie Zapolyę wyklina, żeby mu dopomódz, skoro tak źle mu się wiodło, póki go błogosławił; lepiéj w Budzie słuchać klątwy niż czytać błogosławieństwa papieża w Tarnowie.

dopomagał nieraz pieniężnie, dopomagał mu pewnie i wtedy, bodaj nawet czy niezastawił jakichś dóbr arcybiskupich; Jarosław Łaski werbował w Niemczech żołnierzy, a chociaż, jak wiadomo, na Węgrzech obóz Zapolyi reprezentował ścisłą prawowierność, gdy wszyscy sympatyzujący tam z Lutrem stali po stronie Ferdynanda, to z pewnością werbowanych nie pytał o wyznanie i chętnie zaciągał Luteranów, tak jak prawowierny cesarz niedawno z Luteranami Rzym na papieżu zdobywał. Niebawem Turcy Wiedeń oblegli: cóż było łatwiejszego, jak wszystko z sobą skombinować i niewiele dodawszy całą baśń utworzyć, że prymas dobra biskupie zmarnował, za to zbroił heretyków i do obozu Turków pod Wiedeń ich wyprawiał? Z takiemi zarzutami wystąpił Schepper przed papieżem, kardynał Gattinara je poparł: takie zarzuty znalazły miejsce w tym pozwie, który przeciw prymasowi wydano. Materyału do pozwu dostarczyła strona skarżąca, Schepper, nie w kancelaryi papieskiéj on powstał; tylko papież się zgodził, że skargę wniesiono z urzędu, że prokurator papieski o naznaczenie sędziego upraszał. Papież delegował jednego z kardynałów, któryby sprawę rozpatrzył, a ten kardynał prymasa zapozywał. To było owo monitorium papieskie z lutego 1530 roku, o którego genezie szczegółowo listy Dantyszka pouczają (1). W pozwie pomieszczono wszystkie zarzuty, jak je kancelarya cesarska sformułowała; nie szczędzono oczywiście obelżywych nazw zdrajcy, arcydyabła, judasza. Dla usprawiedliwienia się i sądu wzywano prymasa pod klątwą, złożeniem z godności i olbrzymią karą pieniężną, aby osobiście stawił się przed papieżem. Samo monitoryum złożono na ręce obecnego w Bolonii na zjeździe posła polskiego przy dworze cesarskim, aby je przesłał królowi; wykonanie t. j. publiczne ogłoszenie pozwu pozostawiała stolica apostolska woli Zygmunta.

Prawdę z fałszem pomięszano w tym pozwie, nie inaczéj jak i dziś jeszcze w niejednym pozwie się to znajdzie. W Polsce wiedziano o tém dobrze. Wpisując w Tomicyana oskarżenie ostrzegał Górski czytelnika (2): „coś tu przeczytał, wiedz że to są kłamstwa i wściekłe infamie: to Romaniści za pieniądze razem z Niemcami poszaleli.“ Ale choć Górski był poufnym sługą i przyjacielem Tomic-

---

(1) Listy te pokazują, że o monitorium starała się wyłącznie kancelarya cesarska, Gattinara, Schepper; ze strony Ferdynanda o takie środki nie dbano wiele, a to się zupełnie zgadza z całym, jak go znamy, różnym stosunkiem obu braci i ich rządów do sprawy węgierskiéj.

(2) Dopisek taki, który nie wiem, czy w innych kodeksach Tomicyanów się znajduje, stoi w Ms. 268 Bibl. XX. Czartor. f. 82.

kiego, choć w jego słowach należałoby zdanie podkanclerzego upatrywać, trudno przecież obronić się od podejrzenia, że polscy Łaskich przeciwnicy nie byli zupełnie obcy wydaniu tego monitorium. Wówczas kiedy Jarosław Łaski na Tomickiego nastawał, że przeszkodzono zaciągom dla Zapolyi, pisał o tém do wuja Krzycki (5 listopada 1529): „wiem ja, z czem i przedemną się odgrażano; to są podobno przedwstępne kroki, trzebaby im tak odpowiedzieć, żeby poznali, jaką sobie zjednają u nas przychylność temi groźbami." A kiedy Gattinara w Bolonii u papieża o monitorium kołatał, to Dantyszek nalegał wprawdzie ciągle, aby nic się przytém nie stało z ujmą dla króla Zygmunta, lecz zarazem ostentacyjnie, zachęcająco, powtarzał, że bronić prymasa nie będzie, że niema żadnych o tém instrukcyi, że więc niczemu się nie sprzeciwi. Dodajmy do tego, że autor oskarżenia, Schepper, o Tomickim z uwielbieniem się wyrażał, że króla Zygmunta bronił na dworze cesarskim, a król mu za to, oczywiście za sprawą Tomickiego, oddzielnym listem już po wydaniu monitoryum dziękował: to podobno będą poszlaki dość znaczące, które za takim podejrzeniem zdawałyby się przemawiać. Z pewnością nie wystąpiono wyraźnie, niewątpliwie na lekkiéj tylko poprzestano insynuacyi; ale czyż trudno było Dantyszkowi, który w wielkiéj żył z Schepperem przyjaźni, nieznacznie napomknąć mu w rozmowie, że kancelarya cesarska mogłaby znaleść przecież sposoby u papieża, jak należy sparaliżować działanie stronników Zapolyi w Polsce, jak ułatwić tę neutralność zupełną, któréj chce król polski stale przestrzegać.

Lecz jakiż cel mógł mieć w tém Tomicki, a jaki Gattinara? Czego chciał kanclerz cesarski, to zupełnie wyraźne. Słuchając nieustannie, jak rząd polski stronnictwem anti-austryackiem się wymawia, że nie może przeszkodzić pomocy dawanéj Zapolyi z Polski, chciał zgnieść stronnictwa tego głowę—prymasa, chciał go pozbawić godności arcybiskupiéj i tem zbawienną dla zamiarów habsburskich obudzić w Polsce trwogę. Tomicki z pewnością tego nie pragnął, ani pragnąć nie potrzebował; jemu wystarczało wydanie pozwu, choćby wcale do egzekucyi nie przyszło, a skandalu głośnego, złożenia arcybiskupa, nigdy nie był chciwy. Pozew papiezki publicznie prymasa nazwą zdrajcy kościoła piętnował; to dostatecznie utrudniało prymasowi te z Rzymem stosunki, których się Tomicki zawsze lękał, te zabiegi, szczególniéj na korzyść synowca Jana, którym się starał przeszkodzić. Odkąd nad prymasem zawisł ów groźny pozew, nie trzeba się było podkanclerzemu obawiać jego pogróżek, jego agitacyi wśród szlachty, że pieczęć biskup krakowski bezprawnie dotąd piastuje; gdyby prymas chciał daléj stawiać w czembądź To-

mickiemu przeszkody, łatwo było kogoś z dworu cesarskiego nasadzić, żeby pozwu dochodził. Król Zygmunt bowiem egzekucyi się nie podjął, w Polsce monitorium nie ogłoszono, zwrócono je kancelaryi papieskiéj z oświadczeniem, że neutralność ścisła zabrania królowi cokolwiek bądź w téj sprawie uczynić. Ogłoszeniem obraziłby król Zygmunt Zapolyę, nie dopuszczając egzekucyi naraziłby się Ferdynandowi: dlatego król oznajmiał, że nie przeszkodzi, jeśli papież od siebie zechce sprawę daléj prowadzić.

Mylne to mojém zdaniem mniemanie, że prymasa pozew papieski i zagrożona nim klątwa zaniepokoiła ,w sumieniu, że się uląkł o zbawienie swéj duszy. Tak się nam może dziś zdawać: ale ówczesny dostojnik kościelny wiedział doskonale, że groźba klątwy, a nawet sama klątwa, to zwykły wówczas i pospolity środek egzekucyjny sądów duchownych, przy pierwszéj lepszéj sprawie o byle dług, o byle dziesięcinę zatrzymaną. Sam się nią nieraz pewno nasz prymas posługiwał. A zresztą prymas nie podległ klątwie, bo pozwu w prawomocny sposób, w Płocku i Poznaniu, jak to monitorium przepisywało, nie ogłoszono wcale. Ale ten pozew był dla prymasa klęską polityczną, był przegraną w walce z politycznymi i osobistymi wrogami. W tém leżała tragiczność jego losu. W związku z Rzymem walczył całe życie przeciw Habsburgom, chciał zwalić swych przeciwników w Polsce, chciał prowadzić politykę, którą papież popierał: z Rzymu spadł nań w starości cios, który go na łaskę przeciwników oddawał i zmuszał błagać króla i Tomickiego o ochronę przed skutkami pozwu papieskiego.

Głęboko upokorzony w swéj dumie, w téj godności, o którą wielce dbał zawsze, udawał się zgrzybiały prymas do króla, aby go przez umyślnego posła w Rzymie usprawiedliwił, prosił podkanclerzego równocześnie o jego pomoc. Tomicki nie miał powodu sprzeciwiać się temu, ale się téż wcale nie spieszył z wyprawieniem takiego posła, robił trudności co do jego osoby. Tymczasem umarł kardynał Gattinara, sprawy pozwu nikt przeciw Łaskiemu nie popierał w Rzymie, Ferdynand do nowych z Zapolyą nakłaniał się układów — dał sobie prymas wytłumaczyć podkanclerzemu, że lepiéj całéj sprawie dać pokój i nieporuszać jéj na nowo, skoro popadła w zapomnienie. Na tém się téż skończyło — nikt o pozwie nie przypomniał, ale nie zdjęto go z prymasa wyraźnie; aż do śmierci, która niebawem nastąpiła, 19 maja 1531 r., wisiał nad nim jak groźba. Tak tryumfującym przeciwnikom Łaskiego było najwygodniéj.

Zgryziony i złamany umierał starzec 75-letni uległszy ostatecznie w długiéj walce; jedną mógł przecież mieć pociechę. Węgry się nie dostały Ferdynandowi, Zapolya utrzymał się w posiadaniu więk-

széj ich części; prawda, że po nim zawładnęli tam Turcy. Ale tego prymas niedożył, jak nie dożył i tryumfu swojéj myśli, którą zawzięta przedtém jego nieprzyjaciółka, królowa Bona, urzeczywistniła, wydając córkę za króla Jana. Przy boku tego króla Jana Zapolyi stali wszyscy trzéj prymasa synowcowie, przez niego zaszczytami obsypani, każdy mu służąc w inny sposób. Jarosław, teraz — jak Zapolya sam zanim królem został — hrabia spiski i wojewoda siedmiogrodzki kierował węgierską dyplomacyą, Jan jako biskup Veszprimski, zasiadał w radzie króla Jana, Stanisław walczył za niego z wojskami Ferdynanda. Kiedy, jeszcze przed śmiercią prymasa, znów układy się między obu królami węgierskimi przy polskiem pośrednictwie nawiązały, to i Jarosław i Jan Łascy na zjeździe w Poznaniu (wrzesień i październik 1530) stawali jako posłowie węgierscy. Ale niepowodzenia prymasa wytrąciły i rodzinę jego ze zwykłéj kolei; zaszczyty i godności, których dla niéj tak pragnął, na kruchéj w Węgrzech spoczywały podstawie, jak to się pokazało w niedalekiéj przyszłości. I pod tym względem tylko połowiczny rezultat zdołał prymas osiągnąć.

Za to późniéj, w trzeciéj ćwierci wieku 16-go, wszystko co stało w programie prymasa Łaskiego, podejmuje znów na sejmach szlachta i prawie wszystko przeprowadza. Prymas zamknął ustawą z 1504 r. szafunek dóbr królewskich — szlachta egzekucyi tego statutu, odbioru królewszczyzn po nim rozdanych i obrócenia ich na wojsko dopomina się i wymusza; prymas zmierzał do ścisłéj z Litwą unii—szlachta nieustannén naleganiem unią zdobywa; prymas był stałym Austryi wrogiem—antagonizm do Austryi jest hasłem stronnictwa szlacheckiego; prymas z Turkami pragnął pokoju, odkąd walka z potęgą muzułmańską na korzyść przedewszystkiem Habsburgów musiałaby się obrócić—pokój, nawet przymierze z Turcyą to także jeden z punktów szlacheckiego credo politycznego. W jedném tylko różni się dążność późniejsza szlachty od prymasowskiego programu: prymas zawsze stał silnie przy związku z Rzymem, przestrzegał prawowierności,—szlachta zmierzając do reformy stosunków wewnętrznych chce jéj także w kościele. Ale i na polu kościelném kto wie, czy nie prymasa program przyszedł w końcu do urzeczywistnienia, kto wie, czy pierwszego pomysłu podjętéj i dokonanéj w samym końcu 16 wieku unii kościelnéj nie należy szukać już w tych memoryałach, które przeciw wyznaniu ruskiemu prymas składał na soborze Laterańskim. W każdym razie w prymasie Łaskim widzimy pierwszego reprezentanta tego kierunku, który święcił swój tryumf przez elekcyą Stefana, którego zwycięztwa przedstawicielem był Zamoyski. Kanclerz i prymas Ła-

ski na początku, kanclerz i hetman Zamoyski na końcu — to dwaj najznakomitsi przywódcy szlacheckiego stronnictwa.

Tylko że Łaski nie znalazł w Zygmuncie takiego króla, jakim był Stefan dla Zamojskiego, króla, któryby go poparł całą swoją powagą, zlał na niego całą swą władzę, uczynił zadość jego olbrzymiéj ambicyi, starał się wykonać jego pomysły. Nie znalazł Łaski w Zygmuncie energii ani siły; ale téż — trzeba dodać — sam Łaski talentem organizatorskim się nie odznaczał, stronnictwa silnego stworzyć nie umiał. Gorączkowa ruchliwość, namiętna żądza czynów, nie pozwalała mu nigdy wykonać własnych pomysłów, spokojnie, powoli nad ich urzeczywistnieniem pracować. Ledwo zasiał, jużby chciał zbierać owoce. Ledwo rozpoczęto dzieło reformy skarbu i wojskowości, prymas spieszy do Rzymu właśnie w chwili, kiedy się wpływ jego na króla zachwiał; potém się rzuca do anarchicznéj opozycyi i wpływu swego na szlachtę nadużywa, podburzając ją przeciw królowi.

Bądź co bądź prymas Łaski odbija energią od bladego tła ludzi współczesnych: miał przynajmniéj śmiałe pomysły, gdy przeciwnicy jego nie posiadali nic oprócz saméj rutyny. Osobistość to, choć niezupełnie czysta, — cokolwiek-by się w zarzutach przeciwników na karb zawiści położyło—nader ciekawa, a wyczerpująca prymasa biografia, jakiéj dotychczas niema, jakiéj tu tylko zarys podać się starałem, podległy i uzupełnieniu i sprostowaniu pewno w niejedném, byłaby dziełem ważném i pouczającém.

Wincenty Zakrzewski.

O zdolności ruchu u roślin.

Ch. Darwin. The power of movement in plants. London, 1880.
J. Wiesner. Das Bewegungsvermögen der Pflanzen Wiedeń 1881.

Przed niezbyt stosunkowo dawnym czasem panowało przekonanie, do dnia dzisiejszego utrzymujące się pomiędzy mniéj rzeczy świadomymi, jakoby rośliny z natury swojéj były nieruchome, czém właśnie miały by się najistotniéj różnić od zwierząt. Przekonanie musiało być głęboko zakorzenione, bo gdy przed 40 mniéj więcéj laty, spostrzeżono, że zawartość pojedynczych komórek u wodorostków wysuwa się z krępującéj ją powłoki i swobodnie buja po wodzie, starano się niespodziewany ten fakt tym sposobem wytłómaczyć, że wodorosty są naprzemiany to roślinami to zwierzętami. Zakorzenione mniemania i przesądy nie pozwalały dostrzedz prawdy, że ów fakt dowodzi zdolności roślin do swobodnych ruchów miejscozmienności.

Powoli, po długich sporach, w których zaszczytny udział przyjął profesor Leon Cienkowski, przekonano się wreszcie, że najistotniejsza część komórki roślinnéj jest tą samą *protoplasmą (zarodzią, pierwoszczem)*, która tworzy również zawartość komórek zwierzęcych; przekonano się daléj, że protoplazma jest w obydwóch państwach zarówno kurczliwa i zdolna do poruszeń. Ruchy, zależne od kurczliwości protoplazmy, przestały tedy zadziwiać u roślin. Stopniowo zwrócono uwagę na ruchy wyższych roślin. Zbadano poruszenie liści czułka, zbadano tak zwany sen liści, ruchy płatków korony i innych części kwiatu, a przed niedawnym czasem Karol Darwin z właściwą sobie przenikliwością zbadał ruchy pnących się roślin, a następnie zastanawiające ruchy roślin owadożerczych, które, jak rosiczka lub muchołówka, za pomocą liści chwytają zdobycz dostarczającą im pokarmu.

Z biegiem czasu przekonano się tedy, że rośliny posiadają bez porównania większą zdolność ruchu aniżeli skłonni jesteśmy na pierwszy rzut oka przypuszczać; pomimo to jednak rośliny zawsze przedstawiały się jako istoty wyjątkowo tylko ruchem obdarzone, i dopiero spostrzeżenia Darwina w zaprzeszłym roku drukiem ogłoszone dążą do wykazania, że ruch jest powszechną władzą roślin. W rok późniéj Wiesner wystąpił z zarzutami przeciwko temu dziełu Darwina. Obiedwie te prace stanowią przedmiot niniejszego sprawozdania o zdolności ruchu u roślin, winienem jednak uprzedzić, że zupełnie pominę ruchy czysto protoplasmatyczne, jako to: ruch protoplasmy wewnątrz błony komórkowéj, ruch zarodników czyli pływek (zoosporów), ruch ciałek nasiennych u roślin skrytokwiatowych, oraz poruszenia nagich komórek.

• • •

Karol Darwin z pomocą syna swego Franciszka zbadał rozmaite rośliny, głównie dwuliścieniowe, należące do kilkudziesięciu bardzo odmiennych rodzin i przyszedł do wniosku, że organa wszystkich, a przynajmniéj znakomitéj większości roślin, przez znaczną część swego życia wykonywają w przestrzeni ruchy obrotowe mniéj lub więcéj obszerne i widoczne. Ten ruch obrotowy, czyli *cyrkumnutacyjny* jest według Darwina pierwotnym niejako ruchem, z którego powstały rozmaite inne ruchy roślin. Nadto Darwin mniema, że u rośliny czułość na wpływy zewnętrzne jest umiejscowiona w pewnych jéj częściach, oraz że pobudzenie zostaje przesłane do sąsiedniéj okolicy organu, gdzie powoduje odpowiedni ruch. Tak więc pewne części rośliny zachowują się według Darwina na podobieństwo układu nerwowego zwierząt.

Przeciwko tym wnioskom powstaje Wiesner. Opierając się na dawniejszych swoich spostrzeżeniach; oraz na doświadczeniach, które przedsięwziął umyślnie w celu sprawdzenia twierdzeń Darwina, utrzymuje on, że cyrkumnutacya, jako szczególny, pierwotny ruch roślin wcale nie istnieje, podobnie jak owe ośrodki pobudliwości, mające przesyłać podrażnienie do sąsiedniéj, nieczułéj części organu. Wiesner stara się wytłómaczyć ruchy roślin za pomocą objawów towarzyszących wzrostowi na długość.

W tym samym tedy, nader dla biologii ważnym przedmiocie posiadamy dwie prace w wielu razach odmiennie zapatrujące się na te same zjawiska ruchu roślin. Dla wydania sądu, które z tych zdań jest prawdziwe, należałoby powtórzyć ważniejsze przynajmniéj spostrzeżenia i doświadczenia poprzedników. Zanim badacze dokonają tego

poprzestanę na treściwém przedstawieniu spostrzeżeń i poglądów Darwina, wplatając we właściwém miejscu uwagi i krytyki Wiesnera, przedewszystkiém jednak podam krótką wiadomość o znanych formach ruchu roślin, opierając się głównie na zestawieniu ostatniego z powołanych badaczy.

Ruchy roślin można rozdzielić na dwa wielkie działy: jedne ruchy objawiają się tylko podczas wzrostu danego organu, inne zaś są udziałem zupełnie nawet wyrośniętych części roślinnych.

Ruchy będące w związku ze wzrostem rośliny dwojakiego bywają rodzaju: albo polegają na wydłużaniu się organu w prostym kierunku, albo też odbywają się w różnych, ściśle oznaczonych kierunkach. Ruch pierwszego rodzaju można nazwać *wzrostem w kierunku prostym*, drugi zaś *ruchem nutacyjnym*. Ten ostatni jest właściwym przedmiotem niniejszego sprawozdania.

Ruch nutacyjny może być wywołany przez wpływy zewnętrzne, albo też wynika z przyczyn wewnętrznych, tj. z saméj organizacyi rośliny. Ruchy pierwszego rodzaju odróżniono jako *wywołane* (*receptive, albo paratonische Nutation*), drugie zaś jako *samoistne* (*spontane Nutation*).

Ruchy wywołane powstają pod wpływem światła, siły ciężkości, wilgoci, lub pod wpływem ściskania i rozciągania tkanek.

1. Ruchy wywołane przez światło noszą imię *heliotropizmu*. Rozmaite organa roślinne, zwłaszcza nadziemne, zwracają się i pochylają w stronę światła z boku padającego, gdy tymczasem inne zachowują się wprost przeciwnie, albowiem odwracają się od światła. W pierwszym razie będzie to *heliotropizm dodatni* w drugim zaś *heliotropizm ujemny*. Według Darwina ruch w stronę światła należy oznaczać poprostu jako *heliotropizm*, a ruch od światła jako *apheliotropizm*. Nadto Darwin odróżnia *diaheliotropizm*, polegający na ustawianiu się organów roślinnych w poprzek padającego światła, oraz *paraheliotropizm*, tj. ruch silnie oświetlonych liści zupełnie podobny do sennego poruszania się tychże organów wieczorną porą.

Heliotropizm dodatni nadzwyczaj jest rozpowszechniony, albowiem prawie wszystkie organa roślinne są podczas wzrostu dodatnio heliotropowe, nawet niektóre korzenie, jak np. korzeń czosnku.

Łodyga jest z małemi bardzo wyjątkami dodatnio heliotropowa, u niektórych jednak roślin, jak u dziewanny lekarskiéj i wielkokwiatowéj (*Verbascum thapsus* i *V. phlomoides*) jest stanowczo na światło nieczuła, czyli *aneliotropowa*. Pomiędzy łodygami aneliotropowemi i wyraźnie heliotropowemi istnieją stopniowe przejścia, tak np.

u drapaczy czyli szczeci (*Dipsacus*) i skrzypów (*Equisetum*) łodyga okazuje bardzo słaby heliotropizm dodatni tylko w razie szczególnie odpowiedniego oświetlenia i do tego jedynie w stanie wypłonienia. Inne znowu rośliny okazują heliotropizm dodatni tylko wtedy jeżeli się znajdują w cienistém miejscu, lecz w otwartéj i słonecznéj miejscowości posiadają sztywną i anelitropową łodygę. Tak zachowuje się np. cykorja (*Cichorium intybus*), witułka zwyczajna (*Verbena officinalis*), prątki (*Sisymbrium strictissimum*), krwawnik (*Achillea millefolium*), i wiele innych.

Na liściach heliotropizm dodatni mało jest widoczny z powodu jednocześnie działających rozmaitych innych wpływów, nie mniéj jednak daje się on w różnych razach wykazać.

Szypułki kwiatowe, a zatém łodygi, u niektórych roślin zwracają się w stronę światła i nadają kwiatom stałe położenie względem jego źródła, albo téż poruszają się za słońcem. Jako przykład takiego ruchu mogą służyć różne gatunki kozibrodu (*Tragopogon*) oraz mlecz polny (*Sonchus arvensis*). W niektórych razach do światła zwracają się części składowe kwiatu; tak u pszeńca fioletowego (*Melampyrum nemorosum*) poruszają się płatki korony, u babki średniéj (*Plantago media*) poruszają się pręciki, u wierzbówki (*Epilobium roseum*) i wieżyczki gładkiéj (*Turritis glabra*) porusza się zawiązek.

Heliotropizm dodatni w ostatnich czasach spostrzeżono u wielu grzybów.

Słaby heliotropizm ujemny jest równie rozpowszechniony jak heliotropizm dodatni, ale rzadko kiedy większą posiada siłę. Powietrzne korzenie pospolicie okazują wyraźny heliotropizm ujemny, często bardzo nawet silny.

Wąsy niektórych roślin, jak winorośli (*Vitis vinifera*), dzikiego wina (*Ampelopsis hederacea*), kolcowoju (*Smilax aspera*), i surmii (*Bignonia capreolata*) okazują wyraźny heliotropizm ujemny, i to samo spostrzegamy na łodygach niektórych roślin, np. bluszczu (*Hedera helix*), nasturcyi (*Tropaeolum majus*) i innych. U wielu znowu roślin łodyga, wystawiona na silne światło, przy bardzo uważném badaniu, okazuje bardzo słaby heliotropizm ujemny, jak np. łodyga cykoryi, (*Cichorium intybus*), przytulii żółtéj i białéj (*Galium verum* i *G. mollugo*), łodyga pokrzywy zwyczajnéj (*Urtica dioïca*), daléj pędy derenia właściwego (*Cornus mas*), dębu (*Quercus cerris*), klonu krzewowego (*Acer campestris*) itd.

Według spostrzeżeń Wiesnera dla każdéj rośliny istnieje pewne natężenie światła pod względem heliotropizmu najkorzystniejsze; poczynając od tego punktu heliotropizm coraz bardziéj słabnie tak przy wzmaganiu się światła jako téż przy jego słabnięciu. W końcu

w obydwóch razach, ruchy heliotropowe zupełnie ustają. Takie zachowanie się organów roślinnych ztąd pochodzi, że objawy heliotropowe powstają skutkiem różnicy w oświetleniu przedniéj i tylnéj połowy organu. Przy pewném natężeniu światła różnica ta jest największa, lecz zmniejsza się w miarę wzmocnienia światła i ostatecznie znika, gdy organ już jéj nie uczuwa, albo téż różnica w oświetleniu zmniejsza się i ostatecznie znika przy stopniowém zaciemnieniu światła. W obydwóch tedy razach ostatecznie otrzymujemy najmniejszy wpływ heliotropowy równający się zeru.

Światło wywołuje dodatni heliotropizm, powstrzymując wzrost oświetlonéj połowy, jak o tém przekonywa fakt, że roślinki kiełkujące daleko silniéj wyrastają w ciemności aniżeli na świetle. Pewne natężenie światła zupełnie nawet powstrzymuje wzrost organów roślinnych.

Organa roślinne dopóty pochylają się ku światłu dopóki się nie ustawią równolegle do padających jego promieni, poczém wpływ heliotropowy ustaje, bo właściwie organ przestaje być oświetlany.

Gdy organ roślinny przez jakiś czas wystawimy na działanie światła z boku padającego, a następnie zgasimy je, jego wpływ przez pewien czas objawia się w ciemności. Jakiekolwiek położenie nadamy takiemu chwilowo oświetlonemu organowi, zawsze pochyli się on odpowiednio do obudzonych w nim dążności heliotropowych. Takie działanie światła nazywa Wiesner *fotomechaniczną indukcyą.* Badacz ten wykazał, że dla różnych roślin wystarcza $^1/_3$ ilości światła, tj. że w tym samym stopniu oddziaływają bez względu na to czy będą przez pewien czas bez przerwy oświetlane, czyli téż z przerwami dwóch sekund po każdéj sekundzie oświetlenia.

Jeden i ten sam organ bywa jednocześnie i dodatnio i ujemnie heliotropowy, a mianowicie w słabem świetle okazuje własności dodatniego heliotropizmu, a w silném staje się heliotropowo ujemnym. Wiesner mniema, że w podobnych organach znajdują się pierwiastki tak dodatniego jak ujemnego heliotropizmu, pierwsze bujniéj rosną w ciemności, drugie zaś w świetle. Ponieważ młoda łodyga składająca się z miąszu (parenchymy) jest obdarzona silnym hieliotropizmem dodatnim, a heliotropizm ujemny objawia się w niéj dopiero po powstaniu pęczków naczyniowych, przeto Wiesner uważa komórki miąszu za pierwiastek dodatnio heliotropowy, a wiązki naczyniowe za pierwiastek ujemno heliotropowy.

Jeżeli organ roślinny posiada obadwa te pierwiastki w takim razie jego zachowanie się pod wpływem światła zależyć będzie od stosunkowéj ilości pierwiastków jednego i drugiego rodzaju, oraz od natężenia światła.

2. Łodyga i korzeń, jak wiadomo, przybierają położenie mniéj więcéj pionowe, przyczem łodyga wznosi się do góry, a korzeń opuszcza w głąb ziemi, tj. ku jéj środkowi. Jeżeli łodygę na długość rosnącą poziomo ułożymy, w takim razie, bez względu na brak lub obecność światła, dopóty łukowato wznosi się ona do góry, dopóki się pionowo nie wyprostuje. Tak samo zachowują się korzenie z tą tylko różnicą, że się ku dołowi opuszczają. Jeżeli poziomo ułożoną łodygę obracać będziemy koło jéj własnéj osi, skutkiem czego rozmaite jéj okolice będą naprzemian obrócone to do góry to na dół, w takim razie łodyga do góry się nie zagina. Korzeń i w tym razie zachowuje się tak samo jak łodyga. Doświadczenia, które tu bliżéj opisywać zajęłoby zbyt wiele miejsca, przekonywują że łodyga i korzeń ustawiają się pionowo pod wpływem siły ciężkości, chociaż zresztą nic nie wiemy o sposobie działania tej siły na roślinę.

Wyrastanie roślin w kierunku pionowym nazwano, za przykładem Franka *geotropizmem.* Dążność do pionowego położenia, jak to widzieliśmy, może polegać na wznoszeniu się do góry albo na opuszczaniu się ku dołowi. Ruch w pierwszym kierunku odróżniamy jako *geotropizm ujemny*, a ruch w przeciwnym kierunku oznaczono mianem *geotropizmu dodatniego.* Darwin i w tym razie nową tworzy terminologią nazywając dodatni geotropizm po prostu *geotropizmem*, a ujemny *apogeotropizmem.* Nadto Darwin, idąc za Frankiem przyjmuje trzeci jeszcze rodzaj geotropizmu, to jest *diageotropizm* polegający na poziomem mniéj więcéj rozpościeraniu się organów, czyli na ich układaniu się w kierunku prostopadłym do kierunku działania siły ciężkości.

Różne organa w różnym stopniu są obdarzone własnościami geotropowemi. Najbardziéj jest pod tym względem uprzywilejowany główny pień i główny korzeń; pierwszorzędne rozgałęzienia daleko mniéj posiadają geotropowych własności, a drugorzędne często już są zupełnie téj własności pozbawione.

Światło i siła ciężkości jednocześnie działając na roślinę nadają różnym jéj organom nadziemnym pewne, stałe położenie, do którego roślina uporczywie powraca tém bardziéj, że obiedwie te siły po usunięciu ich działania jeszcze przez pewien czas wywierają swój wpływ w nadanym kierunku. Tak łodyga przez pewien czas wystawiona na działanie bocznego światła po przeniesieniu do ciemności w dalszym ciągu zgina się w nabytym kierunku. W podobny sposób objawia się wpływ siły ciężkości. W obydwóch tych razach odpowiednie zmiany w tkankach roślinnych zostają niejako przez dany wpływ *indukowane.*

3. *Hydrotropizm* polega na zaginaniu się części roślinnych w stronę większéj wilgotności. Zjawisko to łatwo uwydatnić za pomocą następującego doświadczenia. Nasiona umieszczamy w trocinach w płaskim przetaku pochylonym do poziomu mniéj więcéj 40°. W wilgotnych trocinach nasiona kiełkują, a ich korzenie przeszedłszy przez trociny wkrótce wychodzą na zewnątrz otworami przetaka, lecz zamiast pionowo opuszczać się ku dołowi ściśle przylegają do jego dna wilgotnego.

4. *Wzrost z rozciągania tkanek* (*Zugwachsthum*). Pod tą nazwą Wiesner pojmuje szczególną formę wzrostu roślin, która powstaje skutkiem zgięcia organu przez jaki wpływ mechaniczny. Na wypukłéj stronie powstaje rozciąganie, a na wklęsłéj ściskanie tkanek. Skutkiem tego bardzo często wzrost zostaje na wypukłéj stronie spotęgowany, na wklęsłéj zaś mniéj lub więcéj powstrzymany. Tak np. pączki, lub liście położone na wierzchołku łodygi zwieszając się wywołują wzrost skutkiem rozciągania tkanek.

Samoistne ruchy nutacyjne są następujące.

1. *Epinastja.* Niektóre organa roślinne bez wszelkiego wpływu zewnętrznego silniéj rosną na górnéj aniżeli na dolnéj powierzchni, skutkiem czego zaginają się ku dołowi. Tego rodzaju wzrost oznaczono mianem *epinastji.*

2. *Hyponastja.* Pewne organa niektórych roślin okazują wprost przeciwną własność, albowiem silniéj rosną na powierzchni dolnej, a tém samém podnoszą się do góry.

Przyczyna obydwóch tych zjawisk nie jest znana. Ten sam organ w różnych epokach życia może okazywać to jeden to drugi sposób wzrostu, co mianowicie daje się na liściach spostrzegać.

3. *Ruch obrotowy* (*revolutive Nutation*). Spostrzegać się daje na łodygach wijących się roślin. Wierzchołek rosnącéj na długość łodygi zakreśla linią śrubową i tym sposobem zostaje uzdolniony do obejmowania podpory, po któréj się wspina. Ruch ten powstaje skutkiem tego, że łodyga silniéj rośnie wzdłuż idealnéj linii albo krawędzi spiralnéj, a tém samém staje się wzdłuż téj linii wypukłą, gdy tymczasem przeciwległa strona tejże łodygi, tj. strona zwrócona do podpory, wolniéj rosnąc staje się wklęsłą.

4. *Nutacya falista* (*undulirende Nutation*) bardzo jest rozpowszechniona albowiem daje się spostrzegać na wszystkich niemal łodyżkach kiełkujących roślin, oraz na wielu łodygach liściastych. Można ją poznać po zgięciu łodygi w kształcie litery S. co ztąd pochodzi, że łodyga jest u góry łukowato zgięta w jednę stronę, a u dołu także łukowata ale w stronę przeciwną. Innemi słowy; najmłodsza część łodygi szybciéj rośnie wzdłuż jednego boku, który nazwiemy

tylnym, daléj ku dołowi następuje część jednostajnie z obydwóch stron rosnąca, a jeszcze niżéj położona najstarsza część łodygi odznacza się spotęgowanym wzrostem wzdłuż *przedniego* boku. Niekiedy na przestrzeni jednego międzywęźla powstają dwa, trzy lub więcéj zgięć, jak to np. spostrzegamy u wyki pastewnéj (*Vicia sativa*), i u grochu. Faliste zgięcia powstają tak u roślin hodowanych w ciągłém oświetleniu za pomocą płomienia gazowego, jako téż u hodowanych w zupełnéj ciemności lub w słabém świetle dziennéni, a zatém nie mają nic wspólnego z heliotropizmem.

Podczas dalszego wzrostu łukowate zgięcia pospolicie zostają wyrównane, lecz niekiedy pozostają one i nadal u łodyg mniéj pomyślnie, lub choćby bujnie ale w ciemności wyrastających.

Nutacya falista często odbywa się na téj saméj płaszczyźnie i zdaje się, że rozłożenie liści na łodydze pozostaje w związku z jéj ruchami, a mianowicie: że nutacya odbywa się na jednéj płaszczyznie, jeżeli liście są naprzeciwległe, a w razie bardziéj zawiłego ułożenia tych ostatnich przechodzi w obrotową. Należy jednak zauważyć, że istnieją zwijające się rośliny, jak np. chmiel, z liśćmi naprzeciwległemi.

5. *Nutacya przerywana* (*unterbrochene Nutation*) wtedy się objawia, gdy gałąź odgina się w miejscu osadzenia pączka kątowego i tym sposobem przybiera zygzakowaty kierunek. Nutacyą tego rodzaju spostrzegamy u wyki ptasiéj (*Vicia cracca*), lipy, wiązu, róży i wielu innych roślin. Przyczyna téj nutacyi wcale nie jest znana.

Nutacya przerywana, podobnie jak falista, nie zawsze odbywa się na jednéj płaszczyznie; niekiedy łodyga porusza się także na boki, tj. w kierunku prostopadłym do płaszczyzny saméj nutacyi; w takim razie mamy do czynienia z przejściem od nutacyi falistéj i przerywanéj do obrotowéj.

6. Pod nazwą *zwykłéj nutacyi* (*einfache Nutation*). Wiesner odróżnia haczykowate zgięcia pionowo wyrastających łodyg. Zwykła nutacya tém tylko różni się od epinastyi, że ta ostatnia dotyczy organów roślinnych mniéj lub więcéj poziomo wyciągniętych, gdzie można odróżnić górną i dolną stronę, gdy tymczasem zwykła nutacya objawia się na organach pionowo wzniesionych, gdzie można odróżniać przednią i tylną stronę. Do działu zwykłéj nutacyi pomiędzy innemi zaliczyć należy tak nazwane przez Darwina *zgięcie Sachsa*, które polega na łukowatém zgięciu łodyżki (*hypocotyl*) niewychodzącéj po nad ziemię, jak to np. miewa miejsce u bobu i innych roślin strąkowych. *Zgięcie Sachsa* zawsze następuje w oznaczonym kierunku i we wszystkich poniżéj przytoczonych doświadczeniach tak Darwin jak Wiesner zawsze zgięcie to mieli na uwadze, aby nie popaść

w błąd przy oznaczaniu zgięć geotropowych. Objawy zwykłéj nutacyi bardzo bywają podobne do objawów nutacyi wywołanéj skutkiem obciążenia wierzchołka pędu przez pączki i listki, które wywołują proces obciążenia prowadzący do wzrostu skutkiem rozciągania tkanek.

Niektóre ruchy dotyczą roślinnych organów zupełnie wyrośniętych. Pfeffer nazywa je *ruchami wariacyjnemi* (*Variationsbewegungen*), które także mogą być albo wywołane, albo samoistne.

Do samoistnych ruchów wariacyjnych należą rytmiczne wahania liści poruszliny (*Desmodium s. Hedysarum gyrans*). Ruchy samoistne wychodzą po za obręb niniejszego sprawozdania, jako niemające nic wspólnego z traktowanym przedmiotem.

Wywołane ruchy warjacyjne wielce są dla nas ważne jako w części zaliczane przez Darwina do ruchów cyrkumnutacyjnych. Ruchy pod wpływem pobudzenia mogą się dokonywać nadzwyczaj szybko albo nadzwyczaj powoli.

Ruchy pierwszego rodzaju nazywa Wiesner *rachami pobudliwości* (*Reizbewegungen*). Polegają one na tém, że wpływ zewnętrzny jest nadzwyczaj słaby w porównaniu z wywołanym skutkiem. Wpływ zewnętrzny, występujący tu jako *bodziec*, nie jest siłą ruch dokonywającą, ale siłą pobudzającą do ruchu. Nadto pobudliwa część organu roślinnego posiada zdolność przesyłania podrażnienia do sąsiednich części. Jako przykład przesyłania podrażnień może służyć liść czułka (*Mimosa*), który za dotknięciem przytula swe listki do drugorzędnych ogonków, te ostatnie przytula do głównego ogonka i ogonek ten popuszcza ku dołowi. Daléj przesyłanie podrażnienia bardzo wybitnie występuje na liściach rosiczki (*Drosera*), i muchołówki (*Dionaea*), wszakże nie będę wchodził w bliższy rozbiór spostrzeganych tu zjawisk, albowiem czytelnik odpowiednie szczegóły znajdzie w odczycie Franciszka Darwina „*o analogicznych objawach w życiu roślin i zwierząt*“, który w polskim przekładzie ogłoszono w czasopiśmie „*Przyroda* i *Przemysł*“ (rok VII, 1879, str. 421—423, 433—434). Nadto w końcu niniejszego sprawozdania wypadnie mi jeszcze nad zjawiskami temi nieco się zastanowić.

Do wywołanych ale powolnych ruchów wariacyjnych należy tak zwany *sen liści* czyli *nyktitropowe* ich *poruszenia*, oraz tak zwany *dzienny sen* czyli *paraheliotropizm* tych organów.

Wyliczone powyżéj ruchy roślin, z wyjątkiem ruchów pobudliwości, Darwin zalicza do wielkiego szeregu ruchów cyrkumnutacyjnych, czemu właśnie Wiesner przeczy, zgadzając się zresztą na same fakta.

* * *

Według Darwina wszystkie części rośliny, czy to na długość rosnące, czyli téż posiadające tak zwane poduszeczki albo stawy (*pulvilli*) nawet po zupełném wyrośnięciu, wykonywają ruchy polegające na zwracaniu się kolejno wierzchołka ku wszystkim stronom horyzontu. Jeżeli np. łodyga w pierwszéj chwili naszych spostrzeżeń jest ku północy zwrócona, tedy stopniowo pochyla się ku wschodowi, dopóki nie stanie naprzeciwko téj strony horyzontu, a następnie nagina się ku południowi, potém ku zachodowi aż w końcu powraca do pierwotnego pochylenia ku północy. Taki obrotowy ruch roślin nazywa Darwin *cyrkumnutacyą*.

Gdyby ruch był zupełnie regularny, wierzchołek łodygi, którą obierzemy jako przykład, zakreślałby okręgi koła zamienione na linią śrubową skutkiem ciągłego wydłużania się organu. Pospolicie ruchy mniéj są regularne, albowiem wierzchołek powracając do pierwotnego położenia, zamiast okręgu koła, zakreśla w powietrzu nieregularną elipsę lub owal, albo téż odbywa swą drogę zakreślając mniéj lub więcéj liczne elipsy lub owale dłuższą średnicą zwrócone ku rozmaitym okolicom horyzontu. Tym sposobem droga obieżona przez wierzchołek łodygi lub innego organu roślinnego, zamiast zwykłego okręgu koła, utworzy zbiór elips lub owali w okrąg ułożonych. Zjawisko staje się jeszcze bardziéj zawiłem z powodu, że wierzchołek łodygi lub innego organu roślinnego zakreślając owe linie tworzy rozmaite drugorzędne pętlice i trójkąty.

Jako przyczynę ruchu obrotowego roślin, według Darwina, uważać należy nabrzmiewanie zawartości i wynikające ztąd rozciąganie ścian komórek, położonych na wypukłéj stronie poruszającego się organu. Ponieważ zaś wzrost zawsze bywa poprzedzany nabrzmiewaniem komórek, przeto wzrostowi stale towarzyszy ruch obrotowy, który oprócz tego, jak nadmieniono, w organach zupełnie wyrośniętych wtedy tylko się objawia, gdy u podstawy organu znajduje się staw czyli poduszeczka złożona z drobnych i miękkich komórek, posiadających zdolność nabrzmiewania.

Pomijając tymczasem kwestyą saméj cyrkumnutacyi, bo rzecz ta dopiero późniéj może być rozbierana, zwrócę tu uwagę na okoliczność, że Wiesner inaczéj zapatruje się na przyczynę ruchów zaliczonych do obszernéj kategoryi ruchów nutacyjnych. Wszystkie te ruchy uważa on jako objawy towarzyszące wydłużaniu się organów roślinnych i stanowczo ze szczególnym przyciskiem obstaje przy tém, że ruchy nutacyjne spostrzegać się dają wyłącznie u tych tylko części roślinnych, które rosną na długość, oraz że ruchy tém są wybitniejsze, im bujniéj wyrasta dana część rośliny. Daléj Wiesner utrzymuje, że nabrzmiewanie i wzrost komórek są zjawiskami współcze-

snemi, chociaż w pierwszych chwilach przewaga może być po stronie nabrzmiewania. Nabrzmiewanie komórek skutkiem nabierania wody niema nic wspólnego ze wzrostem i nutacyą.

Nieco szczegółowiéj wspomniałem o zapatrywaniu się Wiesnera na przyczyny nutacyi, albowiem pogląd ten w ścisłem pozostaje związku z jego sposobem pojmowania zjawisk, które Darwin zalicza do objawów cyrkumnutacyi.

Ruchy obrotowe objawiają się bardzo wcześnie, albowiem korzonek (*radicula*) wysunąwszy się z powłok nasiennych, natychmiast zaczyna je wykonywać, a skutkiem wpływu siły ciężkości ruchy te stają się dośrodkowemi czyli geotropowemi. Jeżeli tedy nasienie leży na powierzchni ziemi, jego kiełek natychmiast zagina się ku dołowi zakreślając przytém linią mniéj lub więcéj śrubową, jak się to okazuje z linii nakreślonéj przez niego na okopconém i pochyło ustawioném szkiełku. Czułość na siłę ciężkości spoczywa w wierzchołku korzonka; wierzchołek oddziaływając na wyżéj położone części organu zmusza je do zaginania się ku dołowi. Następujące doświadczenia Ciesielskiego, sprawdzone i uzupełnione przez Darwina, według tego ostatniego nie pozostawiają żadnéj pod tym względem wątpliwości. Gdy kiełkujące nasiona np. bobu, w ten sposób zawiesimy w wilgotnéj przestrzeni, że korzonki poziomo są wyciągnięte, wtedy nienaruszone korzonki wkrótce, bo w ciągu 8 do 9 godzin, zaginają się wierzchołkiem ku dołowi, gdy tymczasem korzonki posiadające wierzchołek obcięty lub w jaki bądź sposób zniszczony na przestrzeni 1 do 1,5 milimetra, dopóty daléj rosną w kierunku poziomym, dopóki im wierzchołek nie odrośnie. Skoro to nastąpi, korzonek pod wpływem siły ciężkości nagina się wierzchołkiem ku dołowi. Pobudzenie przesłane przez wierzchołek do sąsiednich części korzonka objawia się nawet po odcięciu lub zniszczeniu tegoż wierzchołka. Tak mianowicie, jeżeli nienadwerężony korzonek godzinę lub dwie pozostawał w poziomém położeniu pod wpływem siły ciężkości, a następnie jego wierzchołek w jaki bądź sposób zniszczono, wtedy operowany korzonek po upływie pewnego czasu zagina się ku dołowi odpowiednio do geotropowego dążenia nieistniejącego już wierzchołka. Nie dosyć na tém, korzonek w powyższy sposób traktowany nawet wtedy okazuje odpowiednie zgięcia gdy go po operacyi pionowo zawiesimy; w tym ostatnim razie siła geotropowa żadnego nie może mieć wpływu, a zatém jedyną przyczyną zgięcia korzonka jest według Darwina wpływ wierzchołka, który przez pewien czas był wystawiony na działanie siły ciężkości i wypływające ztąd podrażnienie przesłał powyżéj położonéj części organu.

Jeżeli grunt jest pulchny albo kruchy, korzonek pod wpływem siły ciężkości zagłębia się w ziemię, a ruchy obrotowe są mu w tym razie niewątpliwie pomocne. W razie gdy grunt jest na powierzchni zanadto zbity, nasienie skutkiem wzrostu korzonka zostaje przesunięte albo podniesione, wyjąwszy tylko gdy jest zbyt ciężkie. Przenikanie korzonka w ziemię znakomicie ułatwia silne przyleganie jego włosków do otaczających, choćby najgładszych, przedmiotów, albowiem korzonek znajduje we włoskach silny punkt oparcia; przy wydłużaniu swém musi zagłębiać się w ziemię. W stanie natury nasiona zwykle pokrywa warstwa ziemi lub innéj substancyi, a czasami wpadają do szpar; w jednym i drugim razie korzonek zyskuje punkt oparcia dopomagający mu do zagłębienia się w ziemię.

Korzonek zagłębiwszy się nieco, zostaje umocowany w swém położeniu skutkiem przyczepienia włosków do otaczających przedmiotów oraz zwiększającéj się jego grubości. Wydłużając się i jednocześnie grubiejąc korzonek działa na podobieństwo klina i stosunkowo znaczną posiada siłę; tak korzonek zwyczajnego grochu może poruszyć z miejsca kilko-funtowy ciężar. Wierzchołek korzonka zagrzebanego w zbitéj ziemi prawdopodobnie nie może wykonywać ruchów cirkumnutacyjnych i tym sposobem ułatwiać sobie dalszéj drogi; lecz usiłując obracać się w około, niewątpliwie znajduje on sposobność zapuszczania się do wszelkiéj bocznéj szpary, albo do przewodu wydrążonego przez dżdżownika lub gąsienicę owada, a niewątpliwą jest rzeczą, że korzenie często przebiegają w podobnych przestworach. Nadto wierzchołek korzonka, usiłując wykonywać ruchy cyrkumnutacyjne, musi na wszystkie strony cisnąć na otaczającą ziemię, co z pewnością nadzwyczaj jest dla rośliny ważne, a to dla następujących powodów.

Wierzchołek korzonka jest czuły na rozmaite podrażnienia i pod ich wpływem wywołuje ruchy w sąsiednich częściach tegoż organu. Do tego rodzaju bodźców należy lekki ucisk przez dłuższy czas działający. Siedliskiem czułości jest na ten raz wierzchołek korzonka na przestrzeni 1 do 1,5 milimetra. Ucisk na tę część korzonka pobudza sąsiednią okolicę tegoż organu na przestrzeni 6 lub 7, czasami nawet 12 milimetrów do zginania się w stronę przeciwną téj, z któréj ucisk pochodzi. Podobnie jak ucisk działa jednostronne przypiekanie wierzchołka za pomocą saletranu srebra, albo też obcięcie z jednéj strony. We wszystkich tych razach korzonek stale zagina się w stronę przeciwną téj, która została obrażona.

Wrażliwość wierzchołka na ucisk daje się uwydatnić na korzonkach wyrastających w wilgotném powietrzu, którym za pomocą szellaku w spirytusie rozpuszczonego lub gęstéj gumy arabskiéj z jed-

néj strony przylepiono kawałek grubego papieru, np. biletu wizytowego. Skutkiem ciągłego ucisku część korzonka położona nad wierzchołkiem nagina się w stronę przeciwną téj, na któréj papier naklejono. Dokonanie tego ruchu wymaga niekiedy 6—8 godzin, a co najwięcéj 24 godzin. Obszerność zgięcia bardzo bywa rozmaita; czasami korzonek przybiera poziome położenie, czasami zagina się jeszcze daléj i w końcu tworzy haczykowate wygięcie, a niekiedy powstaje pętlica, czasami nawet wężownica.

Po pewnym czasie korzonek przyzwyczaja się do ucisku i pomimo obecności papierka wyprostowywa się i przybiera pierwotne położenie geotropowe. W podobny sposób jak przylepiony papier działa wszelka przeszkoda, jaką korzonek na drodze swéj napotyka. W tym ostatnim razie korzonek także się zgina i przybrawszy poziome położenie pełza wzdłuż przeszkody, a doszedłszy do jéj brzegu raptownie zagina się ku dołowi i daléj pionowo w głąb ziemi rośnie. Raptowne zagięcie korzonka na brzegu przeszkody zostaje spowodowane siłą ciężkości, która kieruje wierzchołek korzonka ku środkowi ziemi. Skoro się wierzchołek ku dołowi skieruje, jego powierzchnia na któréj się czołga zostaje do brzegu owéj przeszkody przyciśnięta; że zaś części po nad wierzchołkiem położone posiadają własność zginania się ku stronie na ucisk wystawionéj, przeto korzonek doszedłszy do brzegu przeszkody tem prędzéj i energiczniéj musi się zaginać ku dołowi. Pierwszy popęd nadaje tu siła ciężkości działająca na wierzchołek w kierunku geotropowym, a następnie wrażliwość powyżéj położonych części szybko uzupełnia dzieło skierowania korzonka na właściwą drogę.

Stopień wrażliwości na ucisk u rozmaitych gatunków bardzo jest rozmaity. Czasami wystarcza kawałek biletu wizytowego lub zwykłego papieru do pisania 1 do 2 milimetrów długi i tyleż szeroki, a w razach szczególnéj czułości dostatecznym bywa takiż mniéj więcéj kawałek zwilżonego złota malarskiego, które zresztą bardzo powoli działa. W wyjątkowych razach czułość tak bywa wielka, że zgięcie korzonka następuje pod wpływem bryłki szellaku ważącéj zaledwie $^1/_{200}$ grana (0,32 miligrama). Najbardziéj zastanawiającą jest zdolność wierzchołka do rozróżnienia rozmaitego stopnia ucisku wywieranego przez kawałek grubego biletu i cienkiego papieru, jednakowo wielkich i nalepionych na przeciwnych powierzchniach tegoż wierzchołka, albowiem w podobnym wypadku, jak to sprawdzono na korzonkach bobu (*Vicia faba*) i dębu zwyczajnego (*Quercus robur*), korzonek zgina się w stronę przeciwną powierzchni obciążonéj przez grubszy papier, a zatém ku stronie cieńszego papieru t. j. mniejszego ucisku.

Według powyżéj przedstawionych własności korzonka wypada, że organ ten będąc w ziemi zanurzony i usiłując wykonywać ruchy obrotowe wywiera ciśnienie na otaczającą go ziemię; że zaś jego wierzchołek jest czuły na ucisk i posiada zdolność rozróżnienia rozmaitéj jego siły, przeto z konieczności musi być także czuły na rozmaitą spójność otaczającéj ziemi. Znalazłszy się pośród warstw rozmaicie zbitych, korzonek odchyli się od twardszéj warstwy i zagłębi w pulchniejszą, a napotkawszy przeszkodę obejdzie ją i znowu powróci do pierwotnego położenia.

Korzonek jest także czuły na rozmaity stopień wilgotności otaczającego środka, czyli innemi słowy okazuje własności hydrotropowe i nagina się w stronę większéj wilgotności. Jest tedy prawdopodobném, że korzonki są czułe na wilgotność gruntu. Siedliskiem czułości jest wierzchołek, który oddziaływa na sąsiednie części i zmusza je zaginać się wbrew sile ciężkości, ku wilgotniejszemu miejscu. Można tedy przypuszczać, że to samo dzieje się wewnątrz ziemi, a mianowicie, że korzonki zaginają się ku wszelkiemu źródłu wilgoci. Téj czułości korzonka na wilgoć należy prawdopodobnie przypisać fakt, że korzenie roślin często przenikają do rur drenowych.

Na dowód wrażliwości na wilgoć samego tylko wierzchołka, Darwin przytacza doświadczenia nad korzonkami bobu, owsa i pszenicy, przekonywające, że korzonek *pospolicie* nie tworzy hydrotropowego zgięcia jeżeli jego wierzchołek (na przestrzeni 1 do 2 milimetrów) zostanie pokryty nieprzemakalną mięszaniną oliwy z sadzami. Taki sam wypadek osiągnięto przez przyżeganie wierzchołka za pomocą kamienia piekielnego.

Wreszcie korzonek wielu, może wszystkich roślin, jest także nieco czuły na światło, od którego się odchyla. Darwin przypuszcza, że to unikanie światła może dopomagać korzonkowi przy zagłębianiu się w ziemię, gdy nasienie leży na jéj powierzchni.

Tak tedy—według Darwina—wierzchołek korzonka jest obdarzony rozmaitemi własnościami, które uzdalniają organ do wykonywania właściwych mu czynności z zadziwiającą dokładnością. Jakiekolwiek jest położenie kiełkującego nasienia, zawsze korzonek zwraca się wierzchołkiem ku środkowi ziemi; napotkawszy jaką przeszkodę odchyla się od niéj i obchodzi ją; wybiera pulchniejszą i wilgotniejszą ziemię; będąc na światło wystawiony odchyla się w stronę mniéj oświetloną.

Streszczone tu spostrzeżenia Darwina nad pobudliwością wierzchołka korzeni oraz jego zdolnością przesyłania podrażnień do sąsiednich części, które same przez się nie okazują wrażliwości na dany bodziec, niezwykłéj są doniosłości. Według nich, wierzchołek

korzonka zachowuje się podobnie jak ośrodki nerwowe, które odbierają pobudzenia i przesyłają je do właściwéj części organizmu wykonywającéj odpowiednie ruchy. Tym sposobem u roślin znaleźlibyśmy coś bardzo zbliżonego w swych własnościach do układu nerwowego i mięśniowego zwierząt, które to układy dotychczas uchodzą za szczególny przywiléj tych ostatnich.

Przeciwko tym niesłychanie ważnym wnioskom Darwina, Wiesner powstaje w następujący sposób.

Doświadczenia z korzonkami kukurydzy, grochu, bobu i fasoli wielkokwiatowéj (*Phaseolus multiflorus*), dostarczyły dowodu, że korzonki z wierzchołkiem obciętym na przestrzeni jednego milimetra mają wzrost upośledzony w porównaniu z korzonkami nienaruszonemi. Upośledzenie wzrostu w rozmaitym bywa stopniu, co pozostaje w związku z geotropowemi własnościami korzonka. Korzonki operowane, których wzrost mało ucierpiał pomimo braku wierzchołka, oddziaływały pod względem geotropowym i do tego tém silniéj im mniéj ucierpiały pod względem zdolności wyrastania na długość. Przeciwnie korzonki skutkiem operacyi znacznie we wzroście powstrzymane postradały własność geotropową. Opalenie wierzchołka za pomocą kamienia piekielnego takie same miało skutki jak obcięcie.

Ponieważ tedy korzonki z obciętym wierzchołkiem, przed odtworzeniem tego wierzchołka niekiedy mogą się zaginać w kierunku geotropowym, przeto nie można się zgodzić na to, aby siła ciężkości jako bodziec działała na sam tylko wierzchołek korzonka. Przeciwnie należy przypuszczać, że siła ciężkości działa wprost na tę okolicę korzenia, która ulega geotropowemu zgięciu.

Zagięcie korzonka poziomo ułożonego i następnie operowanego, według Wiesnera, należy przypisać wtóremu działaniu siły ciężkości, jak to Ciesielski uczynił. Tłómacząc zjawiska za pomocą wtórego działania siły ciężkości Wiesner powołuje się na fakta, że i w chemii i w fizyce znamy działanie pewnych sił objawiając się przez jakiś czas po usunięciu bezpośredniego ich wpływu.

Wiesner zwraca daléj uwagę na okoliczność, że sam Darwin zauważył geotropowe zgięcie korzonków z obciętym wierzchołkiem, lecz zjawisko to uznał za wyjątek.

Wreszcie Wiesner zarzuca Darwinowi, że postąpił nielogicznie, nie stosując swéj teoryi o pobudliwości wierzchołka do geotropizmu ujemnego łodygi, która się tak samo jak korzenie zachowuje. Obcięcie wierzchołka łodygi zmniejsza bujność jéj wzrostu, skutkiem czego odpowiednio zmniejszają się albo znikają jéj własności geotropowo-ujemne. Łodyga przez pewien czas poziomo leżąca a następ-

nie wierzchołka pozbawiona tak samo ulega wtóremu działaniu siły ciężkości jak korzeń w podobny sposób traktowany. W rzeczy samej Darwin zupełnie na ten raz zapomniał o łodydze, co niczego nie dowodzi.

Czułość korzonka. Wiesner przedewszystkiém zwraca uwagę na okoliczność, że korzonek może znosić stosunkowo dosyć znaczny ucisk. Jest on w stanie zagłębić się w rtęć, oraz przebić zwilżoną bibułę. Daléj Wiesner za pomocą dwóch następujących doświadczeń przekonywa, że korzonek bez odchylenia się znosi ciężar 1 grama, a nawet więcéj. Urządziwszy sprężynową wagę na jednym końcu sprężyny umieścił on maleńką miseczkę, i do tego samego końca przymocował skazówkę, poruszającą się na tarczy z podziałką. Obciążając miseczkę oznaczył jakiemu ciężarowi odpowiada każda podziałka. Miseczkę nakrył cieniutkiem szkiełkiem, a następnie po nad miseczką umieszczał kiełkujące nasienie, tak, że korzonek skutkiem rozrostu dochodził do szkiełka i wydłużając się wywierał ciśnienie na miseczkę i na sprężynę. Inne doświadczenia na tém polegały, że korzonek poziomo umieszczonego nasienia, np. bobu, spotykał na drodze wilgotny korek i wydłużając się usuwał go. We wszystkich doświadczeniach umieszczano korzonki w najpomyślniejszych warunkach wzrostu.

Wreszcie dla sprawdzenia o ile wierzchołek korzenia jest wytrzymały na ucisk, Wiesner ostrożnie wtłaczał w tkankę wierzchołka drobne drewienka albo ziarnka piasku. Korzonek nigdy nie okazywał odchylenia od strony na ucisk wystawionéj.

Tak tedy, zdaniem Wiesnera, w doświadczeniach Darwina zgięcie korzonka nie powstawało skutkiem czułości na ucisk i zjawisko innego wymaga objaśnienia. Według Wiesnera substancya użyta do naklejania papierków, a zwłaszcza szellak, zabija odpowiednią stronę wierzchołka, który w dalszym ciągu rośnie na zdrowéj stronie i tutaj staje się wypukły. Część korzonka położona powyżéj skaleczonéj strony wierzchołka zostaje pobudzona do silniejszego wzrostu i tym sposobem korzonek zgina się ku zdrowéj stronie wierzchołka. Obudzenie silniejszego wzrostu po nad nadwerężoną stroną wierzchołka pozostaje zupełną zagadką. Taki sam wpływ wywierają inne jednostronne obrażenia wierzchołka, jako to: obcięcie lub przypalenie saletranem srebra.

Jakkolwiek doświadczenia Wiesnera niewątpliwie wysoką posiadają wartość, jednakże jego zarzuty nie są zupełnie zadawalniające, albowiem nie wyjaśnia on, czy gęsty roztwór gumy arabskiéj oraz zwilżone złoto malarskie równie zabójczo działają na tkanki korzonka jak roztwór szellaku w spirytusie, przypalenie za pomocą

kamienia piekielnego, lub obcięcie jednéj strony wierzchołka. Dla zupełności dowodu należało i te szczegóły sprawdzić. Nadto Wiesner nie wyjaśnił faktu, że w razie naklejenia na wierzchołku korzenia z jednéj strony grubego, z drugiéj cienkiego papieru, korzeń zgina się ku stronie z cieńszym papierem. Istota użyta do naklejenia papierów oczywiście nic tu nie tłómaczy. Wyznaję, że dla mnie wywody Wiesnera nie są zupełnie przekonywające, bo jego doświadczenia nie obalają stanowczo poglądów Darwina na czułość wierzchołka korzeni.

Wiesner przyznaje, że korzeń napotkawszy przeszkodę odchyli się od niéj, ale dopiéro wtedy, gdy skutkiem tarcia jego wierzchołek zostanie z jednéj strony nadwerężony.

Zginanie się korzenia w stronę przeciwną téj, gdzie nastąpiło obrażenie wierzchołka Wiesner proponuje nazywać *zgięciem Darwina*.

Hydrotropizm. Wiesner przekonał się, że korzonki, których wierzchołek pokryto mięszaniną oliwy i sadzy albo powłoką szybko schnącego roztworu szellaku, wolniéj rosną aniżeli korzonki nienaruszone. Ponieważ — według niego — jak widzieliśmy, korzonki z upośledzonym wzrostem słabéj oddziaływają na siłę ciężkości, więc prawdopodobnie z mniejszą energią oddziaływają także i na inne wpływy zewnętrzne. Przytém Darwin przyznaje, że niektóre korzonki z natłuszczonym wierzchołkiem zachowywały własności hydrotropowe, co stara się wytłómaczyć okolicznością, że w takich razach tłuszcz siatkowato był na wierzchołku rozłożony a zatém nie odosabniał go od otaczającéj wilgoci.

Na mocy wszystkich tych względów Wiesner wyraża zdanie, że chociaż stanowczo nie rozstrzygnął kwestyi hydrotropizmu, wszakże uważa się za upoważnionego do wyrzeczenia, że najprawdopodobniéj wierzchołek korzenia nie jest źródłem hydrotropowego zgięcia, oraz że korzenie z natłuszczonym, przypalonym lub oblepionym wierzchołkiem dla tego nie zaginają się ku wilgotniejszéj okolicy ich otoczenia, że skutkiem operacyi wystawiono je na niezwykłe warunki bytu.

Cyrkumnutacya korzeni. Wiesner utrzymuje, że ślad rosnącego korzonka pozostawiony na zakopconéj powierzchni szkła wtedy tylko jest nierówny i przerywany, gdy warstwa sadzy znacznie jest gruba. Przeciwnie, jeżeli sadze tworzą bardzo cienką warstwę albo gdy szkło pokryte cieniutką warstewką nasienia widłaka *(semen Lycopodii)*, ślad korzonka jest nieprzerwany i prosty.

Wiesner jest zdania, że sadze w większéj ilości nagromadzone działają na wierzchołek korzenia w podobny sposób jak kamień pie-

kielny, szellak w spirytusie rozpuszczony lub obcięcie jednéj strony, t. j. że wywołują zjawisko, które nazwał zgięciem Darwina.

Mikroskopowe badania korzonków kapusty i wyki, umieszczonych w najpomyślniejszych warunkach wzrostu (w rurce szklannéj w wilgotnéj przestrzeni) przekonały, że korzonek pionowo wierzchołkiem na dół umieszczony wykonywa wahanie na prawo i na lewo, ale przeważnie w jednym kierunku, albowiem w jednę stronę zaledwie przechodzi po za linię pionową. Tak np. w jednę stronę wierzchołek korzenia odchyla się od linii pionowéj 0,25 milimetr., w przeciwną zaś stronę od linii téj odchyla się tylko 0,092 milimetr. Wahania nie odbywają się na téj saméj płaszczyznie lecz wierzchołek pochyla się także w kierunku pionowym do płaszczyzny głównego wahania.

Wiesner sądzi, że główne wahania wynikają z przeciwdziałania dążności geotropowéj i zgięcia Sachsa. Pierwsza sprowadza korzeń do pionu, drugie odchyla go w pewnym kierunku; gdy obadwa te wpływy układają się do równowagi, korzeń rośnie w prostym kierunku. Niejednakowy wzrost tkanek składających korzeń powoduje znowu odchylanie się jego wierzchołka od płaszczyzny wahań. Przechodzenie wierzchołka po za pion w kierunku przeciwnym zgięciu Sachsa będzie działaniem wtórym siły ciężkości, które zmusza korzeń do zginania po za linią pionową. Jednem słowem cirkumnutacya korzenia jest według Wiesnera zjawiskiem złożoném powstającém skutkiem działania rozmaitych wpływów, lecz w żadnym razie nie jest ruchem odrębnym, samoistnym.

Wogóle wahania są bardzo nieznaczne. Badane pod mikroskopem przedstawiają odchylenie od pionu na parę lub kilka dziesiętnych milimetra.

U roślin dwuliścieniowych, po wyjściu korzonka z powłok nasiennych, łodyżka (*hypocotyl*) ze swéj strony powłoki te opuszcza i następnie wychodzi po nad ziemię, wyjąwszy tylko gdy liścienie pozostają zagrzebane, gdyż w takim razie z ziemi pierwsze wysuwa się piórko (*epicotyl s. plumula*). Niekiedy ogonki liścieni lub liści, uprzedzają pod tym względem łodygę. Wszystkie te części podczas przechodzenia przez ziemię są w pałąk zgiętę i prostują się dopiero po wyjściu nad powierzchnią téj ostatniéj. Czasami ogonki obydwóch liścieni są z sobą zrośnięte tworząc jednociągłą pochewkę na około piórka, jak to np. spostrzegamy u *Delphinium nudicaule* i *Megarrhiza californica*. Uwięziony wierzchołek młodéj łodyżki lub pierwsze listki muszą się tedy przedewszystkiem przeciskać przez ota-

czającą pochewkę a następnie przez ziemię i podczas tego przejścia zawsze są w pałąk zgięte. U *D. nudicaule* w ten sposób wychodzą na zewnątrz ogonki pierwszych liści, a u *Megarrhiza* całe piórko. Podobne zjawisko spostrzegamy także u rozmaitych roślin dojrzałych.

Szypułki kwiatowe łuskiewnika (*Lathraea squammaria*) i korzeniówki (*Monotropa hypopitys*) wychodzą z pod ziemi w pałąk zgięte. To samo spostrzegamy u ciemiernika (*Helleborus niger*), u którego szypułka kwiatowa przebija ziemię niezależnie od liści. W podobny sposób zachowują się dalej znacznie wydłużone szypułki kwiatowe oraz ogonki liściowe dziwoczni (*Epimedium pinnatum*). Szypułki kwiatowe u jaskra *Ranunculus ficaria* także zginają się w pałąk gdy są zmuszone przebijać się przez ziemię, lecz wyrastając z bulwy nadziemnéj zachowują się w sposób nader zastanawiający, albowiem wznoszą się prosto do góry. Wreszcie ogonki listowia orlicy czyli paprotnika *(Pteris aquilina)* wychodzą z pod ziemi w pałąk zgięte.

U roślin jednoliścieniowych, mało zresztą pod tym względem badanych, liścień wychodząc z pod ziemi jest wyprostowany, lecz czasami, jak np. u roślin trawiastych, jego wierzchołek jest uwieńczony ostrą i nieco stwardniałą krawędzią, która oczywiście ułatwia przebijanie ziemi. Cebula zachowuje się odmiennie, albowiem jéj liścień wychodząc z ziemi jest pałąkowato zgięty, a szczyt pałąka posiada białą, stożkowatą narośl, oczywiście zastosowaną do torowania mu drogi.

Rozmaite tedy organa roślinne, jako to: łodyżka (*hypocotyl*), piórko (*epicotyl s. plumula*), ogonki liścieni i liści, liścień cebuli, ogonki listowia paproci, oraz szypułki kwiatowe, podczas przebijania ziemi bywają w pałąk zgięte. Powszechność zjawiska dowodzi jego znaczenia dla nasion i roślin wogóle, jak to słusznie Haberlandt zauważył. Uczony ten największe znaczenie przypisuje tu ochronie od zniszczenia delikatnych części organu, które tym sposobem są zabezpieczone od obtarcia i ucisku podczas przejścia przez ziemię. Przypuszczenie niewątpliwie jest słuszne, bo wybór naturalny z konieczności musiał utrzymać i spotęgować wszelkie zboczenia w tym mianowicie kierunku zmierzającym do zabezpieczenia piórka od nadwerężenia, lecz niepodobna odmówić także słuszności zdaniu Darwina, który co najmniéj równą wagę przypisuje spotęgowaniu siły w pałąkowato zgiętym organie, albowiem obiedwie odnogi łuku rosną i obiedwie dopóty znajdują punkt oparcia, dopóki wierzchołek organu pozostaje w powłoce nasienia. Tym sposobem wierzchołek łuku, w porównaniu z organem wyprostowanym, jest z podwójną siłą z ziemi wypychany. Po wyjściu z powłok nasiennych wierzchołka zgiętego organu całą pracę dokonywać musi odnoga podsta-

wowa, która zresztą bywa obdarzona stosunkowo potężną siłą. Tak piórko bobu, wyciągnąwszy wierzchołek z powłok nasienia, rosło w górę z siłą wystarczającą do podniesienia cieniutkiéj blaszki cynkowéj obciążonéj 12 uncyami. Całéj pracy dokonywała tu sama tylko podstawa organu.

Na pierwszy rzut oka przyczyna takiego zaginania się w pałąk rozmaitych organów roślinnych zdaje się polegać na sposobie ułożenia zarodka w nasieniu, wszelako nie jest to jedyny powód, gdyż pałąkowate zgięcie często występuje dopiéro po wyjściu organu z powłok nasienia, albo téż pierwiastkowo bardzo jest słabe i dopiéro przy dalszym rozroście coraz silniéj występuje. Możnaby powiedziéć, że pierwotnie pałąkowate zginanie się rozmaitych organów zarodka powstało skutkiem ich uwięzienia w powłokach nasienia, albo skutkiem tarcia podczas przebijania ziemi. Przypuszczenie może być słuszne, ale obecnie skłonność do zginania się oczywiście jest w wysokim stopniu dziedziczna, albowiem występuje nawet wtedy, gdy zupełnie usuniemy owe przypuszczalne przyczyny, a mianowicie gdy zdejmiemy powłokę z ziarn kiełkujących i umieścimy je w wilgotném powietrzu, gdzie oczywiście rozwijające się organa są wolne od wszelkiego ucisku lub tarcia. Niedosyć na tém, łukowate zgięcie często występuje tam, gdzie obecnie stanowczo żadnego nie ma znaczenia dla odpowiedniego organu, lecz zostało utrzymane skutkiem dziedziczności czyli *atawizmu*. Tak np. u bobu i wielu innych roślin strąkowych, jak to Sachs pierwszy zauważył, łodyżka zgina się pałąkowato, chociaż słabo jest rozwinięta i nigdy z ziemi nie wychodzi pozostawiając liścienie pod jéj powierznią (zgięcie Sachsa). Jestto oczywiście własność odziedziczona po przodkach z normalnie rozwiniętą łodyżką łukowato zginającą się podczas wychodzenia z ziemi. Innemi słowy, prawdopodobnie wszystkie rośliny strąkowe z podziemnemi liścieniami pochodzą od form posiadających i łodyżkę i liścienia nadziemne, oraz pałąkowato zgiętą łodyżkę, jak wogóle u roślin dwuliścieniowych. W rzeczy samèj, u niektórych roślin strąkowych łodyżka i liścienie są nadziemne, chociaż w rodzinie téj są one po większéj części podziemne. Najbardziéj nauczającym jest tu rodzaj fasoli (*Phaseolus*), gdyż liścienie u jednych gatunków są podziemne, u innych zaś nadziemne. Z pięciu badanych gatunków trzy posiadają liścienie i łodyżkę nadziemne (*Ph. vulgaris*, *Ph. Hernandesii* i *Ph. Roxburghii*), gdy tymczasem u dwóch pozostałych (*Ph. multiflorus* i *Ph. caracalla*) obadwa te organa są podziemne. Nauczający ten fakt pozwala przypuszczać, że pierwotnie liścienie wszystkich gatunków fasoli były nadziemne, lecz następnie u nie-

których przestały wznosić się nad powierzchnię ziemi, lecz pomimo to łodyżka zachowała charakterystyczne zgięcia.

Bądź co bądź pałąkowate zgięcie rozmaitych organów roślinnych według Darwina jest objawem ruchu obrotowego czyli cirkumnutacyjnego, zmienionego skutkiem spotęgowania wzrostu na wypukłéj stronie organu co jednakże trwa do pewnego tylko czasu, gdyż ostatecznie organ prostuje się skutkiem zwiększonego wzrostu na stronie wklęsłéj. W końcu nie pozostaje śladu pierwotnego zgięcia.

Rozmaite poprzednio rozpatrywane organa pałąkowato zgięte bez ustanku wykonywają ruchy obrotowe, albo przynajmniéj usiłują je wykonywać. Bez względu na położenie kiełkującego nasienia, łukowata łodyżka lub piórko zaraz po wyjściu z powłok nasienia dążą do położenia pionowego i ku zenitowi, to jest innemi słowy zdradza własności ujemno geotropowe, czyli apogeotropowe. Skutkiem ciągłego wzrostu obydwóch odnóg, oraz w mniejszym stopniu skutkiem ruchów obrotowych, łukowato zgięty organ wysuwa się z pod ziemi. Gdy najsłabszy promień światła dosięgnie rosnącéj łodyżki kieruje się ona w jego stronę. Ta heliotropowa dążność jest kierownikiem rośliny pośród szpar ziemi i poplątanéj roślinności pokrywającéj kiełkujące nasienie, bo apogeotropizm może tylko naoślep prowadzić roślinkę ku górze. Dla téj to prawdopodobnie przyczyny, zdaniem Darwina czułość na światło spoczywa w wierzchołku łodyżki, u wielu przynajmniéj roślin, oraz w wierzchołku liścienia roślin trawiastych, o czém poniżéj będzie mowa.

Skutkiem ciągłego wzrostu łukowato zgiętéj łodyżki liścienie zostają wyciągnięte z ziemi, a pokrywy nasienne albo pozostają pod ziemią, albo też przez pewien czas pokrywają wyszłe po nad nią liścienie. W końcu nabrzmiewające liścienie zrzucają powłokę, a czasami spostrzegamy szczególniejsze przyrządy do rozłupywania téj ostatniéj, jak np. u roślin dyniowatych (*Cucurbitaceae*), u czułka (*Mimosa*) i niektórych innych roślin.

Dla obrazowego przedstawienia ruchu organów roślinnych przebijających ziemię, Darwin przytacza następujące porównanie. Wyobraźmy sobie człowieka zasypanego sianem, który pod gniotącym go ciężarem upadł na ręce i na kolana oraz na bok się przewrócił. Przedewszystkiem usiłuje on podnieść grzbiet do góry obracając się jednocześnie na wszystkie strony aby się nieco uwolnić od przygniatającego ciężaru. Te ruchy mogą wyobrażać połączony skutek apogeotropizmu i cirkumnutacyi w razie, jeżeli ziarno jest tak zakopane, że jego łodyżka albo piórko wychodzi z nasienia poziomo albo pochyło i stopniowo przybiera pionowe położenie. Człowiek wzięty za przykład ciągle obracając się podnosi wreszcie grzbiet jak tylko można

najwyżéj; może to wyobrażać wzrost i ciągłą cirkumnutacyę pałąkowatéj łodyżki lub piórka, przed dojściem do powierzchni ziemi. Człowiek czując się zupełnie wyswobodzonym z pod siana podnosi górną część ciała, ciągle jeszcze klęcząc i obracając się; może to wyobrażać pochylenie ku tyłowi dolnéj odnogi łuku, co po większéj części dopomaga do wyciągnięcia liścieni w zakopanych i pękniętych pokryw nasiennych, oraz do wyprostowania całéj łodyżki lub piórka, przyczem cirkumnutacya nie ustaje.

Liścienie wyszedłszy z ziemi zaczynają działać jako liście; rozkładają dwutlenek węgla (kwas węglany), oraz innym częściom roślinki oddają nagromadzone w nich zapasy pokarmu. Liścienie zawierające znaczny zapas pokarmów pospolicie pozostają pod ziemią (są podziemne) z powodu słabego rozwoju łodyżki; może to być bardzo skutecznym środkiem ochrony przed niebezpieczeństwem pożarcia przez zwierzęta; podobna ochrona nie mogła być obojętną dla wyboru naturalnego, który przy sprzyjających okolicznościach z pewnością ją rozwinął. Czasami, dla niewiadomych powodów, pokarm bywa nagromadzony w łodyżce lub w korzonku, a wtedy jeden albo obadwa liścienie bywają szczątkowe, albo téż zupełnie znikają. Tak pomarańcza posiada liścienie różnéj wielkości; u *Abronia umbellata* i *arenaria* jeden z liścieni jest zupełnie szczątkowy. Z drugiéj znowu strony ziarnopłon czyli jaskier trędowy (*Ficaria ranunculoides* s. *Ranunculus ficaria*), niektóre gatunki świerząbka (*Chaerophyllum*) i kokorycza (*Corydalis*) jeden tylko posiadają liścień. Daléj niektóre kaktusy mają obadwa liścienie szczątkowe (*Cereus Landbeckii*, *Echinocactus viridescens*), a niektóre inne przedstawiają natomiast tylko punkta albo nacięcia na wierzchołku zgrubiałéj łodyżki (*Ripsalis cassytha*, *Pilocereus Houlletii*). U brudnoty (*Stapelia sarpedon*) z rodziny trojeściowatych (*Asclepiadeae*) wierzchołek łodyżki jest znacznie zgrubiały i opatrzony dwoma maleńkiemi liścieniami mniéj więcéj cztery milimetry długiemi.

Bulwiaste korzonki bywają niekiedy zakopywane pod ziemię skutkiem dziwnéj własności ogonków liścieniowych, które pierwsze wychodzą z ziarna i odznaczając się własnościami geotropowemi natychmiast zagłębiają się w ziemię, pociągając za sobą maleńki pierwiastkowo korzonek. Takie kiełkowanie spostrzegamy u *Megarrhiza californica*, *Ipomea hypophylla* i *Ipomea pandurata*. Skutkiem takich szczególnych własności ogonków liścieniowych bulwiasty korzeń chroni się pod ziemią przed napaścią roślinożernych zwierząt a nad-

to, przynajmniéj u *Megarrhiza*, tym sposobem piórko zostaje zabezpieczone przed mrozami zimowémi.

Według świeżych spostrzeżeń De Vries'a u wielu roślin dwuliścieniowych kurczy się miąsz górnéj części korzonka, skutkiem czego łodyżka a czasami i liścienie także ulegają zagrzebaniu. W niektórych razach w podobny sposób kurczy się łodyżka. Przypuszczają że to zagrzebywanie pod ziemią ochrania roślinkę przed mrozami zimowemi.

Młoda roślinka, wyprostowawszy łodyżkę i rozpostarłszy liścienie, przez pewien czas nie przestaje poruszać temi organami, które wykonywają stosunkowo obszerne i szybkie obroty. Kiełkująca roślinka o tyle tylko może osiągnąć korzyść z tych ruchów, o ile te ostatnie ulegają zmianom skutkiem działania światła lub siły ciężkości, albowiem tym sposobem jéj ruchy stają się obszerniejsze i szybsze aniżeli u rośliny dojrzałéj. Rośliny kiełkujące są wystawione na bardzo ciężką walkę o byt, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nadzwyczaj jest dla nich ważném jak najprędsze i jak najdoskonalsze zastosowanie się do otaczających warunków. Ztąd to pochodzi nadzwyczajna ich czułość na światło i siłę ciężkości. Liścienie niektórych gatunków są czułe na dotknięcie, lecz prawdopodobnie jestto tylko pośrednim wynikiem przytoczonych form czułości, gdyż nie ma zasady do przypuszczania aby roślina mogła ztąd osiągnąć jaką korzyść.

Według Darwina dojrzała roślina bez ustanku porusza młodemi częściami swego organizmu. Dla obrazowego przedstawienia cyrkumnutacyjnych ruchów rośliny badacz ten przytacza następujący przykład. Patrząc na robinię (*Robinia pseudoacacia*) możemy być pewni, że każdy z niezliczonych pędów bez ustanku zakreśla małe elipsy, i że to samo czyni każda szypułka i każdy listek. Listek, podobnie jak zwykły liść pojedyńczy, pospolicie porusza się do góry i na dół prawie na téj saméj płaszczyznie pionowéj, skutkiem czego zakreśla elipsy nadzwyczaj wązkie. Daléj, szypułki kwiatowe także bez ustanku się poruszają, a gdybyśmy mogli spojrzéć pod ziemię i posiadali oczy obdarzone siłą mikroskopu, spostrzeglibyśmy, że wierzchołek każdego korzonka usiłuje zakreślać małe elipsy lub okręgi koła o ile pozwala na to spójność otaczającéj ziemi. Wszystkie te zadziwiające ruchy ciągle powtarzają się przez cały szereg lat, od chwili gdy drzewo po raz pierwszy wyszło z ziemi jako kiełkująca roślinka.

Łodyga przybiera niekiedy postać rozłogu (*stalo*), tj. jako giętki pęd pełza po ziemi, od czasu do czasu puszczając korzenie. Poziomka i truskawka doskonałym są tego przykładem. Wierzchołek rozłoga porusza się do góry i na dół w kierunku pionowym, oraz wykonywa ruchy poziome bardzo obszerne. W ogóle cirkumnutacya tak dalece jest tu obszerna, że ją można niemal porównać z cirkumnutacyą wijących się roślin. Rozłogi mogą tym sposobem przebywać rozmaite przeszkody, czy to wspinając się na nie, czyli też obchodząc z boku. Prawdopodobnie obszerność cirkumnutacyi dla tego właśnie została powiększona.

(*d. n.*) *A. Wrześniowski.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

VI.

Księgozbiór Puławski, wśród tylu innych drogocennych zbiorów, zdobiących to miejsce, należałoby nazwać nieoszacowanym, bo oprócz biblioteki Załuskich nikt w Polsce podobnego nie posiadał. Książę feldmarszałek odziedziczył po Sieniawskich, Denhoffach, Flemingach, stryjach kanclerzu i Teodorze biskupie poznańskim i po stryjence hetmanowéj Ogińskiéj nietylko majątek nieruchomy, ale i ruchomości. Już więc familijne zbiory książek i rękopismów zastał i liczne i ważne. Adam Sieniawski hetman i jego małżonka, żyjąc w epoce kiedy Karol XII rozgromiwszy Sasów, przegrodził swémi zastępami cesarza Piotra, od sprzymierzeńca jego Augusta II, oczekiwali na wypadki a widząc tron polski osierocony, bo August go się wyrzekał, rozmaite dopuszczali myśli. Hetman to skłaniał się do popierania syna Piotra W., to myślał, że w ślad Wiśniowieckich i Sobieskich korona wejdzie w dom jego, a w porównaniu do młodego wojewody poznańskiego, więcéj rzeczywiście przedstawiał zasług. Małżonka jego, kobieta wysoko wykształcona, dowcipna, stała się narzędziem a może i sprężyną tych planów. Utrzymywali oboje częstą korespondencyą z Piotrem, z Augustem, a nawet z Leszczyńskim. Wszystkie te ważne do ówczesnéj historyi dokumenta, te listy i odpowiedzi stanowiły bogatą podstawę księgozbioru. Późniéj, jak wiadomo, książę kanclerz wraz z wojewodą ruskim za ostatniego Sasa w rzeczypospolitéj przewodzili i byli głową stronnictwa, dążącego do reform, kiedy znowu Flemingowie, Sasów faworyci, z innego stanowiska sprawę publiczną traktowali. Wszystkie zaś korespondencye i Czartoryskich i Flemingów w tym zbiorze się znajdowały.

Książę feldmarszałek, sam autor i gruntowny znawca swojéj i zagranicznéj literatury, filolog znakomity, całe życie zwiększał swój

księgozbiór. Ci, którzy go bliżéj znali, twierdzili, że innéj nie miał namiętności. Nigdym go nie widział grającego w karty, dla agitacyi tylko czasami robił parę partyi bilarda z Rogalińskim, Ciesielskim, lub majorem Orłowskim, nie zdawał się miłośnikiem sztuk pięknych, bo nigdy ani rzeźb ani obrazów nie kupował, nie lubił i nie posiadał kosztownych sprzętów i jedyny zbytek jego stanowiły książki. Sam własnoręcznie prowadził korespondencye ze znakomitszymi księgarzami, a ci mu donosili nietylko o książkach świeżo z druku wychodzących, ale o rękopisach i rzadkościach bibliograficznych, które gdziekolwiekbądź nabyć można było. Tym sposobem księgozbiór co roku zwiększał się znakomicie, ale jednorazowy wzrost jego do ocenienia trudny, miał miejsce przez nabycie zbiorów Tadeusza Czackiego z Porycka. Po włączeniu tego nabytku do biblioteki puławskiéj, powszechnie utrzymywano, że ona stanowi najbogatszy księgozbiór w kraju.

Na nieszczęście porządnego jéj katalogu nigdy ułożyć nie zdołano. Był to las, dziewicza gęstwina Brazylijska, w któréj błądzić się musiało, bo nie było przewodnika. Za mojéj pamięci bibliotekarzem był naprzód Ernest Groddeck, ten jednak wyszukiwał tylko rzeczy do jego specyalności należące, a o porządkowaniu książek na pałkach ani myślał. Po nim inny sawant Holtzmann, pieczę nad skarbami témi objął, ale zatopiony w układaniu swojego *Lexiconu*, w końcu zwaryował. Przez niejaki czas zajmował się także biblioteką Kruszyński, lecz prawdziwa era jéj porządkowania nastąpiła za Sienkiewicza. Ten nietylko ją zaczął podług najnowszego systemu katalogować, nietylko przy téj pracy poodkrywał skarby dotychczas nieznane lub zapomniane, ale przystęp i korzystanie z biblioteki ułatwił, służbę jéj urządził i upożytecznić ją dla ogółu zamierzył. Pod jego kierunkiem założono nadto w Puławach drukarnią, w któréj zaczęto drukować nieznane rękopisma, innym także powierzano wydawnictwa i oprócz funduszu na ten cel stałego, umyślono go zwiększać przez sprzedaż dubletów.

O skarbach tych trudno z pamięci dać wyobrażenie; trzebaby ją chyba mieć taką, jaką był obdarzony biskup Załuski, który będąc w niewoli miarowym wierszem opisał swój księgozbiór. O najważniejszych jednak rzeczach wspomnę o tyle o ile zdołam i o ile one przy rozpoczęciu porządkowania przystępne były. Oglądałem tam wspaniałe kodeksy Kadłubka, Długosza, Janczara Polaka i dwa znakomicie dochowane Galla. Również anonima Jana, archidyakona gnieźnieńskiego, Heidenstejna: życie Jana Zamojskiego, gdzie o wzywaniu pomocy Karola, księcia Sudermanii i o staraniach Zamojskiego o tytuł książęcy bardzo ciekawe szczegóły. Daléj nieznajomego

autora historya panowania Zygmunta Augusta, Orzelskiego toż panowanie, obecnie z druku już znane, zbiór kompletny Stanisława Górskiego, zwany aktami Tomickiego, zbiór tak zwany Dogiela, zbiory Naruszewicza, obejmujące nie tylko tom I jego dzieła, ale i wszystkie materyały do dalszego ciągu historyi polskiéj nagromadzone, Kojałowicza, herby polskie, akta konfederacyi Targowickiéj, zbiór rękopismów dotyczących panowania Zygmunta III, i zbiór korespondencyi Jana Chodkiewicza. Z królewskich autografów były wszystkie, począwszy od Kazimierza W., nawet tak rzadkie jak Władysława Warneńczyka i Jana Olbrachta.

Z ciekawości i rzadkości przypominam sobie:

Ułamek kazania z r. 1243.

Ułamek tłómaczenia biblii na język polski z rozkazu królowéj Jadwigi, dokonany przez Jędrzeja de Jossowie. Najdawniejszy to podobno ślad języka polskiego, bo pieśń Bogarodzica, czyli jest dziełem św. Wojciecha nie dowiedzione i znana nam tylko z druku, dokonanego r. 1506—ten zaś ułamek pochodził z r. 1390.

Oryginał rozgraniczenia między Litwą a Mazowszem, podpisany przez książąt Kiejstuta i Olgierda w r. 1358.

Rękopis o sztuce wojennéj Alberta I księcia pruskiego, na pargaminie z malowaniami.

Z rzeczy prawnych:

Przekład praw polskich i mazowieckich z lat 1449 i 1450.

Statut litewski z r. 1538 itd.

Autografów ludzi znakomitych mnóstwo jak równie i rękopisów w druku już znanych jak na przykład Ostroroga, Górnickiego i tym podobnych.

Co do druków wszystkie feniksy, kruki białe znajdowały się tu w edycyach dobrze przechowanych, lub tak doskonale facsimilowanych w kartach brakujących, że podrobienia rozpoznać nie było można.

Biblioteka ta nadto nie ograniczała się wyłącznie do literatury polsko-łacińskiéj. Owszem oprócz biblii Mogunckiéj wszystkie inne tu posiadano, a Aldy, Elzewiry, Scheffery, Etienny, wszelkie edycye najdroższe jak Biponckie, *ad usum delfini*, angielskie, Didota, z najpyszniejszémi sztychami, które po kilka tysięcy złotych kosztowały, tu w obfitości spotkać można było.

Za Grodka i Holtzmana pożyczano nawet dzieła rzadkie i drogocenne za pozwoleniem księcia. Za Sienkiewicza zwyczaj ten ustał i natomiast urządzono czytelnią. Tu dozwolono wszystko czytać, przeglądać, robić wypisy i notaty i kopiować całe rękopisma. Wten-

czas także uporządkowano szafy, opatrzono je zamkami i mosiężną siatką.

Drukarnia Puławska lat tylko kilka czynna, upadła zaraz z rozproszeniem się tych wszystkich zbiorów, o których tu pokrótce wspomniałem. Wytłoczone w drukarni tęj książki będą kiedyś taką rzadkością, jak pochodzące z Lubcza, Grodziska, Baranowa itd. które dziś na wagę złota się płacą.

Uprzejmość, jaką okazywano dla każdego zgłaszającego się do obejrzenia tych skarbów była trudna do wysłowienia, a zwiększała się ona jeszcze znacznie, jeżeli kto dla robienia wypisów i notat, dla sprawdzania rękopisów i wogóle dla pracy naukowéj tu przybył. Niestety zawsze zakłady podobne umieszczone na wsi nie mogą wywierać takich korzyści jak w dużych miastach. Odległość, koszta podróży i potrzeba bawienia w miejscu obcém odstręczały wielu badaczów.

Wyliczałem już wyżéj osoby, które na dworze Puławskim widywałem i które mi wspomnienia moje przywodzą, lista ich tam nie wyczerpała się cała, dla tego jeszcze raz do tego sposobu opowiadania powracam, żeby narysować zlekka osoby, które o Puławy się otarły, a w swoim czasie były z jakiegokolwiekbądź względu godne uwagi, a przez to i wzmianki. Zaliczam do nich:

Księżnę Radziwiłłową, z domu Przezdziecką. Była to osoba już w wieku. Włosy śnieżnéj białości w tym czasie, kiedy ją poznałem, nosiła krótko obcięte. Na twarzy jéj widne były jeszcze ślady wielkiéj piękności, z któréj w swoim czasie słynęła i którą ujarzmiła ambasadora rosyjskiego Stackelberga. Pełna gustu i naturalnego rozumu, choć trochę za rubaszna, jak o tém świadczy wyjątek z listu Niemcewicza, pisanego do mojéj matki, ona to ufundowała tę sprawiedliwie słynną Arkadyą, na któréj ozdobę Petersburg i Grecya zarówno łożyły.

Nie zboczę, zdaje mi się od opowiadania swojego bardzo, skoro tu miejscowości téj słów parę opisu poświęcę. Tém więcéj, że choć jak powiadają przechowuje się ona do dnia dzisiejszego dobrze, jednak tyle w życiu swém widziałem zbiorów, które się rozpierzchły, zakładów, które ruinie ulegały, że nie popełnię niestosowności jeżeli opis ten zostawię.

Arkadya o pół mili od Nieborowa i tyleż od Łowicza odległa, położona wśród płaszczyzn Łowickich, gdzie oko niczém nie zakreślony widzi horyzont i gdzie wśród piasków znajdowało się tylko małe błotko, olszynką zarosłe, tam księżna postanowiła zmusić naturę do piękności i z prawdziwie piaszczystego morza utworzyła cudowne ustronie. Jeśli jaki zarzut kreacyi téj zrobić można to, niezawo-

dnie zanadto wielkie ścieśnienie budowli, choć przegrodzonych klombami i ścieżkami umiejętnie przeprowadzonémi. Ten błąd wprawdzie nie dawał się dostrzegać kiedy księżna sama, przebrana za grecką kapłankę gości oprowadzała. Co chwila wtedy zatrzymywała się, rozprawiała, opowiadała dowcipne historye i bawiąc gości budziła w nich przekonanie, że budowle są dosyć odległe. Lecz kiedy w jéj nieobecności sam gość Arkadyą zwiedzał,. przekonywał się, że jeden budynek nie jest od drugiego więcéj odlegly jak o 40 łokci. To téż słusznie wyraził się ks. Eckmühl, który zwiedzając tę miejscowość powiedział o niéj: *C'est le plus beau garde meuble, que j'ai vu.*

Księżna nie poczynała oprowadzania gości od głównego wejścia, ale wchodziła z nimi boczną furtką, wiodącą do jéj domku mieszkalnego, zwanego domkiem gotyckim. Podstawę jego stanowiły ogromne odłamy kamienia, tworzące kształtną grotę, ocienianą paprociami i rozmaitemi wijącemi się roślinami. Tu ukryte schody wiodą do wznoszącego się wyżéj domku, ten zaś postawiony z jakiegoś rodzaju rudy błotnéj doskonale nadaje murom cechę starożytności. Wewnątrz wszakże, oprócz szyb pięknie malowanych nic godnego uwagi nie ma. Ztąd po pod gotyckiém sklepieniem wychodzi się na trawnik klombami okolony, z którego widok na Nieborów i znajdującą się w głębi świątynię. Świątynia od strony domku jest półokrągła wsparta na sześciu kolumnach, między któremi dwa piękne pomniki greckie. W przedsionku wazon antyczny oparty na dwóch gryfach także greckiéj roboty. Przy ławce mahoniowéj kilka par obuwia mieszkańców wyspy Otahiti. W pokoju, który do przedsionka tego dotyka przy drzwiach organy, a w oknie biuro, na którém mnóstwo ładnych drobiazgów. Przy drzwiach posąg bożka milczenia, a kolo niego marmurowa misa do mycia rąk różaną wodą; płynącą z umieszczonego po nad nią srebrnego naczynia.

W świątyni saméj sufit malowany *al fresco* przez Norblin'a wystawia jutrzenkę, otwierającą wrota dniowi, koloryt jaskrawy, żywy, a konie Apolina cudne. Ściany marmoryzowane białe, w głębi ołtarz marmurowy, oparty o zwierciadło olbrzymich rozmiarów. Na prawo ołtarza wymalowany bożek miłości, który odbijając się w zwierciadle piękny czyni efekt. Obok ołtarza wazony marmurowe i japońskie. Z jednéj strony sofa okrągła, kryta dywanami, a raczéj tyftykami ze skarbca Tippo-Saiba, które aż tu zawędrowały. Prócz tego starożytna głowa Nioby, dwa posągi greckie, kilka wazonów, kandelabry starożytne i narzędzia muzyczne greckie. Za świątynią mieści się gabinecik okrągły. Ściany jego malowane olejno przez Norblina, przechowały widok Powązek, tak jak one były w najświetniejszym swym stanie. W pokoiku tym znajdują się dwa

cudne i nieoszacowane stoliki, jeden malachitowy, a drugi porfirowy. Na pułkach naokoło mnóstwo cennéj porcelany. Przeciwna strona świątyni, którą się wychodzi, ma fronton attycki dopiera do jeziorka lasem olszowym obrośniętego. Szczątki w nim wodociągu starożytnego ustrajają pejzaż. Na kilka kroków od świątyni mieszkanie kapłanów, budowa prosta, ale na placu przed nią rozstawione mnóstwo szczątków rzeźb starożytnych, posągów, wazonów, sarkofagów, kolumn. Wszystko to z wysp greckich przez Orłowa Czesmeńskiego przywiezione, księżna Radziwiłłowa dostała w darze od cesarzowéj Katarzyny. W głębi kolumny ze świątyni Neptuna i biust Eskulapa.

Niedaleko od tego miejsca pobudowano cyrk, zupełnie naśladujący starożytne—z gradusami, rostrami i innemi ozdobami. Obeliski i kolumny z orłami są z marmuru ingryjskiego. Koło cyrku kaplica architektury tybetańskiéj, z wejściem od spodu, cała jest bowiem na sklepieniu tworzącém próżnię oparta. Drzwi do niéj piękne, brązowe, a wewnątrz pięć rysunków olbrzymich, sepią przez Seidenmanna dokonanych, wyobrażających: Najświętszą Pannę Syxtyńską—Rafaela Magdalenę—Batoniego, spoczynek w Egipcie, Urodzenie Samsona gieniusz sławy—Annibala Caracci. Tu także znajduje się piękny nagrobek z marmuru czarnego, na którym postać kobieca wykuta w marmurze białym. Po drugiéj stronie świątyni amfiteatr rzymski z pamiątkami egipskiemi.

Za tą budową znajduje się słynny pałac kryształowy. Ściany ego są z tafli szkła tak wielkich, że cztery składa się ich na szerokość, a tylko jedna na wysokość. Wewnątrz firanki kryształami ozdobione i mnóstwo kryształowych naczyń. Effekt gmach ten, kiedy znajdujemy się w jego wnętrzu robi ogromny, szkło bowiem tak jest czyste, że spostrzedz się nie można, że nas ściany od zewnątrz oddzielają. Do tego pałacu przysłano z Petersburga kopułę szklaną, ale ta przez spaczenie się podstawy, na której była osadzona, pękła i odłamów jéj użyto za rezerwoary do fontan, w których woda się zbiera. Powiadają, że wydęcie téj olbrzymiéj bani, przypłaciło życiem kilkunastu ludzi, dmuchali bowiem aż do pęknięcia płuc. Taką tedy była owa Arkadya, którą wielu ciekawych zwiedzało.

Księżna Radziwiłłowa miała jednę szczególność, że krzyczała zamiast śmiać się. Podobnego zjawiska u nikogo nie spotkałem. Familijne jéj stosunki nie należały do szczęśliwych. Miała dwie córki, Różę, która umarła panną i Anielę, pierwszą żonę ks. Konstantego Czartoryskiego, którą przeżyła także, synowie: Antoni, namiestnik poznański, ożeniony z księżniczką Ludwiką Pruską, Ludwik, późniejszy ordynat klecki, żonaty z wdową po Walewskim Kazimie-

rzu, Michał jenerał i Walenty. Mąż jéj książę Michał, wojewoda Wileński, który synom Ludwikowi, Michałowi i Walentemu tylko po sto dukatów pensyi rocznéj płacił, który dla żony nie był także hojniejszy, wyrzucał ogromne pieniądze w Warszawie dla przypodobania się trzem siostrom, córkom majętnego młynarza z pod Nieborowa, które, odznaczające się pięknością i dobrze wychowane, nad sercem jego zapanowały. Książę oprócz tego miał inne zamiłowanie. W Nieborowie nagromadził ogromne skarby w obrazach, książkach i pysznych pomarańczowych drzewach, które zakupione u Moszyńskiego w Dreźnie, wodą tu dostawione były. W galeryi jego sławny Paul Potter, przedstawiający polowanie w lesie, zapłacony był dziesięć tysięcy dukatów.

Książę wojewoda Wileński miał brata, Dominika, który umierając zostawił wdowę i troje dzieci, syna i dwie córki. Opiekę nad ich majątkiem i osobami objął książę Wojewoda i dzieci z matką do Nieborowa sprowadził. Tu podczas upału dano im chłodzącego jakiegoś napoju i dzieci pochorowały się, dostając symptomatów, odznaczających cholerę, chorobę jeszcze u nas wtedy nieznaną. Syn w kilka godzin umarł, a księżna Dominikowa w przekonaniu, że dzieci jéj otrute, z córkami natychmiast wyjeżdżać chciała. Gdy zaś książę Wojewoda temu się sprzeciwiał, potajemnie Nieborów opuściła sama i przed prezesem Regencyi Hoymem oskarżyła księcia Michała. Niemiec, zabrawszy pomoc wojskową, zjechał do Nieborowa, księżniczki zabrał i matce je oddał.

Kiedym w r. 1805 czas jakiś w Nieborowie bawił, zaszedł zabawny wypadek. Przybyło kilka osób z Warszawy odwiedzić Arkadyą, i z nimi udaliśmy się tam wszyscy. Po oględzinach zebrane towarzystwo postanowiło użyć przejażdżki po jeziorze na małym, płaskim galarze, który się tutaj znajdował. Nie obliczono jednak ciężaru i zaledwie od brzegu odbito, statek zaczął tonąć i na dnie osiadł. Ci, których wzrost wysoki, lub umiejętność pływania od zatonięcia ocaliły, wyciągali z błota omdlałe damy. Książę Stanisław Jabłonowski, który się także na statku znajdował i który wtenczas zapamiętale był zakochany w pannie Ewie Kickiéj, o niczém innéni nie myślał, tylko o uratowaniu przedmiotu swojéj miłości. Co którą damę wyciągnął—to nie ta mówił—i napowrót nielitościwie do wody ją rzucał. Szczęściem nikt nie utonął, ale większa część płci pięknéj z przemoczenia i przeziębienia się rozchorowała, wszyscy bowiem dopiero w Nieborowie odzież zmienić mogli.

Koło r. 1802 ks. Konstanty Czartoryski pojął za małżonkę córkę Radziwiłłów, księżniczkę Anielę, osobę piękną i miłą. Stała się ona jedną z ozdób Puław, bo chociaż książę ojciec oddał synowi klucz

Międzyrzecki, rzadko jednak tam przemieszkiwali i najczęściéj w Puławach bawili. O posag księżniczki długie były spory i książę Wojewoda, opierając się na jakichś zwyczajach Radziwiłłowskich, dając córce 200.000 złp. posagu, żądał koniecznie, aby książę Konstanty sukcesyi się wyrzekł. Mój ojciec układy prowadził i dokazał po wielu trudach, że w kontrakcie przedślubnym o tém zrzeczeniu się nie uczyniono wzmianki. Księżniczka Aniela była śliczna blondynka, wzrostu średniego, rysy twarzy miała regularne, oczy błękitne i usta ładne tylko cokolwiek za duże. Nie dlugo żyła i na suchoty umarła.

Powinowactwo familijne, jakie wskutek tego małżeństwa powstało, było powodem, że księżna matka i po kolei jéj synowie prawie ciągle siedzieli w Puławach. Księżna Radziwiłłowa nigdy na śnieżnych swych włosach innego nie nosiła ubrania tylko przepaskę, najczęściéj złotą. W szatach białych, krojem greckiéj tuniki i, jakkolwiek już w wieku posunięta, zawsze wesoła. Wczesne siwienie włosów było w téj familii dziedziczne i wszyscy synowie w sile wieku siwizną już byli okryci.

Najstarszy z synów książę Antoni, poślubiwszy księżniczkę pruską w Berlinie przesiadywał, kiedy jednak odwiedzał Polskę, nigdy Puław nie mijał. Mężczyzna piękny, wielki miłośnik muzyki, był autorem partycyi do Fausta Goethego. Żonę jego, księżnę Ludwikę przyjmowano w Puławach z uszanowaniem należném osobom z familii panującéj. Była to kobieta miła i grzeczna, ale przywykła do wymagań dworskich, zbyt ulegała jarzmu etykiety. Aczkolwiek wówczas młoda i chętnie udział w zabawach biorąca, stawała się w nich oględną i to otrętwiało wesołość szczerą, zwykle w Puławach panującą.

Książę Ludwik Radziwiłł, równie jak i młodsi jego bracia był w ciągłym niedostatku, tém większym, że ożenił się z wdową ubogą a dzietną. Posiadał jednak zawsze niewyczerpany zapas wesołości, a w 1807, odziedziczywszy ordynacyą Klecką i Dawidgrodzką, po zgonie Wojewody Trockiego, Warszawę opuścił i stale osiadł na Litwie.

Do stalych gości Puław, a nawet jakby domowników, należała także pani Sewerynowa Potocka, elegantka warszawska, mająca pretensyą do serca Stanisława Augusta, z domu Sapieżanka, siostra ks. Franciszka Sapiehy, pani Jelskiéj i pani Sołtykowéj. Początkowo zaślubiona ks. Hieronimowi Sanguszce wojewodzie wołyńskiemu, po rozwodzie z nim wyszła za Seweryna Potockiego krajczyca koronnego, brata Jana, słynnego z podróży swych i dzieł, już dzisiaj rzad-

kich, w języku francuzkim pisanych, a dotyczących historyi plemion słowiańskich. Jana Potockiego raz tylko widziałem w Puławach. Ciągle podróżując, lub zajęty swemi naukowemi pracami, mało w kraju przesiadywał. Pojął za małżonkę jednę z córek ks. Marszałkowéj Lubomirskiéj, lecz ta krótko żyła i powiwszy mu dwóch synów Alfreda i Artura, umarła. Obadwaj chłopcy wychowani w Wiedniu, często u babki w Łańcucie przesiadywali. Po śmierci pierwszéj swéj żony ożenił się Jan Potocki powtórnie z córką Szczęsnego Potockiego i z niéj miał syna Bernarda. Sam, zdaje mi się na Podolu, samobójstwem życie zakończył. Był średniego wzrostu, otyły, z twarzą okrągłą, rysami regularnemi i pięknemi. Lubił dużo mówić i w sposób zachwycający opowiadal, a było czego słuchać, bo zwiedził całą Europę, Azyą aż do granic Chińskich i Afrykę. On to w młodości, kiedy jeszcze balony nie były wydoskonalone i wznoszono się w powietrze za pomocą wynalazku Mongolfiera przez rozrzedzone powietrze, w Warszawie z Blanszarem wzbił się w przestwory i bez szwanku spuścili się obaj w okolicy. Życie polityczne zupełnie zaniedbał i cały nauce się poświęcił. Kiedy na wybrzeżach Baltyku i na wyspie Rugii hojnie płacił Niemcom za odszukiwane szczątki wykopalisk, posążków bogów Obotryckich i Pomorskich, niegodziwie go oszukiwano i dostarczano mu rozmaitych dziwolągów, które on biorąc za starożytności autentyczne skupował i przez to w wywodach swych w wiele błędów popadł.

Pan Sewerynowa Potocka byla podówczas ciągle zajęta procesem, który prowadziła i który nakoniec wygrała, pozyskując przez to dobra w Podlaskiém: Jabłoń, Milanów, Kolano, Radzienice i Celejów, oprócz tego posiadała starostwo Kazimierskie. Cztery jéj córki otrzymały edukacyą przy niéj, a właściwie w Puławach, lecz tylko najstarsza z nich panna Emma posiadała wyłączną miłość matki, trzy inne: Paulina, Wanda i Seweryna, pod opieką angielki pani Betz pozostawione, mało zdawały się matkę obchodzić. Syn Leon, nie wiem już dla jakich powodów chował się przez dość długi czas u rodziców moich w Pożogu, a że był zupelnym moim rówiennikiem, bośmy nie tylko jednego roku, ale i jednego dnia na świat przyszli, przeto z towarzystwa naszego wielce radzi byliśmy obadwaj.

Pan Seweryn Potocki o żonę i o dzieci nie okazywał wielkiéj troskliwości. Jako senator rosyjski przesiadywał w Petersburgu, lub w okolicach powstającéj Odessy, gdzie, nabywszy majętność, którą Sewerynówką nazwał, pustynię tę kolonizował. Był to mężczyzna wysoki, smagły i piękny. Zaledwie, ukończywszy za granicą edukacyą, powrócił do kraju, został zaraz wybrany posłem na sejm czteroletni, w materyi sprzedaży starostw zabierał głos kilkakrotnie i trzy-

mał się partyi Ignacego i Stanisława Potockich, słabo ją atoli popierając. Później znikł z horyzontu politycznego krajowego.

Pani Sewerynowa miała zawsze jakieś pretensye do serca księcia Feldmarszałka, należące do wspomnień dawnego życia. Pełna zawsze dowcipu i rozumu, towarzyska i choć z Potoczyzny i Sapiehów dumna, umiała dumę tę doskonale ukrywać i zastosowywać się do towarzystwa, w jakiém się znajdowała. W Puławach ona była duszą i filarem wszystkich amatorskich teatrów, doskonale grała sama przyjęte na się role i umiejętnie innych do ich wypełnienia dobierać umiała. Innych sukień nie nosiła jak tylko białe, ale, że zawsze w stroju dosyć zaniedbana była, te więc zwykle wyglądały popielato.

Panna Emma, posiadając wyłączną miłość matki, siostry swe traktowała z góry. Z powodu dumnego charakteru nie bardzo ją lubiono, a z młodzieży miejscowéj nikt jéj nie hołdował, co matkę jéj nie mało bolało. Największe staranie matki było ułowić dla córki księcia Dominika Radziwiłła, ale ten, ani myślał o tém. Wpadła mu w oko panna Brygida Jawornicka, osoba rzadkiéj piękności, z twarzą i postawą przypominającą Venus Medycejską i tą szczerze kochał, a że on sam także oprócz majątku miał wiele innych sposobów podobania się, był bowiem przystojny i zgrabny mężczyzna, przeto miłość była wzajemną. Rodzice jednak panny, wiedząc że nic dobrego ze stosunku tego wyniknąć nie może, wywieźli ją na Podlasie i wkrótce za pana Żabickiego wydali.

Z przyjezdnych o rękę panny Emmy robił starania Zawisza Czarny. Imię jego, majątek i wysokie wykształcenie wszystko za nim przemawiało, a i panna Emma mu sprzyjała, rada mieć adoratorem swoim pierwszego eleganta warszawskiego. Ale matka znajdowała, że dla Potockiéj, wnuczki Sapiehów taka szlachecka partya *c'est une mésalliance*, dla Emmy tylko Mitra, a już w ostatnim razie hrabiowska korona mogła być odpowiednią. Tak tedy, przebierając Emka doczekała się pół trzecia krzyżyka. Tymczasem panna Paulina wydana została za Franciszka Łubieńskiego, Wanda naprzód za Margrabiego Wielopolskiego, a późniéj jako rozwódka za Uruskiego, a Emma jak siedziała, tak siedziała.

Panna Wanda, brunetka, ospowata, trzpiot i żywa osobliwszego doznała losu co do pierwszego małżeństwa. Związek z Margrabią Wielkopolskim był zupełnym *mariage de convenance*. Rodzice między sobą się ułożyli i Margrabia na tydzień przed weselem do Celejowa zjechał ze swą rodziną, wyjednano indult, zaproszono gości i ślub odbył się wieczorem.

Wszystko urządzono suto i po pańsku, jak tego związek dwóch tak ważnych domów wymagał. Panna Wanda sama nie wielką czuła do małżeństwa skłonność, zwłaszcza skoro zobaczyła margrabiego, który w postaci swojéj nie miał nic ujmującego. Na parę dni przed ślubem będąc w Bronicach, wyznała przed moją siostrą, że wolałaby tu na wieki pozostać, aniżeli jechać do margrabiego, do Książa. Po ślubie rozpoczęto bal, nastąpiła wieczerza i cukrowa kolacya, nakoniec koło trzeciéj zrana każdy gdzie mógł i jak mógł w takim ścisku zaczął udawać się na spoczynek. Tymczasem okropne krzyki dają się słyszéć z sypialni nowożeńców i panna młoda, blada a rozczochrana wpada do salonu, gdzie jeszcze siedziało kilka osób, ale nie jest w stanie nic wyrzec, bo ją mdłości porwały. Idą więc do sypialni ze światłem i cóż widzą? Margrabia leży na posadzce w najokropniejszych konwulsyach, cały siny i zapieniony, drgając okropnie twarzą i wszystkiemi członkami. Smutny ten wypadek natychmiast się rozgłosił, każden z gości coprędzéj zaprzęgać kazał i nie wyszło pół godziny, jak Celejów stanął pustkami, bo i pani Sewerynowa, nie wiedząc co robić, zabrała córki i do Puław z niemi odjechała. Został tylko z krewnymi margrabia, którego konwulsye jeszcze przez dwa dni męczyły, poczém także do Książa wrócił, nie widząc się wcale z żoną. Podano z obudwu stron o rozwód i ten wkrótce otrzymano.

W r. 1809 w zimie przybyła pani Sewerynowa z trzema córkami do Warszawy i stanęła w pałacu Raczyńskich. Był to zakrój dla Emki na jednego z Raczyńskich, ale: *l'homme propose, Dieu dispose.*

Pani Sewerynowa otworzyła salony. Będąc sama dowcipna, przyjemna i majętna, nie potrzebowała gości ściągać i apartamenta jéj zaludniały się łatwo. Owóż między gośćmi zjawił się także major Strzyżewski. Z kampanii w r. 1809 pozostało mu jedno wspomnienie, jak jedynie za pomocą odwagi i przytomności umysłu dokonał rzeczy w wojennéj historyi dość rzadkiéj. Był on podówczas kapitanem i z podjazdem złożonym z czterech ułanów zapędził się pod miasto Brzeżany. Tam stał na kwaterach oddział austryacki częścią z wojska, a częścią z rekrutów złożony i do 4.000 ludzi liczący. Strzyżewski, nie spotkawszy żadnych placówek wjechał do miasta i tu dopiero spostrzegł, że sam wlazł w garść nieprzyjacielowi. Udaje więc parlamentarza, pyta o kwaterę jenerała i wszedłszy zastaje go jeszcze w łóżku. Nie tracąc więc chwili mówi do niego: -jesteś w Brzeżanach otoczony, my panami miasta, poddaj się ze swą komendą, albo ci w łeb wypalę. Spisano kapitulacyą i tak w pięć osób wzięto do niewoli cztery tysiące ludzi bez wystrzału. Strzyżewski posunięty na majora i ozdobiony dwoma krzyżami za waleczność, miał za sobą urok bohaterstwa. I choć nie był ani młody, ani piękny, owszem

chudy, wysoki i czarny, tak samo jak wymógł kapitulacyą na jenerale austryackim, wziął szturmem serce panny Emmy. Ta oświadczyła matce stanowczo, że oczekując na książęce partye, starą panną zostać nie myśli i za Strzyżewskiego wyjdzie. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na panią Sewerynową to wywarło, zwłaszcza, że posuwając swe inwestygacye co do osoby majora Strzyżewskiego, miała wyśledzić, że ojciec jego był koniuszym u któregoś z panów polskich. Wszędzie więc jeździła i przed wszystkimi rozwodziła żale, że nie do pojęcia jest, aby córka Potockiego, potomka Rewery i wnuczka Sapiehy, oddała rękę pierwszemu lepszemu i zapowiedziała córce, że na związek ten za życia swego nie dozwoli. W tym czasie o rękę panny Emmy starał się także jenerał Sokolnicki, równie okryty sławą, ale stary i schorzały. Złe ludzkie języki utrzymywały, że panna więcéj przychylności okazywała adjutantowi jenerała, młodemu i przystojnemu Janowi Jezierskiemu. Wszelako ani te nowe konkury, ani opozycya matki, nie mogły przełamać uporu córki i po roku walk domowych cichaczem ślub ze Strzyżewskim zawarty został. Matka niedługo zmartwienie to przeżyła, bo w r. 1814 w Pniowie na apopleksyą umarła.

Po ślubie pani Sewerynowa oddała córce Jabłoń, piękne, ale opuszczone dobra. Te major przyprowadził do wzorowego porządku, wartość i dochody z nich znakomicie podniósł. Wielka zmiana po ślubie zaszła także i z panią Emmą. Z osoby bardzo trudnej w codzienném pożyciu i kapryśnéj, wyrobiła się pani w towarzystwie nader miła, uprzejma i licznemi zaletami towarzyskiemi ozdobiona, zostawszy wdową, osiadła ona we Florencyi i tu otwarła salony uczęszczane blizko przez lat trzydzieści przez wszystkie znakomitości europejskie. Umarła w 1857 powszechnie szanowana i żałowana.

Pani Wanda Wielopolska wyszła po uzyskaniu rozwodu, jakieśmy już wspomnieli za p. Uruskiego, jednego z majętniejszych obywateli galicyjskich, a po jego śmierci pojęła trzeciego męża, jenerała austryackiego Caboga i z nim stale w Wiedniu zamieszkała.

Najładniejsza z panien Potockich była Seweryna, i byłaby pięknością skończoną, gdyby nie wzrost zbyt nizki i skłonność do otyłości. Ta wydana za Sobańskiego, nie długo z nim żyła, a swojemi zacząwszy latać skrzydłami, usadowiła się w Wiedniu i tu z ambasadą rosyjską miała bardzo bliskie stosunki. Mając już około lat pięćdziesiąt, zawsze świeża i ładna, zaślubiła młodego hrabiego Colloredo. Cały Wiedeń dziwił się wielce temu nierównemu małżeństwu i powszechnie utrzymywano, że mu pani Sobańska napój miłosny zadała. Sądzimy, że piękność jej i uprzejmość były jedynie tym cudownym filtrem.

Pani Paulina po stracie męża całkiem oddała się dewocyi i dla świata została straconą.

O dwie mile od Puław, w Demblinie mieszkali Mniszchowie. Posiadali tu piękny pałac z zimowym ogrodem na dolnym piętrze umieszczonym. Jako osobliwość wspaniałego tego budynku wspomnieć należy schody przyozdobione wielkiemi obrazami, przedstawiającémi całą historyą Maryny Mniszchówny. Nie tyle z powodu wewnętrznej wartości, ile z doskonałego sportretowania osób i wiernego przedstawienia ubiorów współczesnych były one cenne.

Rodzina Mniszchów składała się z rodziców, dwóch córek i syna. Tego ostatniego nigdym nie widział. Wychowany daleko, mówiono mi, że był bardzo dumny, w heraldyce biegły i kulawy. Z córek jedna, którą późniéj poślubiono księciu Antoniemu Jabłonowskiemu, była podówczas jeszcze dzieckiem, starsza zaś trochę kulawa, trochę garbata i cokolwiek zézowata, była mimo to prawdziwą pięknością. Korki u trzewików skróceniu nogi zaradzały, wypchanie jednéj łopatki w sukni utajało zbytnią wypukłość drugiéj, a pukle ślicznych blado szaten włosów nasunięte na oko, zakrywały zézowatość. Głowa zaś i twarz cała była jakby modelowana podług wzoru greckiego. Wiek jéj prawie z moim równy zawiązał ścisłą między nami przyjaźń i kiedy w Puławach uwolniła się z pod surowego dozoru nauczycielki, pani de la Porte, co wśród zabaw i gwaru nie było tu trudnem, zwierzała mi się z nudów Demblińskich i etykietalnéj miłości rodziców, która piękną jéj duszę gnębiła.

Pan Mniszech, marszałek wielki koronny i majątkiem i rodem do magnatów z praojcami należał. Wytapirowany, wyfryzowany, zawsze w trzewikach, wyprostowany, mimo twarzy pięknéj i regularnéj, miał coś sztywnego i chłodnego w swojém obejściu, chociaż wzrost nizki do takiéj impozycyi się nie nadawał. Żona jego, siostrzenica króla Poniatowskiego zachowała żywo w pamięci swoje bliskie z tronem związki.

Kiedy książę Dominik Radziwiłł doszedł pełnoletności, opuścił Puławy wraz z młodzieżą, która towarzystwo jego składała, to jest z Łopotem, dwoma Michałowskimi i Janem Narbuttem, Pani Mniszchowa oddawna już dla córki partyą tę obmyślała, to téż kiedy Radziwiłł do Nieświeża się udał, przeniosła się na mieszkanie do dóbr swych Wiszniowca. Wspominałem już, że w Puławach ks. Dominik był cały panną Jawornicką zajęty, w Nieświeżu zaś nowe oczekiwało go niebezpieczeństwo. Kuzynka jego pani Starzeńska, córka pani Morawskiéj, stryjenki księcia Dominika, a siostry rodzonéj księcia Karola Panie kochanku, przybyła powitać krewnego. Cudna piękność, średniego wzrostu, blondynka, z płcią tylko u angielek spoty-

kaną i z rysami regularnemi i posągowemi, postanowiła ona wydać się za swego kuzynka. Że zaś książę lubił pasyami konie i jazdę konną, po całych więc dniach ujeżdżali razem dzikie rumaki, polowali, strzelali i wkrótce książę Dominik zakochał się w niéj po uszy, o pannie Jawornickiéj zapominając.

Tymczasem państwo Mniszchowie zaprosili księcia do Wiszniowca i tu powtórzyła się z nim awantura poczciwego pana Paska, który jak zaczął pić z bracią szlachtą w Krakowskiem, nie otrzeźwił się aż dopiero po ślubie z osobą, którą wprzódy znał bardzo mało, a która została dozgonną towarzyszką jego życia. Toż samo stało się i z księciem Dominikiem. Po pijanemu nastąpiły oświadczyny, zaręczyny i ślub za indultem. Kiedy się wytrzeźwił po dniach ośmiu, ze dziwieniem dowiedział się, że ma żonę. Położenie jego stało się okropne. Kochał się w pani Starzeńskiéj. Miłość ta nie utrzymała się w szrankach idealnych i kuzynka była w ciąży, a pierwsze kroki do rozwodu jéj z mężem już poczyniono, a tu tymczasem jak z nieba spadała mu żona. Nie było jednak co robić. Zabrał żonę i do Nieświeża ją przywiózł, gdzie uwiadomiona o wszystkiem pani Starzeńska, czekała rywalki. Więcéj jeszcze romantyczną barwę téj awanturze nadawała ta okoliczność, że Mniszchówna szczerze do swego młodego męża przywiązaną była. I nic dziwnego, był on młody, przystojny, wesoły i w Pulawach nabrał téj grzeczności i poloru, jakie towarzystwo tamtejsze odznaczały. Pani Starzeńska korzystając z przewagi, jaką miała nad księciem, skłoniła go, że po dniach czternastu, wręcz żonie oświadczył, iż z nią żyć nie może. Wyznaczywszy jéj 200,000 złp. rocznéj pensyi i dodawszy służbę, wyprawił ją do Puław, a sam kroki o rozwód swój i pani Starzeńskiej rozpoczął. Ponieważ złotem szafował hojnie, wkrótce więc je otrzymał, ale nim to nastąpiło powiła pani Starzeńska syna.

Książę Dominik, dopóki był w Puławach, posiadał wszystkie cechy swawolnego studenta. Do nauki nie miał ochoty tylko do figlów, których pierwszémi ofiarami bywali nauczyciele. Tym stawiał konewki z wodą pod drzwiami, tak, że kiedy drzwi otwierali, cały pokój zalewał się wodą i kiedy po niéj brodzili, przynosił im wędki. W łóżko kładł rozmaite niemile woniejące preparata, aby się kładąc powalali i inne niestworzone pomysły. Pani Kleistel, żona doktora, chociaż już przeszło lat 40 mająca, ubierała się codzień w białą suknię. Książę Dominik wkładał jéj w kieszeń słoik konfitur, aby gdy siędzie słoik pękł i białą suknię poplamił. W zimie łączono w Puławach pałac z oficynami drewnianemi korytarzami, żeby damy bez obawy zaziębienia przechodzić mogły. Na korytarzach tych książę Dominik co wieczór inaczéj przebierając się ko-

biety straszył, a chociaż go książę feldmarszałek surowo za to strofował, nic to nie pomagało.

Po rozpoczęciu kroków rozwodowych pojechał z panią Starzeńską do Warszawy i stanął w swoim pałacu (dziś Namiestnikowski). Był to gmach opustoszony, z ogromnemi salonami, ale bez mebli. Napisał do mnie do Puław, abym przyjechał go odwiedzić, wiedział bowiem o mojéj znajomości z jego żoną i liczył, że przez moje wpływy prędzéj ją do przyjęcia rozwodu nakłoni. Wtedy to poznałem panią Starzeńską. Książę Radziwiłł przybył do Warszawy z licznym orszakiem młodzieży, a że nie miał swego kucharza, po obiady więc i kolacye do hotelu Gąsiorowskiego posyłano. Pani Starzeńska honory domu robiła i była jedyną kobietą pomiędzy kilkunastu pustakami, którzy nie wiedząc co robić, po salonach z pistoletów strzelali i konno się po nich uwijali. Pani Starzeńska w zabawach tych zawsze dotrzymywała im placu.

Po kilkunastodniowym tu pobycie wróciłem do Puław, a tutaj aż serce się krajało nad losem młodéj księżnéj Radziwiłłowéj, która gorącą do męża pałając miłością, żoną jego być nie mogła. Z początku i miłość własna obrażona i słuszność czyniły ją mało skłonną do zezwolenia na rozwód, lecz w końcu rozsądek wziął górę, zatrzymała naznaczoną pensyą i na rozwód zezwoliła.

Książę Dominik ożenił się następnie ze swoją kuzynką i miał z niéj córkę Stefanię. W r. 1810 wstąpił do wojska ks. Warszawskiego, odrazu otrzymał 8-my pułk ułanów i odtąd całkiem zawodowi swemu się oddał. W r. 1812 pod Ostrowem na czele swego pułku mężnie na jazdę rosyjską uderzył i tak się odznaczył, że Napoleon o tém w buletynach wielkiéj swéj armii wspominał i w nagrodę przeniósł go do swéj gwardyi. Po bitwie Lipskiéj i Hanauskiéj koło Moguncyi nad Renem, zapadłszy na gorączkę tyfoidalną, życie zakończył, mając zaledwie lat dwadzieścia sześć. Za życia czynił wielkie usiłowania, żeby syna swego uprawnić. Jednak przeszkody innych Radziwiłłów, a szczególniéj księcia wojewody wileńskiego, na którego po jego zgonie dobra ordynacyi Nieświeskiéj i Ołyckiéj spadały, wszelkie starania w tym kierunku sparaliżowały. Po zgonie ks. Dominika, upadku Napoleona i wśród przewagi, jaką w kraju Rosya i Prusy uzyskały, odsunięto syna od sukcesyi a dobra rozdzielono. Ordynacyą otrzymali synowie ks. Antoniego, namiestnika poznańskiego, księstwo zaś Słuckie i inne ogromne posiadłości spadły na nieletnią księżniczkę Stefanię. Uformowano do zajmowania się jéj majątkiem rodzaj komisyi opiekuńczéj, na której czele ks. Lubecki i Nowosilcow stanęli. Każdy z nich po 40,000 złp. pensyi z dochodów księżniczki pobierał. Księżniczka zaś w Petersburgu w instytu-

cie panien wychowywana, w szesnastym roku życia wydana została przez cesarza za ks. Wittgensteina, syna feldmarszałka z czasu wojen Napoleońskich. Żyła z mężem tylko lat parę i zostawiwszy syna, umarła.

Syn księcia Dominika, odsunięty od wszystkiego, służył wojskowo w Algieryi, a wdowa mieszkała lat kilka w Warszawie, słynąc z wdzięków, któremi Artura Potockiego i pułkownika Bezobrazowa na stałych wielbicieli zamieniła. Wreszcie wyszła za mąż za księcia Czernyszewa, ministra wojny w Cesarstwie i porzuciwszy światowe obyczaje, cała oddała się dewocyi, corocznie piechotą pielgrzymki do Częstochowy odprawiając. W małżeństwie tém niedługo żyła.

Księżna Dominikowa, Mniszchówna z domu, upodobała sobie p. Deville, brata swéj ochmistrzyni i za niego za mąż wyszedłszy, do Wiednia się przeniosła. Matka nie mogla jéj darować tego mezaliansu, aż do czasu póki cesarz Aleksander w r. 1815 nie zaszczycił p. Deville tytułem hr. Demblińskiego.

(*D. c. n.*).

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Eliza Orzeszkowa. Z różnych sfer. Serya nowa (Sielanka nieróżowa.—Daj kwiatek!—Złota nitka.—Zefirek). Lwów. Księgarnia Polska 1882 str. 338.

„Wierzajcie państwo—powiada nasza autorka—niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać całe, od początku do końca historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych, pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego: nie jest ono wcale bezinteresownêm. Znajomość bowiem wielu, wielu historyj podobnych stanowi dla człowieka bogactwo serca, dla pisarza—żywy zdrój mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyj takich nie ciekaw jest i nieświadom: uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie.“

W uwadze téj mieści się charakterystyka treści i dążności zbiorku powiastek i obrazków „Z różnych sfer,“ których obecnie trzecią z kolei otrzymaliśmy seryą. Istotnie, p. Orzeszkowa jak w poprzednich dwu tak i w téj trzeciéj, z prawdziwêm zamiłowaniem kreśli sceny z życia biednych pod każdym względem ludzi, a zbierając starannie spostrzeżenia układa je w całostki, które obok swego społecznego znaczenia, mają téż niepospolitą wartość artystyczną. Autorka podjęła zadanie, którego dawniejsi powieściopisarze nasi nie pomijali wprawdzie, ale i nie pojmowali w całéj zupełności. Lubiąc przebywać wśród „białych“ szlacheckich dworków lub w salonach przypatrywali się kiedy-niekiedy z ich okien ludowi, schodzili nawet czasami do chat wiejskich i na biedę patrzyli własnemi oczyma; ale „motłochowi“ miejskiemu nie poświęcali nawet takiéj uwagi. Włodzimierz Wolski artystycznêm okiem, żądnêm wrażeń, spoglądał nie-

kiedy na to mrowie miejskie; późniejsze atoli okoliczności odwróciły wzrok jego w inną stronę. P. Orzeszkowa, całkiem od tego wyjątkowego przykładu niezależnie i ze znacznie odmiennych pobudek, zwróciła się ku temu „żywemu zdrojowi mądrości"—dla bystrego obserwatora i utalentowanego pisarza.

P. Orzeszkowa ze zdroju tego czerpała pełną dłonią, i dzieliła się z czytelnikami, którzy umieją odczuwać bicie serc nie tylko pod aksamitem. Nie będę tu zastanawiał się nad sposobami, których użyła powieściopisarka, ażeby dla tych właśnie sfer życia zjednać uwagę i spółczucie ogółu; pisałem już o tém dawniéj (*Ateneum*, 1880 zeszyt lutowy); teraz zanotować tylko winienem, że środki te okazały się wielce skutecznemi: ogół zainteresował się jéj obrazkami i niejednę z nich odniósł naukę. Ponieważ środki artystyczne w wykonaniu powiastek trzeciéj seryi są też same co i w dawniejszych, wystarczą więc czytelnikom wskazówki dotyczące ich treści.

W „Sielance Nieróżowéj" zajmują nas losy dwojga istot, dwojga sierot, które przyszły na świat, hodowały się i wzrastały wśród warunków możliwie najgorszych. Władek miał wprawdzie ojca, ale ten o niego nie dbał i po śmierci żony oddał go „na wychowanie" krewniaczce, która najpośledniejszém stręczycielstwem się trudniła. Marcysia ojca nie znała nigdy a opiekowała się nią niby matka, lecz wtedy tylko gdy była trzeźwą, gdy chodziła na zarobki, w przeciwnym bowiem wypadku, dola, zła dola musiała zostać jéj opiekunką. Wtedy mała Marcysia zgłodniała, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała „otwarty na wsze strony świat boży, biegała za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszoném mruczeniem czasem, a często, gdy była głodna, milczącém wyciąganiem drobnéj dłoni i ze łzą kręcącą się w przygasłéj źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek siedząc, gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jéj postać, ukrywały ją też przed wzrokiem stróżów publicznego porządku."

Matka jéj złą nie była; miewała owszem popędy szlachetne, postanawiała nieraz otrząść się z nałogu dla przyszłości dziecka, ale postanowienia jéj łamały się prędko, bo była istotą słabą i zwichniętą moralnie; odebrawszy zapewne sama nie lepsze „wychowanie" od tego, jakie córeczce swéj dawała, łatwo w chwili upojenia zawierzyła komuś, popełniła błąd, który ją przygnębiał i pójść drogą prostą nie dozwalał. Raz jeszcze zdobywa się na stanowczy zamiar poprawy, sądząc, że gdy na wieś pójdzie, gdy się znajdzie znów wśród takich

pól i lasów, wśród takich ludzi jak ich znała w dzieciństwie, to się swego nałogu pozbędzie i dla dziecka lepszą matką zostanie. Powierza więc swoję Marcysię znajoméj sobie stręczycielce, która i ją do złego namówiła, i idzie na wieś na służbę.

Marcysia ma odtąd stałego towarzysza we Władku. Razem się chowają, razem się włóczą po mieście, nabywając powoli mądrości życia przez przypatrywanie się przykładom ulicznym. Mądrość ta nieznacznie wsiąka w ich proste, otwarte dusze; chłopiec uczy się zdobywać sobie trochę grosza za pomocą wabienia cudzych gołębi; Marcysia śmieléj rękę po jałmużnę wyciąga. Kilka scen ładnie a prawdziwie nakreślonych daje nam poznać ich drobne uciechy, ich rozmowy, zakres mętnych ich pojęć, ich bóle i strapienia. Władek miał wuja, co był cukiernikiem w tém mieście; wuj ten przypomniał sobie chłopaka i dał mu zajęcie w cukierni. Smutna była chwila rozstania; ale chłopak pragnący bądźcobądź lepszego bytu chętnie objął nowe stanowisko i z niejaką dumą ukazał się w niedzielę, w butach — chodził dotąd boso — i surducinie zniszczonéj wprawdzie, w każdym jednak razie lepszéj od dotychczasowego łachmana. Przypatrując się gościom grającym w bilard, marzył o zostaniu markierem i robieniu pieniędzy za pośrednictwem gry.

Tak upływały lata. Marcysia rosła i mogła także zająć się robotą. Jéj opiekunka nie dała jéj próżnować; z początku dzbankami, potém wiadrami zaczęła nosić wodę, prać, zamiatać, gotować, chodzić do pielenia, do gracowania w ogrodach. Była szczupła, chuda lecz miała rysy ładne; wpadła w oko synowi jednego ogrodnika; na jego zaloty odpowiadała hardo, bo miała w sercu miłość dla Władka. Władek wprawdzie bardzo długo nie przychodził, ale ona przeczuwała, że ją kocha i nabrała o tém przekonania, gdy mu o synu ogrodnika opowiedziała. Chciał się z nią ożenić, lecz wtedy dopiero gdy się jego marzenie o pieniądzach spełni. Dla urzeczywistnienia go gra zapamiętale, ale gdy ten środek nie doprowadza do celu, zmawia się ze starszym i doświadczeńszym od siebie, ażeby poprostu przez kradzież w domu ogrodnika dojść do majątku. Plan udał się w połowie; starszy i doświadczeńszy z zabranemi pieniędzmi umknął, młodszy, chcący dopiero nabrać doświadczenia, został schwytany... Rozpaczliwe usiłowania Marcysi, ażeby ukochanego uwolnić, rozbijają się o niemożliwość. Rozszalała wraca do domu „opiekunki“, zastaje zebrane towarzystwo przy kubkach, a w tém towarzystwie widzi swą matkę, która mówi do niéj: „Nie dotrzymałam, doniu, nie dotrzymałam obietnicy... Chciałam poprawić się i nawrócić się... i nie mogłam... Przeklęta wódka ciągnęła i ciągnęła... Rok cały ani do gęby nie wzięłam i już po wszystkiém... i jeszcze gorzéj... Oj! Marcysiu

ty moja, doniu moja, nie gniewaj się na mnie... w sercu mnie robak toczył a w głowie smutne pieśni szumiały... czarna jak ta nocka jesienna była dola moja"... Gdy jeden z mężczyn zrobił uwagę, iż Marcysia wygląda niby topielica, ona przypomniała sobie pieśni matki o topielicach w pachnące ziele owiniętych, złotym piaskiem przysypanych, leżących spokojnie na dnie wody, i zapragnęła ich spokoju. Ujrzawszy jéj ruch ku wyjściu, przytrzymano ją, a matka chwiejąc się na nogach, bełkotliwie szeptała: „Pij, doniu, pij! to dobre na robaka lekarstwo! Zapomnisz taj zaśniesz sobie." Dziewczyna porwała pełną czarkę i duszkiem wychyliła. Mętnym wzrokiem wodziła chwilę po obecnych i, jakby sobie coś przypominając, załkała bez łez i żalącym się, drżącym, przyciszonym głosem zaczęła śpiewać o dwojgu sierot śpiących pod drzewem i jego upadkiem przywalonych... potém pochyliła głowę na stół i zamknęła powieki... upiła się.

Ostatnie słowo—to nie epigramat, to smutna prawda.

Obrazek p. n. „Daj kwiatek" przedstawia wyborny szkic staréj żydówki łachmaniarki, która po stracie kilkorga dzieci, miała już tylko jednego wnuczka, co go wyżywić i wychować chciała. Zmęczona całodziennėm chodzeniem za lichą po śmietnikach i ulicach zdobyczą, powracała wieczorem do małéj, brudnéj izby, która w raj się przemieniała dla niéj, gdy zobaczyła piękną twarzyczkę wnuka, gdy posłyszała jego głosik, gdy poczuła na zmarszczonéj twarzy pocałunki jego świeżych ustek, gdy z radością się przyglądała jego figlom. Ileż-to było uciechy, gdy np. w koszu babki znalazł guzik błyszczący, albo kwiat sztuczny, albo kapelusz słomiany z dnem wydartém ale opasany wstążką różową! Bywały téż czasami i strofowania. Chaimek przynosił czasami pieniążek do domu; babka, zarabiająca złotówkę dziennie, ostro strofowała wnuczka za żebranie, wyrzucała niby-to pieniądze za okno i zakazywała surowo, żeby się żebrać nie ważył. Lecz przychodziły i takie chwile, w których babka starzejąca się coraz bardziéj, nie mogła nawet złotówki zarobić, a wtedy strofowała chłopca tak cicho, że pewnie słów jéj nawet nie słyszał.

Jednę ważną chwilę z tego jednostajnego życia szczególniéj akcentuje autorka. Razu pewnego Chaimek zobaczył po raz pierwszy piękny bukiet ze świeżych kwiatów w ręku biało ubranéj kobiety z ciemnemi splotami jedwabistych włosów nad czołem. Chłopczyk miał jakieś instynktowe upodobanie w kwiatach, więc zabiegał drogę téj pani i błagalnie patrzył jéj w oczy. Ale pani go nie widziała, więc ją pociągnął za suknię i palcem kwiaty ukazał. Pani łaskawie nań spojrzała i zapytała, czego żąda. Chaimek nie wiedział, o co go pani pyta, bo nie rozumiał popolsku. Pani pojęła to i łagodnie zaczęła powtarzać wyrazy: daj kwiatek. Po kilku usiłowaniach zdołał wy-

mówić żądane słowa i otrzymał w darze sporo kwiatów... Potém gdy rebe Nochim opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który stojąc w niebieskich wrotach, chwyta modlitwy lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnéj piękności i splata z nich wieńce i kładzie je u stóp Jehowy, Chaimek jakby anioła tego ujrzéć pragnąc, podniósł w górę oczy, zobaczył kobietę w białéj sukni i zapatrzony tak, wymówił głośno, z uśmiechem:—Daj kwiatek!—Kto wie, jak się odbije kiedyś w życiu Chaimka to drobne napozór zdarzenie...

„Złota nitka"—to promień słońca dla siedzących w więzieniu, to serdeczne słowo w chwilach pognębienia, to jaśniejsza myśl wśród mroku spraw codziennych. Ci którzy żyjąc w powszedniém, prozaiczném, wielkiemi kwestyami żołądka zajętém otoczeniu, zastosowali się do niego najzupełniéj i nie zaznali nigdy potrzeby wyjścia poza obręb konieczności spożywania chleba i pracowania nań w sposób mechaniczny, nie odczują, nie zrozumieją i nie ocenią „złotéj nitki", jak nie odczuli, nie zrozumieli i nie ocenili najbliżsi krewni, domownicy pani Felicyi. Z góry jednakże należy uprzedzić czytelnika, że nie ma tu mowy o tak zwanéj „zapoznanéj" kobiecie, jakich w dobie romantyzmu było mnóstwo; żadna z ujemnych cech tego typu nie może być przeniesiona na panią Felicyą. Jest-to kobieta cicha, gospodarna, nie pozująca na męczennicę, dbała o najprozaiczniejsze potrzeby domu, biorąca udział w bezmyślnych zabawach i tuzinkowych rozmowach całego grona krewnych zbierającego się w jéj domu. Ona nigdy gronu temu nie powie, że jego zabawa jest dla niéj najzupełniejszą stratą czasu, nie dającą nawet wypoczynku umysłowi, ona nigdy przed niém się nie poskarży i nie sarknie. W domu jéj bywa czasami człowiek, z którym lubi rozmawiać o książkach, o sztuce, przy którym się ożywia, odmładnia, który łączy jéj powszednie istnienie z szerokim ruchem oświaty społecznéj. Ona kocha tego człowieka, ale mu nigdy tego nie powie. Przed autorką wyznała w chwili wylania się uczuć: „Nie mogę, aby słowo jego lub moje przybyło do wspomnień, które czyste... takie czyste, wiecznie jednak jak zaklęte stoją, przed oczami! Momenty jak błyskawice... czekam ich, czekam, czekam! Za tydzień, za dwa... pojutrze, jutro! I przelatują bez głosu, a potém znowu i zawsze... i tak wiecznie będzie!" Nie powiemy, ażeby w tych słowach nie czuć było pewnego upojenia słodkiém cierpieniem, ażeby w najgłębszéj głębi serca p. Felicyi nie kryło się poczucie pewnego bohaterstwa, które poetyczny blask na jéj szare istnienie rozlewało;—ale jest-to już rzecz tak nieodłączna od natury ludzkiéj, że bez tego rysu postać jéj mniejby była prawdziwą. I to jest także „złotą nitką", ku któréj podnosimy oczy, ażeby nabrać trochę sił ku dalszemu życiu. Szlachetność i podniosłość ta-

kich uczuć najlepiéj daje się ocenić ze słów bliskiego znajomego p. Felicyi, który na pytanie, czy żyje, odpowiada obojętnie jako o rzeczy najpospolitszéj:

— „A jakże, żyje sobie jak dawniéj."

Ostatnia powieść w zbiorku ma napis: *Zefirek.* Jest-to przydomek kobiety cienkiéj w pasie, zręcznéj i gibkiéj, która będąc młodą nadzwyczaj lekko tańczyła i taki miała „charakter," że nigdy żadnego stałego postanowienia zrobić nie mogła. Za dobrych czasów mając męża, który ją ubóstwiał, bawiła się i o niczém poważném nigdy nie myślała. Jedno z jéj dzieci, dwuletnie, bona Niemka wyniosła podczas balu do kuchni i na stole posadziła; w kuchni zamęt, ktoś dziecko trącił, do beczki z wodą wpadło i utopiło się; drugie sukienkę sobie w garderobie przy ogniu zapaliło, okropnie męczyło się przez dwa tygodnie i umarło. Matka zniosła heroicznie tę stratę, ale natomiast, gdy przyciśnięta niedostatkiem, sprzedać musiała fortepian, przy którym maleńkim głosikiem wyśpiewywała romanse, wtedy dostała gorączki i chorowała długo, bardzo długo. Nic dziwnego, życie jéj upływało w napełnionéj wonią perfum krainie konwenansów; co było prawdziwém, szczerém, ale prostém, niewysłowioném gładko, według reguł, uczuciem, to dla niéj wartości nie miało; co było pustym ale ładnym frazesem, to ceniła wysoko i za usłyszenie takiego frazesu poświęcała dobra najrzeczywistsze. Kuzynkowi Stasiowi z wyższego świata za parę komplimentów i funt cukierków oddała cały swój kapitalik, ale córkę, która pracą ciężką na jéj utrzymanie zarabiała, poczytywała za jakąś wyrodną istotę, bo w obejściu była szorstka i pięknie mówić nie potrafiła. Poczucie godności osobistéj w jednym tylko wyrobiła sobie kierunku: pracę uważała za poniżenie dla córki obywatelskiéj, co chociaż poszła za urzędnika, przecież szlachectwa nie straciła. Stąd gdy jéj córka chciała wyjść za mularza, ta wątła istota, zawsze łagodnie i pieszczotliwie przemawiająca, zdobywa się na stanowczą groźbę przekleństwa rzuconą córce wyrodnéj. Córka nie chcąc ściągać na siebie niebłogosławieństwa bożego, pozostaje panną, opuszcza się w pracy i marnieje. Ale ta matka grożąca przekleństwem córce za myśl poślubienia człowieka oddanego pracy, nie uważa sobie w końcu za ubliżenie, chodzić po domach i żebrać pieniędzy, łaskawego słowa, zaproszenia do rozmowy i fortepianu. Przez spółczucie lub z nudów niektórzy proszą ją, żeby weszła do bawialnego pokoju i opowiedziała swe dzieje, co czyni zawsze z wielkiém zadowoleniem. Gdy jéj niekiedy zawezwą do fortepianu, zdejmuje rękawiczki z podartemi palcami i błogo uśmiechając się uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ruszają ramionami

z ironią, ale ona zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytném towarzystwem, zaczyna śpiewać głosem co chwila konającym: „O, powiedz mu, że niepojęta siła,“ — albo téż: „O, gwiazdeczko, coś błyszczała....“ Najczęściéj w chwili największego zapału, wchodzi do pokoju gość albo pan domu nie lubiący jéj lub téż pragnący odpoczynku po pracy. Wtedy wkładają jéj w rękę parę złotych i dają do zrozumienia, a tu i owdzie mówią nawet wprost, aby sobie odeszła coprędzéj.....

Zarówno „Zefirek“ jak „Sielanka Nieróżowa“ napisane są z niezakłóconą przedmiotowością; autorka osobę swoję i poglądy usunęła zupełnie na bok; postacie i wypadki przemawiają same za siebie a przemawiają tak wyraźnie i tak jasno, że nie wymagają żadnych autorskich objaśnień. Opowiadania te należą niewątpliwie do liczby najlepszych utworów p. Orzeszkowéj. „Złota nitka“ ma formę wspomnień osobistych autorki, opowiadającéj swoje spotkania z panią Felicyą; ponieważ spotkania te były chwilowe i przypadkowe, więc i utwór, zgodnie z rzeczywistością, przedstawia się ułamkowo; autorka nigdzie nie minęła się z poczuciem możliwości i prawdopodobieństwa. Najmniéj pod względem kompozycyi zadawalnia szkic p. n. „Daj kwiatek.“ Przedmiotowy sposób przedstawienia rzeczy połączyła tu autorka z publicystycznemi odezwami do czytelnika. Mają one na celu pogodzić go z myślą, że przedmiotem opowiadania będzie żydówka łachmaniarka—bohaterka zatém dla salonowego towarzystwa wcale nieponętna. Zdaje mi się, że tego rodzaju nauki, zachęty i objaśnienia na pewną tylko sferę czytelników podziałać mogą, zawstydzając ich niejako, że żywią jeszcze w swém sercu jakieś społeczne przesądy, jakieś niechęci i wstręty. Na wszystkich atoli najsilniéj wpłynęłaby sama doskonałość utworu, sam urok artyzmu, sama siła talentu, a tych przymiotów autorce przecież nie brak.
P. Chmielowski.

Dzieła Mickiewicza w przekładzie rosyjskim.

Soczinienija A. Mickiewicza. Russkij pierewod W. Benediktowa, N. Siemlenowa i drugich pisatielej. Pod redakcijeju P. W. Polewogo. S biografijeju i portretom awtora na stali. Tom I: Mielkija stichotworenija.—Ballady.— Sonety. Petersburg i Moskwa 1882, str. XX i 348 w 8-ce.

P. Bolesław Maurycy Wolff, księgarz petersburski, podjął wydawnictwo przekładu wszystkich, ile możności, utworów Mickiewicza na język rosyjski. Wydawnictwo to zawrzéć się ma w *pięciu* tomach, a cena prenumeracyjna wynosi rubli dwanaście i pół. Tłomaczeń dawniejszych i nowszych nie brak; idzie więc tylko o dobry ich

wybór, a czasami jedynie potrzeba będzie zwrócić się do spółczesnych tłomaczów z prośbą o przekład jakiegoś utworu Mickiewicza mniéj poprzednio rozpowszechnionego. Staranie o redakcyjną stronę wydawnictwa powierzył nakładca panu P. Polewojowi, znanemu nam trochę z krótkotrwałych wykładów w ostatnim roku istnienia Szkoły Głównéj warszawskiéj.

Mamy właśnie tom pierwszy tego zbiorowego wydania. Przedstawia się na zewnątrz dosyć ładnie; dobry, glansowany papier, staranność pod względem drukarskim znaczna, portret ten sam, który się znajduje przy edycyi paryskiéj dzieł Mickiewicza, wyszłéj nakładem Wolffa w r. 1860 pod redakcyą Klaczki i Januszkiewicza,— wszystko to dobrze usposabia czytelnika zabierającego się do przeglądania książki. Wartość wewnętrzna usposobienia tego bynajmniéj nie psuje. Trzynastu tłómaczów złożyło się na odtworzenie w języku rosyjskim treści, tomem tym objętéj. Poczynając od Puszkina, który po mistrzowsku, jak wiadomo, przełożył *Czaty* i *Trzech Budrysów*, oto są ich nazwiska: Benediktow, Berg, Fet, Gerbel, Golicyn, Kostrow, Ługowski, Mej, Minajew, Omulewski, Pietrowski, Siemienow. Najwięcéj stosunkowo dostarczyli tłomaczeń: Benediktow, Minajew i Siemienow.

W pierwszym tym tomie pomieszczono: 1) ballady i romanse wszystkie bez wyjątku, oprócz naturalnie tych, które stanowią integralną część większych całości jak ballada o Twardowskim w 1-éj części *Dziadów* i Alpuhara w *Konradzie Wallenrodzie*; 2) wszystkie sonety miłosne w liczbie 22 (pominięto więc tylko sonety przełożone z Petrarki, a *Sonety Krymskie* widocznie do dalszych odłożono tomów); 3) Powiastki i bajki z wyjątkiem dwu oryginalnych: *Lis i kozioł*, *Żaby i ich króle* i czterech naśladowanych z Lafontaine'a; 4) wiersze różne, nawet najdrobniejsze albumowe, z wyjątkiem następnych: *Do Matki Polki*, *Nocleg*, *Reduta Ordona*, *Senne widzenie* spisane w r. 1840, *Zdania i uwagi* i kilku drobnych wierszyków wydrukowanych w tomie 5-ym najnowszego wydania parysko-lwowskiego. Nie zaniedbano nawet tłómaczeń niektórych jak *Szanfary* (w przekładzie rosyjskim *Antar*) i *Almotenabbi*. Widzimy z tego, że starano się widocznie o jak największą pełność i opuszczono to tylko, co albo opuścić było można albo czego zamieścić nie było wolno.

Z opuszczeń tych nie możemy zrobić wydawnictwu żadnego zarzutu; powiedzielibyśmy owszem, że pomieszczono w niém zadużo, bo przetłómaczono poezye takie, o których albo napewno wiadomo, że nie są Mickiewicza, albo są bardzo poważne co do autentyczności powątpiewania. I tak, chociaż w wydaniach Mickiewicza drukują powszechnie romans *Panicz i dziewczyna*, wiadomo przecież

dobrze, iż jest-to utwór Odyńca, wydrukowany w jego *Poezyach* (r. 1826, t. II, str. 108—113), gdzie można odczytać objaśnienie, iż tylko *dwie strofy* końcowe, a zatém 8 wierszy są pióra Mickiewicza (1). Powtóre, wiersz p. n. *Dziewica na rozdrożu* wydrukował po raz pierwszy *Noworocznik litewski* na r. 1831 podając go za utwór wielkiego wieszcza; nikt późniéj nie stwierdził i nikt nie zaprzeczył autorstwa, ale w wydaniach za życia Mickiewicza drukowanych nie znajdujemy go wcale, a z uwagi na małą wartość poetycką tych wierszowanych morałów nikt zapewne nie żałowałby, gdyby ich w tłómaczeniu rosyjskiém nie znalazł. Autentyczność wiersza: *Gdybym się zmienił w stęgę złocistą* jest mocno zakwestyonowana (*Ateneum* z r. 1879, t. I, str. 398—400).— Z innych względów śmiało można było pominąć „Zimę miejską“ jako utwór młodzieńczy, mający interes tylko dla biografa i krytyka. Można go było pominąć témbardziéj, że tłómacz rosyjski (Minajew) nie zwrócił bynajmniéj uwagi na to, co w utworze tym jest charakterystyczném t. j. na cechy neoklasycyzmu, a mianowicie na tak zwane peryfrazy („z chińskich ziół ciągnione treści,“ „zręczni *lekkim* wykręcać *oszczepem* pędzą po suknach *wytoczone słonie*“) i oddaje je wyrażeniami powszedniemi, a w jedném miejscu zupełnie zmienia tekst tłómacząc wiersz: „I dając chętnie Cererę za Pluta“ przez „Dla Płutosa *zabyw* krasawicy Cerery,“ boć wiersz polski oznacza tylko, że szlachcic *sprzedał* zboże, i jest wyrazem owéj skłonności do peryfrazy.

Zrozumiéć łatwo, że nie wszystkie przekłady jednakową odznaczają się doskonałością; zalety tłómaczeń zależą zarówno od zdolności tłomaczów jak i od właściwości oryginału. Najmniéj trudności przedstawiały niewątpliwie ballady i romanse, gdyż styl ich, jakkolwiek piękny i wykończony, ma przecież wszystkie cechy stylu ogólno europejskiego, nie zaś specyalnie polskiego. Sonety z powodu saméj formy wiersza już się jeżyły przeszkodami, które tłómacze pokonywali między innemi i tém, że rozmiar wierszom nadawali większy niż 13-zgłoskowy. W „wierszach różnych“ są utwory bardzo trudne jak *Oda do młodości*, którą wybornie przełożył Siemienow, jak *Farys*, którego oddał wiernie choć może trochę za rozwlekle Benediktow. Tegoż tłómacza jest śliczny przekład *Żeglarza*. Pietrowski z prawdziwym artyzmem odtworzył wiersze: *Do M....*, *Rozmowa;* a Minajew ładnie przetłómaczył spokojną melancholią tchnący utwór: *The meeting of the waters*, jak niemniéj i całkiem odmienny pod

(1) W wydaniach dzieł Mickiewicza znajduje się objaśnienie inne, ale zupełnie mylne, jakoby tylko *pierwsza część* tego wiersza była utworem Odyńca, a dwie drugie Mickiewicza.

względem nastroju wiersz *Do Lelewela.* Największe trudności przedstawiały się tłómaczowi (Minajewowi) przy odtwarzaniu powiastek i bajek, gdzie Mickiewicz igra sobie z językiem i stylem, oprowadzając nas śmiało, zuchwale nawet po labiryntach gramatycznych i frazeologicznych i czerpiąc obficie ze słownika idyotyzmów polskich. Nie powiemy, ażeby tłomacz wszędzie wyszedł szczęśliwie z istotnie bardzo trudnéj sytuacyi; ale usiłowania w tym kierunku robił i nieraz trudy jego powodzeniem się uwieńczyły jak np. w przekładzie: *Golono-Strzyżono*, *Żona uparta*, *Tchórz na wyborach.* Bądź-co-bądź stwierdzić można, że wszystcy tłómacze z prawdziwą miłością i czcią do wieszcza naszego się zbliżali, a jakkolwiek różne są stopnie doskonałości wyniku ich usiłowań, to pewna, że zupełnie słabych i lichych przekładów w tym tomie nie znaleźliśmy, o ile, naturalnie, na własnym sądzie polegać możemy.

Najmniéj zadawalniającą częścią książki jest jéj początek, zawierający na niecałych 20 stronicach „biografią" Mickiewicza, napisaną przez p. Polewoja. Jest-to właściwie króciutkie, pobieżne wyliczenie główniejszych faktów z życia Adama, jak-to na IV str. przyznaje sam autor, składając się niemożnością napisania zupełnéj biografii z powodu, że i w literaturze polskiéj niema dotąd dzieła przedstawiającego choćby tylko dokładny i systematycznie ułożony zbiór wiadomości życiorysowych. Nie w krótkości atoli i pobieżności zarysu leży główna wada pracy p. Polewoja. Miał on bardzo dobrego przewodnika w dziele p. Spasowicza napisaném po rosyjsku; trzymał się go nawet nietylko w podaniu faktów ale i w ich oświetleniu, chociaż tego nigdzie ani jedném słówkiem poznać nie daje, nawet wówczas gdy słowa p. Spasowicza w cudzysłowach cytuje. Nie jest to wprawdzie rzeczą przyjętą w ten sposób z pracy bliźniego korzystać, ale gdyby już wyłącznie na niéj się był oparł, dałby przynajmniéj pewną logicznie z sobą związaną całość. Tymczasem p. Polewoj chciał czasami okazać się samodzielnym i w każdym z tych wypadków fatalnie pobłądził. U p. Spasowicza nie ma wzmianki o poznaniu się Mickiewicza z Puszkinem w Odessie; p. Polewoj sądził, że to było wynikiem niewiadomości i zamieścił dawną już usuniętą bajkę. Chociaż p. S. wyraźnie mówi, że Celinę Szymanowską znał Mickiewicz jeszcze w Petersburgu, chociaż p. Polewoj mógł czytać w 1-ym tomie redagowanego przez siebie Zbioru dzieł naszego poety wiersz do niéj jako panienki, mimo to z nieudaną naiwnością utrzymuje na str. XVI, że narzeczoną swoję Celinę „znał tylko ze słychu, za pośrednictwem przyjaciół," chociaż o dwa wiersze wyżéj sam podaje wiadomość, iż w domu jéj matki bywał bardzo często. P. Polewoj widocznie zbyt nieuważnie czytał dzieło p. S.

kiedy twierdzi (str. XIII), że w trzeciéj części „Dziadów“ kreśli poeta „bardzo jaskrawy obraz tego stanu, w jakim znalazło się społeczeństwo polskie po powstaniu.“ Ale szczytem nieuwagi jest przypisek na str. IX: przez trzy stronice opowiadał autor o pobycie Mickiewicza w Rosyi i o utworach wtedy wydanych (*Sonety*, *Konrad Wallenrod*), a po tych trzech stronicach, z powodu wzmianki o częstych improwizacyach poety w Petersburgu, daje taki odsyłacz: „Ciekawą przytém jest rzeczą, że w ciągu pięcioletniego pobytu w Rosyi napisany był jeden tylko *Farys*.“ A skąd to ciekawe rzeczywiście pod względem psychiatrycznem spostrzeżenie powstało? Oto z nieuważnéj a dowolnéj przeróbki zdania p. Spasowicza, że przez *rok* pobytu w *Petersburgu* Mickiewicz napisał tylko Farysa.... Tak-to żądza łatwéj i taniéj oryginalności pomściła się na autorze „biografii“ Mickiewicza. *P. Ch.*

— **Wydawnictwa E. Orzeszkowej. XVIII. Do nieznajoméj.** Nowelle. *Z rękopismu znalezionego* przepisał *Leopold Méyet.* Wilno 1882, str. 203. — Autor należał do grona tych wychowańców Szkoły Głównéj, którzy w r. 1872 założyli dwutygodnik naukowy i literacki p. n. *Niwa*, i przez lat kilka żywy brał udział w jego redagowaniu, pomieszczając od czasu do czasu artykuły treści publicystycznéj. Następnie, zająwszy się praktyką adwokacką, zamilkł w dziedzinie literatury, ale jéj całkowicie nie porzucił, bo go do niéj widocznie coś nieprzeparcie ciągnęło. Zapewne nie dowierzając swym zdolnościom powieściopisarskim pierwsze próby w tym nowym dla siebie rodzaju podznaczał kryptonimem; a i teraz nawet, gdy na ich zbiorku nazwisko swoje położył, jeszcze się lękał wziąć wyłącznie na siebie odpowiedzialności autorskiéj; chce uchodzić tylko za przepisywacza.... W przedmowie (niedokończonéj) współudział w autorstwie przyznany jest jakiéjś nieznajoméj, która miała zwyczaj pisywać obszerne listy w wytwornéj formie, a w nich dawała zarysy badanie życia na celu mające: zajmowała ją „każda natura bogata, niezależna, zbuntowana przeciw krzywdzie ludzkiéj i ciemnocie; każdy umysł ciekawy a zgnębiony; serce ogniste a samotne; wszelka energia podniosła a miotająca się w więzach.“ Autor przesyłając nowelle swoje téj nieznajoméj sobie korespondentce, uważać je pragnie tylko jako „usilne staranie“ zrozumienia jéj uwag i myśli niepowszednich. Jeżeli pod tą nieco już anachroniczną dzisiaj formą mamy się domyślać jakiéjś, choćby symbolicznie tylko napomkniętéj prawdy, to może ją znajdziemy w tém przypuszczeniu, iż treść swoich nowelli zawdzięcza autor nie tyle osobistéj obserwacyi i doświad-

czeniu, ile pośrednictwu książek i obserwacyj cudzych. Jakoż, zastanawiając się nad najogólniejszym charakterem powiastek „Nieznajoméj“ ofiarowanych, możnaby mniemać, iż np. *Kleopatra* powstała pod wpływem odczytania czterowiersza Mickiewicza i przypisku do niego, że *Gasnące lato* ma niektóre analogie z *Marcyanem Kordyszem* Zacharyasiewicza, że *Miłość czy rachuba?* jest nowellistyczném studyum nad powieściami pp. Schwartz i Carlén. Nie chcemy przez to powiedziéć, jakoby charaktery i sytuacye w tych powiastkach były kopiami wyraźnemi z pewnych oryginałów, ale niepodobna obronić się wrażeniu, iż motywa podjęte w nich przypominają nam się mglisto jako rzeczy dawniéj słyszane lub czytane. Autor opowiada dobrze, z wdziękiem, a niekiedy wykwintnie; żadnéj prawie nuty fałszywéj, czegoś szorstkiego, czegoś surowego nigdzie w jego powieściach nie znajdziemy; wszystko, co mówi, odznacza się pewną miarą; wszystko, co przedstawia, cechuje smak artystyczny wyrobiony. Nie można nawet powiedziéć, żeby utworom jego brak było przymiotu zainteresowania czytelnika; nie ma nigdzie rozwlekłości, pustéj gadaniny, a często zjawia się dowcip wytworny. Kompozycyi nic wogóle zarzucić nie można, jest ona umiejętnie obmyślana i rozumnie przeprowadzona, stosunek części do całości harmonijnie utrzymany. Słowem, pod względem układu i stylu są-to rzeczy bardzo milutkie i bardzo ładne; czytają się łatwo, ale podobno i zapominają się łatwo. I dlaczego? Treścią wszystkich powiastek jest uczucie miłości zawiedzione czy zmarnowane; przyczyną tego zmarnowania bywa mężczyzna (*Gasnące lato*), ale częściéj daleko kobiéta (pięć innych powiastek). Chcąc cośkolwiek nowego o tém uczuciu powiedziéć, potrzeba koniecznie obserwować, potrzeba badać objawy życia, potrzeba samemu czuć głęboko. Otóż w powiastkach dla „Nieznajoméj“ obserwacyi znajdujemy niewiele, a uczucie skryte pod maską obojętnego żartu, czasami niezbyt gorzkiéj ironii. Autor jakby się lękał występować na jaw z tym tak dzisiaj lekceważonym, przynajmniéj w słowach, objawem, igra z nim i bawi się, może dlatego, żeby się na śmieszność i szyderstwo nie narazić. Aleź prawdą jest niezawodną, co głosi stara maksyma łacińska: *si vis me flere, flendum est primum ipsi tibi;* chcąc wpływ wywierać, trzeba przedewszystkiém wierzyć w to, co się chce powiedziéć. A powtóre, potrzeba siły, która naturalnie nie zasadza się na krzyku, ale na dobitném wyrażeniu prawdziwego uczucia i myśli prawdziwéj. Autor powiastek dla „Nieznajoméj“ ma upodobanie w tonach łagodnych i cichych, ale we władaniu niemi nie doszedł do doskonałości; w jednéj nowelce (*Miłość czy rachuba?*) próbował i tonów silniejszych, używa ich poprawnie, ale bez szczególnego odznaczenia. Jak na pierwsze pró-

by, nie można tego uważać za niepowodzenie; nowelle „Do Nieznajoméj“ czytelników niewątpliwie mieć będą. W końcu zadamy autorowi jedno pytanie: dlaczego lekko przerobiony czterowiersz drukowany w dziełach Mickiewicza przyznaje swemu Gustawowi (str. 33)? Może to figielek autorski względem krytyków, ażeby ich wprawić w pewien kłopot, gdyby ten mało znany wierszyk wzięli istotnie za samoistny utwór nowellistycznego Gustawa?...

= **„Wszyscy za jednego!“** Fraszka. Napisał *Włodzimierz Wysocki*. Kijów. Nakład księgarni Bolesława Korey vo(y). 1882, str. 56. Są-to satyrycznie opowiedziane dzieje p. Wincentego Wątroby, zacnego obywatela na Obij-bokach, który ożywiony zawsze jaknajlepszemi *chęciami*, nigdy ich w czyn zamienić nie mógł, więc pola zasiewał pośladem, w stodole nie miał ani ziarnka, sośninę sprzedał, młyna nie naprawiał i masę długów narobił. Widocznie chęci i zamiary nie mogły pana Wątroby postawić na nogi, tak samo jak wielu jemu podobnych obywateli w przeszłości i teraźniejszości. Słusznie téż powiada autor:

O! „dobre chęci“ nasze, o! najlepsze cele!
Któż was, jak my Polacy, posiada tak wiele!
O szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
Dziatki nasze rodzone, chwasty narodowe!
Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośniecie
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!
Gdyby was. „dobre chęci,“ nie było, broń Boże,
Któż-by kark nasz opasły ozdobił.... w obrożę!...

Wobec niemożności robienia dalszych długów p. Wątroba zamierzył udać się do serc obywatelskich, ażeby urzeczywistniając hasło: „wszyscy za jednego“ dopomogli mu w kłopotach i od obawy sprzedaży majątku dłużnikowi Niemcowi uwolnili. Ale na sucho kołatać do serc tych byłoby dowodem nieumiejętności życia, potrzeba wyprawić obiad, ugościć, upoić i rozczulić sąsiadów. P. Wątroba, tak samo jak ex-marszałek Rura, który „dziewięć lat powiatowi wiernie kuchnią służył, aż się całkiem zrujnował,“ wie doskonale, jak sobie zaskarbić względy łaskawéj braci. Za weksel na trzysta rubli dostaje sześćdziesiąt — naturalnie za pośrednictwem nieodzownego w szlacheckiéj ekonomii arendarza Elka— sprasza sąsiadów na obiad, pozwala im się wygadać dowoli, popisać najróżnorodniejszemi talentami, zrzucić całą winę nieszczęść na przeklętego Niemca i wygłosić śliczne frazesa o jedności i miłości braterskiéj. Korzysta wtedy ze sposobności Wątroba i woła o ratunek. Gdy skończył „cisza zaległa jak w grobie... nikt nie mógł słowa wyrzec, czując, jakby ćwiekiem język mu przygwożdżono...“ W największém zakłopotaniu

znalazł się ów żarliwy mówca, który tak pięknie o miłości bratniéj się rozwodził. Widząc, że wszyscy nań patrzą, zdobył się wreszcie na odwagę, aby dowieść, że „polska solidarność nie jest żadnym mitem“ i zaproponował zgromadzonéj szlachcie, ażeby kilku pojechało do Niemca i rozebrało między siebie dług p. Wątroby. Propozycyą przyjęto i nazajutrz wybrano się w drogę. Dzień był pochmurny i dżdżysty, chwilowy zapał szlachty minął, głód zaczął dokuczać, stanęli posłowie w karczmie, a Elka wysłali do Niemca dla ułożenia punktów przedugodnych. Niemiec zażądał weksli na podwójną kwotę z terminem miesięcznym, ale natomiast ze swéj strony zawiadomił, że gotów o 5 rubli drożéj za każdy morg zapłacić, i to nie tylko w majątku Wątroby, ale każdego z posłów. Pokusa była silna. Wprawdzie piorunowała wczoraj szlachta na Niemca, wprawdzie obiecywała się nie dać i dobra w swoich ręku zatrzymać, ale cóż robić w krytycznych czasach, kiedy praca na roli jest istną męczarnią! Szlachta nie rozmyślała wprawdzie, lecz puściła w ruch palce, bo choć to nie nowy sposób decydowania, ale „nasz narodowy,“ który służy nam bardzo dobrze na wszelkie przygody: dość nam oczy przymrużyć i dwa palce zetknąć, by wątpliwość rozproszyć i sprawę orzeknąć.“ Atoli i palce nie chciały przyjść z pomocą; dopiero gdy Elko oświadczył, że Niemiec czeka ze śniadaniem tych, co się na sprzedaż zgodzą, uważał to marszałek za prawdziwe natchnienie, a za jego zdaniem pociągnęła reszta szlachty. Jak wyszła na sprzedaży, łatwo zgadnąć, w krótkim przeciągu czasu zmarnowała gotówkę, albo poszła do szpitala, albo w służbę. Pana Wątrobę ocalił jedyny rozumny wśród owego zebrania obywatel, który wziąwszy Wątrobiankę za żonę, ocalił wieś od Niemca, sam w niéj gospodarował, gumna niebawem i oborę napełnił. — Autor nie w jedném miejscu zabłysnął talentem prawdziwego humoru; tu i owdzie staje mu jeszcze na zawadzie oporny język i wiersz.

SPROSTOWANIE

W zeszycie majowym należy poprawić następne omyłki:

str. 347	wiersz 17	zam.	szczękl	czyt.	*wnęki*	
„ 351	„ 36	„	lizon	„	*lizen*	
„ 356	„ 10	„	takowéj budowy	„	*hallowéj* budowy	
„ 357	„ 6	„	w Bieszu	„	*w Bieczu*	
„ 361	„ 40	„	synejskich	„	*Syryjskich*	

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.



ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

ROK VII.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Maja 1882 r.



ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

ROK VII.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

P. p. Prenumeratorów. którzy opłacili „Ateneum“ za pierwsze półrocze r. b., upraszamy o wczesne zgłaszanie się do redakcyi z żądaniem dalszych zeszytów, a to w celu uniknienia zwłoki w ich przesyłce.

Druk ukończono 1 Czerwca 1882 r.

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum"
w ciągu m. Maja 1882 r.

---

1. **Rzeczywiste interesa świata Słowiańskiego i pokój europejski.** Odpowiedź jenerałowi Skobelewowi p. hr. *Piotra Kutuzowa.* Warszawa. Nakład A. Lesmana. 1882. Cena kop. 50.
2. **Badania analityczne** o cenach robót w ogólności, pr. inżyniera komunikacyi *Zygmunta Rewkowskiego.* Wilno u Zawadzkiego 1882.
3. **Bośnia i Hercegowina**—treściwe opisanie tych krajów pod względem topograficznym, etnograficznym, statystycznym i historycznym—opracował *Ludomir Prószyński.* Warszawa. 1882.
4. **Mapa archeologiczna** Prus zachodnich, z przyległemi częściami W. Ks. Poznańskiego i tekst objaśniający. Na podstawie badań dokonanych w latach 1875 — 1878 opracował *Godfryd Ossowski* z przekładem francuskim p. p. *Gasztowta i Jasiewicza.* Kraków. 1881.
5. **O Żydach i kwestyi żydowskiéj** p. *Elizę Orzeszkową.* Wilno 1882.
6. **Soczinienija A. Mickiewicza**—ruskij perewod W. Benediktowa, N. Semenowa i drugich pisatelej pod redakcieju *P. N. Polewogo* S biografieju i portretom awtora na stali. Tom I. Ballady. Sonety, mełkia stichotworenia. Petersburg i Moskwa u M. Wolfa. 1882.
7. **Prałaci i Kanonicy** katedry metropolitalnej gnieźnieńskiej od roku 1000 aż do dni naszych—podług źródeł archiwalnych opracował Ks. Jan Korytkowski, kanonik metrop. Gnieźnieński. Gniezno u J. B. Langiego 1822. Zeszyt I do IV.
8. **La langue des Tziganes Slovaques** p. le Dr. *Antoine Kalina* professeur agrégé à l' Université de Léopol. Pozen. J. K. Żupański 1882.
9. **Otczet VI o naucznych zaniatijach za graniceju** w teczenji 1879 goda. *Teodora Wierzbowskago* (Sprawozdanie złożone Uniwersytetowi Warszawskiemu).
10. **Dzieje literatury powszechnéj** z ilustracyami. Tom I Dzieje literatury Starożytnéj opracowane przez *J. A. Święcickiego, T. Krasnosielskiego, J. Radlińskiego, K. Kaszewskiego i F. Łagowskiego.* Warszawa u S. Lewentala 1882 (str. XIV i 870).

„Świata ilustrowanego", wychodzącego w Wiedniu, nakładem Zygmunta Bensingera, a pod redakcyą Andrzeja Odrowąża, wyszedł właśnie zeszyt czternasty i zawiera: A) W części literackiéj: 1) Wina i odwet, powieść z życia społecznego (ciąg dalszy); 2) Śniade dziewczę, obraz z niw morawskich (ciąg dal.); 3) Dla szczęścia, obraz z życia (ciąg dalszy); prócz tego objaśnienia do rycin, pocztę redakcyi, nowe książki, rozmaitości, arytmogram i zadanie zagadkowe.—B) W części obrazkowéj: 1) Z widowni powstania a) Twierdza w Stolaczu, b) Obozowisko północne pod Mostarem; 2) W kuźni; 3) Fraszki humorystyczne.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Мая 1882 года.